



2072 - Swift

141

20 GRUD 1969

Termin zwrotu książki:

--	--	--

Spółdzielnia "B-stok" Nr 1220 N. 100.000 A-7

Karta terminów zwrotów.

0.

**KRÓLEWSCY SYNOWIE.**

16732x

**J. I. KRASZEWSKI.**

**POWIEŚCI HISTORYCZNE.**

**VI.**

**KRÓLEWSCY SYNOWIE.**

Powieść

z czasów Władysława Hermana  
i Krzywoustego.

Tom I.

**DOBRA GRABOWO.  
WAGA.**

Boleslae, Boleslae Dux gloriosissime  
...defendis tuam terram quam studiosissime...  
Pieśń obozowa niemiecka.  
Gallus.

**KRAKÓW.**

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.  
Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.  
G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



884-3116



*sm*

KORNELOWI UJEJSKIEMU

*jako upominek przyjaźni, ten grosz wdowi*

przesyła

AUTOR.

W DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Drezno.  
22. kwietnia 1877.

I.

Słońce zachodziło za lasy złocąc niebiosa, które się gorzeć zdawały, tam nawet gdzie bledły jego blaski, lazur się mienił w barwę ołowianą, jaką po skwarach przybiera. Wieczór był duszny, najmniejszego ruchu w powietrzu. Na starych drzewach, które cichy klasztor otaczały, liście wisiały jakby powiedle od gorąca. Co żyło szukało cienia, a w nim spoczynku i orzeźwienia. Niebo bez chmurki nie zapowiadało zmiany.

W klasztorze i po za tynem, który opasywał jego podwórza, cisza panowała głucha; niekiedy szmer, jakby powolnego, znużonego chodu ludzkiego przerywał ją na krótką chwilę i ginął gdzieś w dali.

Ukośne promienie słońca, zabarwione gorąco, padały na czoło małego kościółka, na mury i ścia-

ny klasztorne, silnemi cieniami oznaczając każde wgłębienie, grzems, kamień, zarysowaną powłokę.

Jak pustka wyglądały teraz te budowle z drzwiami pozamykanemi, z pozasuwanemi oknami, około których ani człowiek, ani zwierz, ani nawet mała ptaszyna nigdzie się nie pokazywała. Wszystko co żyło chroniło się w mury, czekało aż wieczór odżywi powietrze rosą, a noc świeżość z sobą przyniesie.

Był to rok posuchy, na polach zboża pożółkły przed czasem, samotnie stojące drzewa miały już spalone liście, w rzekach resztki wód, jakby wstrzymane w biegu, drzémały i okrywały się pleśnią; strumienie w obrażonych łożyskach jeżyły się oschłemi kamieniami, w studniach brakło wody, trzęsawiska wśród lasów gorzały; gdzieś niedziedzie bory zażegnane przez pastuszków paliły się łuny szerokimi, czerwieniąc niebo po nocach.

Powietrze przejęte było tą zgorzelizną błót i lasów, i jakby od dymu skwaśniałe.

Klasztor stojący wśród puszczy niedawno potrzebionych, choć na owe czasy rozległy, wspinał się nie miał powierzchowności. Znać na nim było i trudność budowania i pośpiech może i małą troskę o kształty jego zewnętrzne. Kościół się nie wiele nad nim podnosił, a w skromnej wieżycy jego zaledwie para z blachy kutych dzwonów wisiała. Mury z których się składały budowle, były z kamieni polnych grubo i nie bardzo foremnie

polepione. Część budowli do nich przytykająca z drewnianych brusów zaledwie ociosanych złożona, ciemniejszą barwą odbijała od ścian kamiennych.

Obok tych gmachów, dość rozległych a niepozornych, znać jednak było w podwórcach i ogrodach przytykających, troskliwą rękę, która koło nich chodziła. Bujnie tu rosły posadzone krzewy, którym dostarczano wody ze studni, jak świadczyły leżące na ziemi korytka; nieznanne pod północnym niebem rośliny kwitły tu i rozwijały się na podziw bajno i pięknie.

Na wbitych w ziemię kołach obwijały się latorośle winne, między których liśćmi już ciemne grona się zafarbowwały; na grzędach rozścielały się zioła, wonią aromatyczną napelniające powietrze. Tuż około studni z której ożywece na sad rozlewały się wody, wysoki krzyż drewniany ze znakami męki pańskiej zdawał się ubłogosławiać źródło. U stóp jego na tablicy głoskami wielkimi stał napis:

*Tu es fons et vita.*

(Tyś jest źródłem i życiem.)

Wpośród sadu na pochyłości wzgórza ku południowi zwróconej założonego, ręka co trzebiła las tam niegdyś rosnący, pozostawiła kilka starych drzew rozłożystych, ocieniających szerokie przestrzenie, zieloną okryte murawą.

Pod kilką z nich stały ule z pszczołami, pod

innemi leżały kamienie dla spoczynku, lecz teraz ani pszczół około ulów, ni ludzi na siedzeniach widać nie było.

W rogu sadu, gdzie kilka razem skupionych starych lip zostało, a krzaki pod niemi promieni słońca nie dopuszczały, przyparty do parkanu był daszek słomą okryty, a pod nim ława leżała z jednego kłosa drzewa.

Dwóch ludzi ukrytych siedziało tu w milczeniu. Oba odziani byli w suknie czarne, braciszków klasztornych odznaczające; nie mieli jednak ani kapturków, ni zwierznich sukni kapłańskich. Oba młodzi byli, a choć ubiorem nie różnili się od siebie, najmniej wprawne oko musiało w nich dojrzeć, jeśli nie stanu różnicy to charakterów i usposobienia.

Jeden z nich siedział w rogu ławy, sparty na rękach, które na kolanach trzymał jak wbite; drugi patrzący nań z rodzajem obawy i podziwienia, nieco opodal się umieszcil i z oka go nie spuszczał. W rysach twarzy jego malowała się zarazem litość, podziwienie i trwoga. Ten drugi twarz miał łagodnego wyrazu, bladą, oczy niebieskie, włos jasny krótko postrzyżony, ciało wątłe i delikatne, ręce małe. Suknia czarna, zbyt dlań obszerna, w szerokich a grubych fałdach opadała na wychudzonych jego ramionach, pas którym był ściśnięty, osuwał się i zdawał rozpuszczać.

Ten na którego on patrzył, jak gdyby tylko co mówić poprzestał, a ostatniemi słowy trwogą napelnił towarzysza — mimo sukni zakonnej, nie miał mnicha pozorów. Odzież, którą miał na sobie zdawała się dlań za ciasną, wyszarzaną była jakby obchodzeniem się z nią niedbałym i dzikiem; w kilku miejscach widać było na niej dziury jakby gałęzmi wyszarpane, plamy od tłuszczu i kurzawy która przyłgnęła do niego. Twarz i postać cała stan ten sukni tłumaczyły. Mężczyzna był zaledwie zmężniały, bujno się jeszcze rozrastający, na wojownika może bardziej stworzony niż na spokojnego mnicha. Ręce wystające z rękawów silne były i do dzwigania miecza lub siekiery jakby ulane; kark obnażony, ogorzały, ponad kołnierz wychodzący, nadawał głowie charakter zwierzęcej siły jakiegós. Wyrazistszą jeszcze nad te kształty była głowa sama z długą i wielką twarzą bladą, która miała w sobie coś dzikiego. Ponad nią obcięty włos jeżył się twardy i poplątany.

Mimo wieku młodego oblicze było prawie stare, zbladłe, żółkłe i patrzące srogo a szydersko. Rysy jego nie piękne, wyciosane grubo a twardo, odpychały dumą i jakby złością tłumioną, trawiającą wewnątrz człowieka. Szerokie dosyć usta warg nie miały prawie, jednym wązkim pasem przecinając policzki. Nad oczami brwi zmarszczone, pofałdowane, ruchome wisiały jakby je



myśl jakaś ściagnęła gniewna. Z białych oczów patrzących bystro, grozę tylko tłumionej złości można było wyczytać.

Z pod sukni nogi wysunięte w chodakach zaniedbanych i okurzonych, tak silnie wryły się w ziemię, jakby je w nią gniew jakiś i miotanie się wkopało. Na całym też młodzieńcu widać było wyraz buntowniczy; bezsilnego uporu.

Milczeli tak, dwaj pod daszkiem siedzący dosyć długo; ostatnie promienie słońca zapadały za lasy, a ogród okrywał się pół mrokiem zwiastującym chłód wieczorny.

— Wracajmy do celi — rzekł w końcu cicho, bojaźliwie niemal młodszy brat siedzący na rogu ławy.

Zadumany smutnie młodzian odwrócił ku mówiącemu głowę, i potrząsnął nią tylko na znak, że tego uczynić nie myśli.

Po niejakiem czasie, znowu cicho powtórzył towarzysz toż samo żądanie. Usłyszawszy je jakby gniewem zatrząsł się słuchający i nagle zwracając się cały do mówiącego, zawołał:

— Nie chcę! dosyć się w niej nasiedzę... Dusi mnie ta cela wasza, zdaje mi się w niej żem w trumnie.

— Ojciec przełożony gniewać się będzie — szepnął drugi oczy spuszczając.

Uśmiech przebiegł po ustach niecierpliwego

młodzieńca, który zadrzał i twarz na chwilę ukrył w dłoniach.

— Bracie Aleksy, ozwał się łagodnym głosem drugi — bracie Aleksy, jużby wam czas było z tém się położeniem oswoić a o dawném zapomnieć. Co być nie może, tego się daremnie spodziewając człowiek dręczy tylko... Trzeba się poddać...

— Tak! tak! dziwnym belkotliwym głosem wybuchnął brat Aleksy, w którym czuć było razem złość i szyderstwo — chcecie, to wam powiem to co wy mnie mieliście mówić?? Rozum mieć trzeba, rezygnację mieć należy, głowę skłonić, całować rękę co chłoszcze, milczeć, uśmiechać się, jakby to było szczęściem co jest karą i tyranstwem... He??

— A tak, tak! potwierdził młody, który słuchał z trochę podziwienia — wyrwaliście to mi z ust. A czemuż nie czynicie tego co tak dobrze znacie??

— Bo, nie mogę — zawołał brat Aleksy — bo nie jestem bratem Aleksym, tak jak wy jesteście bratem Łukaszem, ale księciem jestem i królewskim synem! Na mnicham się nie rodził, suknia ta ciąży mi i ścisza jak żelazna, pali jak ogień, parkany te mnie duszą, klasztor mi się wydaje więzieniem, wy katami i stróżami, a ojciec przełożony — oprawcą...

Z trwogą obejrzał się młodszy i załamując ręce zawołał:

— Na Boga! coście to rzekli! Idźcie i spowiadajcie się ze słów waszych, bunt to grzeszny.

— Idź, idź, zdradź mnie, powiedz że mi się te słowa wyrwały, jeśli chcesz — krzyknął wstając z ławy i napowrót się na nią rzucając królewski syn, z miną pogardliwą. — Braciszek Łukasz zarumieniony spuścił głowę i zamilkł.

— Nie potrzebuję ja was zdradzać — odezwał się po przestanku łagodnym głosem politowania — wy się co dzień zdradzacie sami, mową, wzrokiem, milczeniem nawet: Żal mi was.

— A co mi po twojej litości! rozśmiał się królewicz. Ona mi tej sukni nie ściągnie i nie da swobody.

Westchnął ciężko.

— Gdybym choć zapomnieć mógł dziecinnych lat i moich nadziei, i czyja to krew płynie we mnie, i co mi wydarto.

— Zapomniećbyście mogli gdyby wola — odezwał się brat Łukasz — wy się daremnie tém trujecie i jatrzycie. Wszystko to sny są tylko i marzenia niezdrowe.

— Jakie sny! wybuchnął królewicz znowu zrywając się z ławy i opadając na nią. Matka moja była tak dobrze żoną królewską czy księżką jak Judyta, dla której ją precz odegnano, gdyby nalożnicę. Ojcem moim był król, czekało mnie panowanie. Cóż z tego że z księżęcego nie szła rodu, kiedy łożę pańskie podzielała przez lat

tyle. Gdybym nie był królewskim synem, gdyby się mnie nie bali, czyby mnie byli postrzygli i gwałtem zaparli w tych murach obrzydłych?

— Dajcie już pokój tym żalom — począł uśmiechając brat Łukasz — gorycz pijecie dobrowolnie.

— Daj mi ją pić — przerwał królewicz — co ci moja gorycz szkodzi? Ja tém żyję, temi piólnami się karmię — postrzygli mnie, ale i postrzyżeni na świat wracają, włosy odrastają.

— Darmo o tém nie marzyć! wtrącił braciszek.

— Któż ci powiedział że darmo? gniewliwie przerwał drugi — póki człowiek żyje, póty nie nie stracone!

Brat Łukasz ruszył tylko ramionami.

— Ach! rzekł cicho — czyż może być większe szczęście nad to jakie my tu mamy? Zaprawdę, jabym go na żadną stolicę księżką nie mieniał. Czegoż nam brak? sługami jesteśmy największego z panów, panów pana, nie znamy trosk życia, w ciszy możemy chwalić Boga, zarabiając na królestwo niebieskie. Na tronie, na wojnie żadna chwila życia nie pewna, brat morduje brata, wrogi się zasiadają, wojna sieje niebezpieczeństwo.

— Tak — odparł szydersko królewicz — a tu! co za roskosze! W murach ciasnych jedne ścieżki o jednej codzien wydeptywać godzinie, mileżeć, śpiewać, pościć, słuchać i powoli umierać. Tak,

bracie Łukaszu, dla ciebie to wszystko dobre, ale nie dla mnie, nie dla mnie. Mnie należało i należy panowanie, mnie wydarto ziemię moją, imię moje, godność moją, starszeństwo moje, cześć matki, prawo, własność... wszystko.

Brat Łukasz wstał, stanął przed mówiącym i przypatrywał mu się bacznie.

— A nie powinniście Bogu dziękować, że wam, jak drugim, życia albo oczów nie wydarto?

Podniósł głowę z groźnym wejrzeniem królewicz.

— Tyś małe człeczko — krzyknął — tyś się gdzieś rodził w ubogiej chacie; tobie przystało za wszystko dziękować, boś ty nie miał nic; a ja się burzę, bo mi wydarto wszystko! Dosyć tego!

— Zaraz zadzwonią na chór wieczorny — rzekł Łukasz — chodźmyż już.

— Idź — jam chory, zostanę w ogrodzie, rzekł na rękę się podpierając królewicz.

— Bez was nie godzi mi się.

— Boście do mnie łańcuszkiem przykuci, stróż mój — zaśmiał się królewicz. Weź że mnie siłą, nie chcę i nie idę.

— Siły nie mam, a gdybym ją i miał nie użyłbym — rzekł Łukasz.

— Widzisz żeś stworzony do niewoli — zaśmiał się złośliwie drugi. Ja, gdybym mógł, gdyby się to na co zdało, choć cię lubię, zdusiłbym cię jak

zabę aby być wolnym. Ciebie, twoją bracią zakonną, i samego przełożonego.

— Człowiecze! krzyknął przerażony brat Łukasz.

Królewicz śmiał się złośliwie — wstał z siedzenia, wyciągnął się tak silnie, że ciasna suknia zakonna pękać na nim poczęła, ręce do góry podniósł z dłońmi zaciśniętymi, papatrzal z pogardą na towarzysza i zdawał się, mimo to co mówił, zabierać do pochodu; gdy nagle, jakby zmieniwszy postanowienie, by mieć przyjemność dręczyć dodanego mu towarzysza, znowu padł ciężko na kłode i położył się na niej. Odetchnął całą pierś, powietrze zaczynało ostygąć nieco; otarł czoło po którym krople potu spływały...

Łukasz stał, zdając się niecierpliwie oczekiwać na niego, spozierając niekiedy ku klasztorowi.

— Idziemy — rzekł zeicha.

Królewicz śmiał się urągająco.

— Czekaj, rzekł, dlatego że ty chcesz iść tak posłuszny, ja właśnie nie chcę? co mi uczynią?

— Ojciec przełożony, począł braciszek.

Królewicz ramionami ruszył z pogardą.

— Wszyscy nad wami litość mają — dodał brat Łukasz — tylko wy jej nie macie nad sobą. Gdyby chciał ojciec przełożony, tak dobrzeby was posadził do ciemnicy na chleb i wodę jak każdego innego.

A ja, myślisz, nie zaniósłbym do ciemnicy



mojej damy i moich dum? szydząc rzekł brat Aleksy. I ręką zamachnął w powietrzu.

Mrok padał, ptastwo w gałęziach ruszyło się przed snem czyniąc przygotowania, około gniazd polatując z krzykiem. Jaskółki pokazały się górą szybując ponad ich głowami, leciuchny wietrzyk zaszemrał w gałęziach.

— Chodźmy już! prosił brat Łukasz.

— Iść i w dusznych murach się zamknąć teraz, gdy właśnie jest tu czem odetchnąć. Bodaj was wszystkich z tym waszym klasztorem.

Zamilkł, wziął liść z drzewa i odwilżył nim usta, ale wnet zębami poszarpał go w kawałki i odrzucił.

— Co wam dziś jest? zapytał stojący i oczekujący braciszek.

— Dziś?? a! macie słusność, odparł żywo królewicz, prawda!! Dziś jestem gorszy, rwę się z powroza jak ciele które do rzeźni prowadzą. Wiesz czemu?

— Cóż się nowego stało?

— Miałem sen — odparł królewicz.

— Sen? Sny zsyłają złe duchy, aby kusily ludzi. Snom nie potrzeba dawać wiary — rzekł Łukasz.

— Nieprawda, są sny prorocze — zawołał królewicz. Nie czytałś w biblji o snach wykładanych przez Józefa?

— Ale wy nie jesteście Faraonem — szepnął braciszek.

— Jestem synem królewskim! odparł z dumą zagadniony. Sen był straszny, dziwny, wstałem po nim jakbym wyszedł z łaźni, długo oprzytomnieć nie mogłem. Śniła mi się dawno zmarła matka moja; widziałem ją przed sobą tak, jak oto was widzę, taką piękną, silną, zdrową, jak ją niegdy pamiętam. Ale miała włos rozpuszczone, szaty podarte, wzrok z gniewu eiskający pioruny. Choć uśmiechała się do mnie, straszną była. Wyciągnęła rękę ku mnie leżącemu i poczęła głosem w którym gniew mieszał się z płaczem, choć po ustach jej uśmiech się przesuwał. — Zbyń! — tak ona mnie nazywała. Zbyń! wstawaj, zrzuć tę suknię plugawą, zbroję wdziej, drzwi wylam, koń tam stoi i czeka na ciebie. Idź! śpiesz! pamiętaj że wolność ci dam na to abyś się mścił na nich wszystkich, wszystkich do ostatniego, na ojcu nawet, tak, na własnym ojcu. Mścij! mścij!

— A! okropny sen! zawołał kleryk drżący.

— Na ojcu! tak mówiła — kończył królewicz. Co mi za ojciec, który się wyparł własnego dziecięcia!! Cały dzień tętniały mi w uszach te wyrazy matki. Widzę ją jeszcze przed sobą rozkazującą — wstawaj, idź. — Mam ochotę wybić furte klasztorną i lecieć w świat!

Zbudzony napół, wpół śpiący, mówił dalej — chciałem zaraz zerwać się posłuszny, nie mogłem.

Coś mnie przybijało do łoża, głowa była jakby obreczęą przykuta do poduszki, nogi jakby żelaznym obciążone brzemieniem.

Wysilałem się aby wstać, jęcząc, miotając się, a nie mogąc ruszyć z łoża. Matka wołała ciągle: Wstań, idź, mścij!

Dopiero nad ranem okrutną tą męczarnią znękany zerwałem się z krzykiem, dzwon na jutrznię wołał do chóru. Obejrzałem się, matki nie było, ale głos jej, głos ten mam jeszcze w uszach, w pamięci...

— Sen mara, Pan Bóg wiara! szepnął braci-szek. Było się przeżegnać i pomodlić, ustąpiłyby siły nieczyste.

Słów tych domawiał, gdy nagle królewicz się zerwał.

— Tst! krzyknął głosem stłumionym — tst! Słyszysz?

Milezeli oba.

Na drodze wiodącej do klasztoru, która przechodziła po za parkanem ogrodowym, coraz wyraźniej zbliżający się słyhać było tentent koni. Ucho królewicza rozróżniało już brzęk rycerskich zbroi i mieczów, głosy jakiegoś obce. Lice mu się mieniło.

Gościńcem jechali niewidzialni, bo parkanem zakryci jeźdźcy jacyś, których kilkunastu lub kilkudziesięciu być musiało. Długo tak słyhać było wolne stąpanie koni, pobrzękiwanie oręża

i zbroi. Królewicz uczeplił się lawy, aby spojrzeć na drogę, ale dach spuszczający się na ogrodzenie nie przepuścił wzroku. Ciche jakieś szepty od tej gromady jeźdźców, dostawały się tylko do sadu klasztornego. W dźwiękach ich zdało się królewiczowi rozpoznawać mowę znaną, tę pierwszą którą z ust matki słyszał w dzieciństwie. Po czole jego przepływały światła i cienie.

Teraz już i on chciał co rychlej do klasztoru powracać, bo rzeczą było pewną, że ktokolwiek byli ci podróżni, pod noc znajdujący się na gościńcu wśród lasu, musieli u mnichów szukać spoczynku i do gościnnej furty zapukać. Królewski syn rad był zobaczyć tych obcych ludzi rycerskich, coś od nich posłyszeć, zwłaszcza że z pochwyconych kilku wyrazów, domyślał się Czechów lub Polaków.

— Chodźmy! odezwał się — żywym krokiem wyprzedzając towarzysza — chodźmy, żywo!!

Brat Łukasz z trudnością mógł za nim podążyć, tak szybko przez wązkie między krzewami i zieleń zostawione ścieżki, przesuwał się królewicz, ciągle towarzysza swojego i stróża wyprzedzając. Właśnie bramą drewnianą przez całą klasztoru szerokość z sadu na dziedziniec wiodącą, dostawali się w pierwsze podwórze, gdy do zewnętrznych wrót stukać zaczęto.

W gorące niecierpliwiej, chciał już sam królewicz biedz otwierać przybyłym, gdy brat Łu-

kasz zatrzymał go chwytając za poły i odezwał się surowo, że to do brata odźwiernego należało, a nikt inny do wrót mięsząć się nie miał prawa.

Stanął królewicz i za wrotami pierwszemi, na wpół otwartemi ukryty, mimo że go towarzyszy odciągał, pozostał uparcie, chcąc koniecznie zobaczyć przybywających.

Odźwierny, człek stary, włókł się mrużąc powoli z pękiem kluczków, nie otworzył jednak zrazu bramy, wstąpił na wschodki przy furcie, z których gościniec widać było i wyjrzał za wysokie ogrodzenie.

Rozmowy która się między nim a podróżnemi rozpoczęła, dosłyszeć nie było można. Stary zdawał się z otwarciem wahać i układać z podróżnemi o warunki, gdy, powołany, przyszedł mu w pomoc, zakonnik drugi. Układano się jeszcze; naostatek zstąpił odźwierny i otworzył nie wrota całe, ale furkę z boku, przez którą jednego z przybyłych wpuścił do wnętrza.

Cały wychylony, rozeiekawiony, oczyma pożerał przybywającego brat Aleksy.

Ten który wszedł nie młodym był już mężczyzną, silnym, rycerskiego oblicza! w żelazne blachy odzianym, z hełmem kowanym na głowie, mieczem u pasa, ostrogą u nogi, cały kurzem okryty. Znać przybywał z daleka...

Barwy jego włosów dla pyłu rozpoznać nie było można, twarz też ogorzała pomalowała się

dziwnie, bo pot który po niej spływał, jakby zaschlém popstrzył ją błotem. Was tylko ciemny i brodę widać było na kaftan spływająca, siwizną już pomalowaną. Odźwierny starzec został u furty na straży, a drugi zakonnik powiódł gościa do przełożonego. Nim jednak zaprowadzono go do klasztoru, rycerz ów zwrócił się ku swoim i głośno do nich zawołał.

— Stać i czekać na mnie, aż wrócę.

Słowa te zadźwięczały dziwnie w uszach słuchającego królewicza, mowa to była, której nie słyszał już od lat kilku, która mu dziecinne przypomniiała lata; ręce zacisnął silnie, twarz oblała się krwią, jasne oczy ogniem zapalały.

Byłby się rzucił naprzeciw gościa gdyby go kleryk stojący przy nim, strwożony coraz bardziej, oburącz objawsz, gwałtem całą nie powstrzymał siłą.

— Na miłość Bożą, do celi! chodźmy do celi! bracie Aleksy — błagać począł obejmując go rękami. Do celi! My tu nie do czynienia nie mamy, to do nas nie należy!

Zrazu wyrwał mu się królewicz, i zdało się jakby iść chciał przebojem, potem spuścił głowę jakby go jakaś myśl złamała, i, słowa nie mówiąc dał się prowadzić.

Ciemnemi wschodkami poczęli na piętro wstępować. Tu wążki ciemny także korytarz, ciągnąc się przez całą długość budowy, zaledwie kilka

wązkami otworami od podwórza oświecony, wyciągał się przed nimi cichy i pusty, smutny ze swym więziennym mrokiem i pustki milezieniem.

Tuż przy wschodach były dwie cele obok siebie. Do jednej z nich jakby z rozpaczą jakąś, rozdrażniony wpadł królewicz, a brat Łukasz, widząc go w takim stanie, po krótkim namyśle, wcisnął się za nim.

Cela była zakonna, nielepsza od innych, po mniszemu urządzona. Jedno w niej okno, na sad wychodzące, zasunięte okiennicą, natychmiast z trzaskiem, gwałtownie otworzył przybyły. W pół światło, które izbę oblało, widać w niej było łożo twarde, prosty klęcznik z krzyżem nad nim, dzban u drzwi gliniany, drewnianą misę i skrzynię, której wieko napół stało otworem.

Królewski syn był tu niczém więcej jak ubogiem Ś. Benedykta dziecięciem.

Królewicz popatrzawszy przez okno, odskoczył od niego, rzucił się na twarde łóżeczko, siadł na niem i głowę zanurzył w dłonie.

Poruszony był, niespokojny, rozgorączkowany. Przybycie tych rycerzy po śnie nocnym, rodziło w nim przecucia i nadzieje.

Milezał trochę, potem głowę podniósł i począł głosem niespokojnym.

— Słyszałeś? to są Krakowianie, to moi są. Po mowie ich poznałem. Zkąd oni tu? po co? Między Sasami? Jak? dla czego?

— To może Czesi od Pragi — odparł Łukasz — onié tak samo mówią i rozpoznać ich od Polan trudno... Czesi tu często się zapędzają.

— Oh! oh! począł królewicz — co ty mi mówisz? Czeska mowa pieszczona inaczej brzmi niż nasza. Słowa jedne a śpiew inny. Moje ucho nawet Szlązaka rozróżni od Krakowianina, co dopiero Czechów od Polan? To są moi, Krakowianie — począł rozgorączkując się coraz bardziej — moi są! Sen mój! sen! konie stoją za wrotami. Siadaj, jedź, mścij! mścij. — Belkotał coraz żywiej i pięściami bił po kolanach...

Brat Łukasz, patrząc jak na obłąkanego ruszał ramionami, nie wiedząc co z nim robić.

— A! gdybym choć widzieć się, choć pomóc mógł z nimi — rozpoczął po przestanku królewicz. Któż wie? Serce którego z nich ulitowało by się może krwi królewskiej... Wzięli by mnie z tój niewoli.

Zbliżył się doń brat Łukasz, i w ramię go pocałował.

— Bracie mój — rzekł — bo mi was inaczej nazywać nie wolno, bracie, na miłość Boga, zaklinam was, uspokójcie się! uspokójcie. Co wam pomoże mówić z nimi, aby się rany otworzyły i smutek potem urósł jeszcze? Choćby i Polanie byli, wasi, cóż oni wam pomogą? Ztąd was żadna siła nie może wyrwać.

Królewicz zlekka go odtrącił.

— Precz! — krzyknął — tyś prawy klecha... Ty tego nie rozumiesz, że kto swój rodzonej mowy od dawna nie słyszał, ten dla tego tylko aby się jej napić uszami i sereem, gotówby się skazać na męki. Ty! ty!

I pogroził mu. Brat Łukasz milczał ręce zalamując. Zwolna odstał ku oknu.

Cisza panowała w klasztorze, a że korytarz sąsiedni na podwórze wychodził, słyszeć prawie ztąd było można co się na niem działo.

Po chwili zaskrzypiały szerokie wrota, tentent koni wchodzących na dziedziniec tłumnie i wrzawę rozpoznawali braciszkwowie, brzęk żelaza, rozmowę gwarą, to cichszą, to głośniejszą.

Królewiczowi twarz się paliła, nastawiał ucha, serece mu biło, zrywał się po kilkakroć z siedzenia, jakby chciał biedz, a towarzysz łagodnie, chłodno ale uparcie spychał go na łożo; w pół prośbą, na pół musiem zmuszając do pozostania na miejscu.

— Cierpliwość miejcie — dodał. Jeżeli ich tu już wpuszczono, toć i do refektarza poproszą, nocleg tu pewnie mieć będą. Zobaczycie ich, posłyszycie, choćby jutro na mszy świętej w kościele, boć bez niej przecie odjechać nie mogą.

Zmilczał brat Aleksy, ale usta zagryzając rzucał się niecierpliwie. Szmer, który słyszeli w dziedzinie, zrazu cichy, wzmógł się, głosy jakies gwałtownie podnosić zaczęły, brzmieć groźno. Zdawało

się jakby spór jakiś powstał między wpuszczone mi gośćmi a zakonnikami. Brat Łukasz rozpoznawał podniesiony głos Ojca przełożonego, potem odpowiedź nań hałaśliwą, niecierpliwą i okrzyk. Rycerze wtórowali swojemu, i znowu mówił przełożony, potem wszyscy razem rwali się wrzawliwie głusząc jedni drugich. Po krótkich ciszy przestankach, następowały jakby wybuchy i milczenie znowu; krzyki uparte i postukiwania oszczepami o ziemię.

Można się było domyśleć, że spór o coś zajść musiał, brat Łukasz drżał, Aleksy podchodził ku drzwiom, uśmiechał się, siadał na łożko, zrywał.

Po burzliwej owęj rozmowie, nastąpiło łagodniejsze mruczenie i umiarkowane głosy, ustał spór, wróciło znowu milczenie klasztorne tak dziwnie i niespodzianie przerwane.

Wtém na korytarzu dały się słyszeć szmer i kroki, brat Łukasz niespokojny podbiegł ku drzwiom, gdy się one otwały szeroko i Ojciec Abdon przełożony, wszedł z twarzą chmurną, krokiem powolnym. Widać było na nim że tylko co był do gniewu pobudzony, i teraz dopiero odzyskiwał spokój zwykły i powagę.

Zjawienie się jego niespodziane w celi jednego z braciszków, było tak dziwnym wypadkiem, iż ujrawszy go, królewicz już nawykły do karności, na pół zachowując regułę klasztorną, która z przykłonieniem, pocałowaniem ręki witać prze-



łożonego nakazywała, na pół się z niej wylamując, pochylił się tylko i nie zgiąwszy kolan, zawołał:

— Ojeze przewielebny — ojeze! to moi, Krakowanie są.

Opat spojrzął nań surowo, zatrzymał wzrok na nim, usta mu się litościwie uśmiechnęły, i rzekł z westchnieniem:

— Bogu jednemu wiadomo, ażali wy się tém cieszyć macie czy zasmucić. Tak, Polanie to są i Czesi, którzy nie mając prawa, gwałtem wymódz chcą na mnie, abym was im wydał... Ja wojny z niemi prowadzić nie mogę. Wdarli się tu jako goście, a postąpili jak gwałtownicy.

Królewicz zaledwie dosłuchawszy, wykrzyknął z radości. Radość ta była z początku tak wielką, iż padł na kolana i rękę opata niechętnie mu podaną, ucałował, ale wnet zerwawszy się z ziemi począł wołać.

— Sen mój! matka moja! koń stoi! Ja jechać muszę z niemi! Muszę...

Rzucił się niepatrząc na starszego ku drzwiom, wypadł niemi, i słychać było jak biegł po wschodach. Opat zwolna poszedł za nim zamyślony.

## II.

W wielkiej izbie na dole, w której gości zwykli byli przyjmować zakonnicy, zdawna tak tłumno i huczno nie było jak tego wieczora.

Przy blasku kilku kaganków, widać było kilkunastu zbrojnych ludzi, którzy stali, oczekując, pozdejmowawszy hełmy z głów oblanych potem i z kurzawy twarz i odzieżę swe ocierali.

Byli to tylko co przybyli goście, do których biegł królewicz. Zatrzymano go jednak, drzwi pozamykawszy i sam opat miał go tu wprowadzić. Napróżno się żyzymał i wrywał, uledz musiał, choć złość nim miotala.

Czesi i Polanie czekali z równą niecierpliwością, jak on się ku nim wrywał. Na twarzach ich widać było radość, że się nareszcie do celu podróży dobili i postawili na swoim. Mężowie

to byli wszyscy niemal lat poważnych, znać wojennego rzemiosła, ogorzali, silni, niektórzy z bliźniami na twarzach, poodziewani dostatnio, bogato nawet, zbrojni jak należało.

Zostawieni sami sobie, gdyż zakonnik, który ich tu wprowadził wyszedł zaraz, rozpatrywali się ciekawie po foresterium.

Na głównej ścianie jęj wisiał olbrzymi krucyfiks, z wielką figurą ukrzyżowanego Chrystusa, wyrzeźbioną z drzewa nie bardzo zgrabnie i pomalowaną. Naturalne włosy okrywały głowę. Wyras rzeźby, jak całej sztuki owych wieków, surowy był, smutny i groźny. Bóg i święci jego tym ludziom namiętnym i dzikim musieli się przedstawiać jako siły straszliwe; nie dobrocią, ale strachem można było pokonać tych, dla których łagodność słabością się wydawała. I sztuka owych czasów nie miłością i miłosierdziem, lecz grozą i trwogą mówić musiała, przedstawiając męki, malując postacie surowe a niezblagane. Takim był i ten Chrystus na ścianie foresterium.

Izba była rozległa, niska, z ławami u ścian i podobnemiż siedzeniami ciężkimi przy dwu stolach, które środek jęj zajmowały.

U stóp krucyfiksu paliła się lampka mała, światelkiem mdłym niekiedy oblewając spuszczoną twarz Chrystusa. Miedziane naczynie z święconą wodą u wnijścia, było jedyną ozdobą ścian na-

gich i pociemniałych. U stropu widać było belki olbrzymie, na których topor ciesielski próbował rysować jakieś ozdoby. Przez otwarte okna na przestrzał widać było zielony sad z jednej, podwórze puste z drugiej strony.

Niektórzy z przybyłych znużeni już na ławach spoczywali, inni chodzili, oknami ciekawie wyglądając na sad bujno i pięknie rozrastający się, jakimiś nieznanymi krzewy. Wiadomo, iż benedyktyni pierwsi z sobą z innych krajów przyносили nie tylko winną latorośl, ale wiele innych nasion i roślin pożytecznych.

Trzech czy czterech panów w pośrodku izby kołem stanawszy, mówiło z sobą po cichu, jakby się naradzając.

Za każdym od strony drzwi szelestem zwracali ku nim głowy, ale już po kilkakroć zawiodło ich oczekiwanie. Zwłoka zdawała się ich niepokoić. Ten, który pierwszy zjawił się u furty klasztornej stał na przedzie, gotując się widocznie wyreczyć towarzyszków w rozmowie i przyjęciu tych, których oczekiwano, bo na drzwi ciągle miał zwrócone oczy.

Był to Dobek z Morawicy, daleki jakiś powinowaty matki królewicza, przy nim stali Sreniawa, Kaniowa i Mutyna Czech dodany im w Pradze. Siedzący na ławach wszyscy byli Szlązacy lub Krakowianie.

Gdy tak czekają, po troszę się zżymając już,

podejrzewając opata, kręcąc głowami, bo mimo obietnicy zaczęli powątpiewać, czy ten, po którego przybyli, wydany im zostanie. Otworzy się nareszcie drzwi i opat wszedł, wiodąc za rękę królewicza Zbigniewa, w tej samej sukni poszarpanej i poplamionej, w której siedział przed chwilą w ogrodzie. Odmienić mu ją chciano, ale się oparł temu.

Nikt z przybyłych, nawet Dobek z Morawicy, po matce mieniający się powinowatym Zbigniewa, nie znał go z twarzy. Wszyscy sobie wystawiali królewskiego syna, owe dziecię pańskie, po które przybyli — pięknem, rysów twarzy szlachetnych, postawy rycerskiej. Jakież było zdziwienie ich, gdy ujrzeli przed sobą niezgrabnego kleryka w sukni ciasnej, rozrosłego wprawdzie i silnego, lecz do parobka stajennego podobniejszego niż do księcia, z twarzą długą, bladą, odstraszącą, na której się zwierzęca niemal radość jakaś rozszalała, malowała.

Jakiś czas stali osłupieni, nie mogąc przyjsść do siebie, takim zawodem wydał się im ten wyrostek, którego widzieli przed sobą. Zmierzyli się oczyma, ledwie nie posadzając opata, że ich oszukać pragnął, podstawując im innego kleryka w miejsce królewskiego syna. W tém, nie czekając na ich powitanie, Zbigniew gwałtownym ruchem naprzód wystąpił, stanął i począł śmiejąc się głosem drżącym.

— Witam, miłości wasze.

Brzmienie mowy wywiódło ich dopiero z wątpliwości i osłupienia. Ci, co króla znali i słyszeli mówiącego, w głosie znaleźli jakies z nim podobieństwo. Dobek z Morawicy poszedł ku niemu i hełmem, który trzymał w ręku, do kolan mu się poklonił.

— Czołem a głową miłości waszej — odezwał się. — Myśmy po was tu przybyli. Dosyć tego zamknięcia w klasztorze, pojedziemy z wami, aby odzyskać, co wam odebrano.

Śmiejąc się głośno, Zbigniew rzucił się go ścisnąć.

— Zbawcami mi jesteście! — zawołał — marłem zaszyty w tej sukni.

To mówiąc, potrząsnął nią — Konałem w tej ciemnicy — osiem lat, wiek, nim dorosłem, zestarzałem.

Łatwość i śmiałość z jaką mówił, poprawiła pierwsze niemile wrażenie. — Przybyli powstawszy z ław, kołem go otaczać zaczęli.

Opat tymczasem, mowy tej nierozumiejący, widząc siebie i godność swą nieco zaniedbaną — ponury stał i milezący. Dawny wychowaniec wcale się nie zdawał zważać na niego, poczynał już sobie jako człek swobodny, który przełożonego nad sobą znać nie chce.

Wyczekawszy chwilę opat, skinął na Dobka z Morawicy, który starszym się zdawał między

przybyłemi i szepnął mu, gdy się zbliżył, iż chciałby z nim mówić na osobności. Dobek żwawo i poradny człek, swoim coś rzekł i zostawując na ich rękach królewicza, sam z opatem udał się do jego celi.

Zwolna kroczył ojeiec Abdon, nie mówiąc, zamysłony. Mąż to był powagi, doświadczenia wielkiego i zdobytego wiekiem spokoju ducha, a przełożęństwo po kilkakroć w różnych miejscach piastował i nawykł był do rozkazywania. Nadawało mu to postać i obyczaj prawie pański. Dobek z Morawicy czuł się, im dłużej z nim obcował, bardziej przybitym i zmalłym... Coś biskupiego dłań miał w sobie, a pod owe czasy biskupia dostojność, niemal się z królewską równała.

Weszli do sporéj izby, w której ojeiec Abdon zwykł był gości dostojniejszych przyjmować. Nie było w niej innego zbytku nad ten, jaki przystał duchownemu: ksiąg wiele, obrazów złocistych kilka, krucyfiksy, ołtarzyk do modlitwy ozdobnie przybrany. Otwartemi oknami wpadało światło jeszcze żywe i jaskrawe, choć dołem w podwórzach mrok się już poczynał.

Zajął miejsce opat w krześle swém z poręczami, na poduszce, a drugie wskazawszy Dobkowi, odezwał się po krótkim namyśle:

— Przynieśliście mi list i pieczęć z Pragi, abym na ręce wasze wydał wychowawca mego

Zbigniewa. Ci, co go żądają, nie dali mi go, prawa doń nie mają, bierzecie mi go siłą.

Z Krakowa mi był powierzony, z woli króla, jak mówiono, dziś może przeciw niéj go bierzecie?? Miły panie, gdym brał tego młodzieńca, nie wielem o nim wiedział; gdy mi go zabieracie, godziłoby się, byście mnie nauczyli, dla czego wprzód odsunąć i zamknąć go chciano od oczów ludzkich w ciszy klasztornej, a dziś go chcą ztąd siłą odebrać? Ciemnym to dla mnie. Obcym jestem i zakonnikiem, o sprawach Polan tak jako nie wiem. Sasi téż o nich tyle tylko wiedzą, iż się napaści na siebie od królów waszych lękają.

— Byćże to może ojeze przewielebny — spytał Dobek, ażeby was zostawiono w nieświadomości?

— Tak ono jest — odparł opat spokojnie. Lat temu osiem przywieziono płaczącego chłopaka, gwałtem znać do klasztoru, ze znacznym darem dla kościoła naszego. Niepomnę, jak się zwał ten, co go oddawał, stoi zapisane na mszale imię jego. Powiedziano mi, że dziecko jest nieprawym potomkiem księcia polskiego, że je chcą zamknąć i oddalić, aby król czy książę żonę biorąc ślubną, dziecka się nie wstydził, i aby prawym następcem jego uszczerbku nie było. Kazano go do zakonu sposobić, przyrzekając wyposażenie.

Imię mu było Zbigniew, myśmy w zakonie zwali go Aleksym.

Dobek słuchał zawstydzony i nieco zdziwiony.

— Ani królów waszych, ani królestwa waszego dziejów i spraw nie znam — kończył opat. — Tyle moich uszu doszło, iż mieliście zuchwałego pana, który się na swojego ojca duchownego porwał i zamordował go; że z Rzymu Ojciec nasz, interdykt rzucił na królestwo wasze, iż korony pozbawiono panującego, a ta się pono z woli Ojca naszego biskupa rzymskiego, czy cesarza, dostała czeskiemu królowi.

Dobek ramionami ruszył.

— Niechże mnie przewielebność wasza posłucha — rzekł powolnie — ja wszystko, jak umiem opowiem. Prawda to jest żeśmy króla mieli, który jak rycerzem był wielkim, tak niepohamowanym i zuchwałym, bo ani królów swych braci za równych, ani Papieża, ani cesarza za wyższych nad siebie mieć nie chciał. Zabił on biskupa naszego, męża świątobliwego, który mu grzechy jego na oczy wyrzucał, ale potem sam z kraju uchodzić musiał. Ulitował się przecie Papież rzymski nad nami, brat króla, choć nie koronowany, królestwo dźrzy, przecie dla nas królem jest.

Synem jego pierworodnym ten oto Zbigniew, po którego my przybyliśmy.

— Ale dziecięciem nieprawem — wtrącił opat.

— Jako żywo — odparł Dobek — my tej różnicy nie znamy. Dawnym obyczajem naszym domowym, wziął Władysław pan nasz żonę, krewną moją, Hannę, żył z nią jako z małżonką,

choć kościół nie pobłogosławił związku, boć u nas to nie było w owe czasy koniecznością i duchowni się o to nie upominali jako teraz.

Z tej Hanny, ciotecznej mojej, miał król oto tego syna, który tak jego prawym synem jest, jako i ten drugi co mu się później z czeskiej Judyty narodził za przyczyną Idziego świętego.

Gdy król Judytę brać miał za małżonkę z krwi królewskiej, zażądano, by nietylko pierwszą żonę, ale i pierwsze dziecię odtrącił od siebie i zapomniał o nich. Zmarła z boleści wielkiej żona, sierota została, tę wtrącono do klasztoru jako w studnię.

Opat się poruszył mocno.

— Miły bracie — rzekł — nie na zgubę, ale na zbawienie dano go nam, nie studnia to jest, ale wrota do wiecznej szczęśliwości.

— Pewnie, pewnie — poprawił się zmieszany, głową skłaniając Dobek — ale, dajże on się namłamać i skłonić, aby umiłował ten stan, ojeze przewielebny?? Powiedzcie, abyście nasze uspokoił sumienie?

Opat pomilczał nieco, w twarzy jego znać było zakłopotanie pewne, smutek, walkę z samym sobą. Namysłał się, miałli rzec, co mu na sercu leżało.

— Miłościwy panie — odparł — nie zataję prawdy przed wami. Osiem lat trzymamy go na oku, mogę rzec na pasku, zobowiązaliśmy się do

tego. Dziecko zepsute i krnąbrne tu przyszło, a daj Boże, aby lepszym ztąd odebrane zostało. Naturę ma do przewyciężenia trudną i niezgiętą, umysł pojętny, krew burzliwą. Nie wiem co z nim czynić myślicie, lecz jeżeli władzę jaką z rąk waszych ma otrzymać — bodajbyście danęj mu nie pożałowali.

Ostatnie wyrazy ciszej domówił opat, spuścił głowę na piersi i umilkł. Zdziwił się mocno, gdy podniósłszy na Dobka oczy, ujrzał go prawie uśmiechniętym i rozradowanym tém, co go powinno było nastraszyć.

— Ojcie przewielebny — odezwał się Dobek — takiego nam potrzeba właśnie, któryby rękę silną i wolę miał, a strasznym był... Stary król nie wiele może, rządzi Palatyn i nas wszystkich zabierać chce w niewolę. Niech będzie zły, byle silnym był, a mógł się mu opierać...

Opat się poruszył.

— Nie żądajcie złego w złą godzinę! — rzekł cicho.

— Nie odwołuję com rzekł — począł Dobek — pan nasz pobożny Władysław Herman, dobrym jest, ale słabym i bojaźliwym, nie panuje on, a nad nim panują. Nie pana mamy, ale z ręki jego tyranów, a raczej tyrana, przez którego królestwo paść może. Zawczasu o sobie myśleć musimy; królowa niewiastą jest i nie wie kędy idzie, król zawojowany, wojewoda Sieciech, fawo-

ryt obojga, bodaj na przywłaszczenie sobie wszystkich ziem godzi i zastawia sieci. Nie było rady innęj, jak oto to królewskie dziecię wziąć, a niemię się podeprzeć przeciw samowoli Sieciechowęj. Garnie on wszystkie ziemie pod siebie, a każda chce swoje prawo i wojewodę mieć...

— Daj Boże, by wasze lekarstwo gorsze od choroby nie było — odezwał się opat — Świeckie sprawy obce mi. Nie radbym też obmawiać tego wychowawca mego, ale o niego i o was trwoży się dusza moja. Dzikie zwierzę w klatce nie straszne, na wolności biada z niemi.

Umilkł.

— A cóż w nim tak złego jest? — zapytał Dobek.

— To najgorsze, że dobrego w nim znaleźć nie mógł. Jak na suchej plonce com zaszczerpił zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, usłuchać, ukorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielką, gdy zechce, ale przewrotność w nim większa jeszcze...

Jakby znużony opat zamilkł znowu i czoło ocierał.

— Nie posądzajcie mnie — dodał — abym niechęć jaką miał ku niemu, Bóg mi świadkiem, kochałem go i litowałem się, trochę z serca mi zdejmujecie, zabierając go. Nie miałbym sumienia jednak, gdybym was nie ostrzegł, nie oznajmił wam, iż pilno czuwać nad nim powinniście.

Dobek pochyliwszy się do ręki opata, ucałował ją.

— Dziękujemy przewielebności Waszej — odezwał się. — Bynajmniej to niezmienna naszych zamiarów. Jakikolwiek on jest wziąć go musimy. Kto wie, czy swobodniej puszczonej nie zmieni się, a nie stanie takim panem, jakiego nam trzeba. Namby teraz zelaznych rąk Mieszka i twardej prawicy Bolka Chrobrego nie nadto było...

— Mówiliście przecie sami, że pobożnego i dobrego króla macie? — spytał opat.

— Pobożnego, tak ci jest — odezwał się Dobek — dobrego też, ale słabego. On dziś już nie panem jest tylko na łasce Sieciechowej posłusznym narzędziem.

— Mówiliście, że syna ma? — wtrącił opat, spoglądając niedowierzająco.

— Dziecko to prawie jeszcze — rzekł Dobek — zawojowane przez Sieciecha, który je wychował, bo u nas Sieciech Palatyn wszystkiem i królowej ulubieńcem i króla prawą ręką i królewicza nauczycielem i królestwa władcą, a jutro kto wie czém być zechee?

— A któż ten Sieciech jest? — rzekł opat.

— Kto Sieciech pytacie? — rozśmiał się przybyły, ramionami ruszając, jakby go to pytanie nie pomалу zdziwiło. — Jakże to rzec, kto on jest? Byłto gładki młodzieniec, Toporezyk rodem, nie wielkiego mienia, ale pięknej postawy i żywego

ducha, śmiałości wielkiej. Królowi się podobał, bo mu do wszystkiego służył, miłym się stał królowej, która młodzież lubi. Umiał się przymilić, wyrezyzy i objął powoli wszystko. Króla obsadził swojemi ludźmi, w ręce wziął miecze i klucze, Władysławowi dając spoczywać, modlić się i zażywać pokoju. Żołnierz i wódz szczęśliwy, rozumem i nauką choćby z biskupami o lepszą iść gotów. Dziś on pan na Sieciechowie, a jutro na ziemiach i karkach naszych panem być może.

— Cóż jeden taki chłopak przeciw niemu znaczy? — odparł przełożony.

— Bardzo wiele — zawołał Dobek. — Mamy dlań zapewniony Szlązk, gdzie go Wrocławianie i wojewoda Magnus przyjmą za pana, aby postawić przeciw Sieciechowi. Ukrócim władzę jego i uratujemy krew pańską.

Pomilezał trochę opat.

— Lepiej to zapewne wiecie co czynić macie — odparł krótko — róbcie jak was Bóg natchnął, ja z sumienia mojego zrzuciłem brzemię. Teraz — dodał, zlekka się podnosząc duchowny — idźcie miłościwy panie, sam na sam weźmijcie przyszłego pana, a zajrzyjcie mu w duszę. Obaczym co o nim powiecie.

— Pospieszę, gdy dozwalacie — rzekł Dobek i raz jeszcze rękę opata ucałowawszy, wyszedł z celi. Tu stojący kleryk, który na rozkazy czekał, drogę mu do foresterium pokazał

Zbliżając się do wnijscia, już omylić się nie mógł Dobek, taką tam wrzawę wewnątrz słyhać było i śmiechy, w których głosy towarzyszków swoich poznawał. Nad wszystkimi huczniej rozlegało się ryhotanie dzikie, w którym się domyślał Zbigniewa.

Uchyliwszy drzwi ujrzał widowisko osobliwe. Polanie przybyli z Dobkiem, którzy jadąc na tę wyprawę, zawczasu obmyślili, czego potrzebować będą, zabrali z sobą suknie i uzbrojenie stosowne dla przyszłego księcia, aby się w nich mógł przystojnie Wrocławianom okazać.

W czasie niebytności Dobka albo oni się o przebranie nędznie odzianego kleryka upomnieli, lub on sam zażądał innych sukni. Dobek trafił właśnie na tę chwilę, gdy sakwy i węzły na ziemi leżące rozwiązawszy, towarzysze jego młodego syna królewskiego na nowo przedziewali.

Zbigniew szczęściem swém był upojony, i, jako się nie dawno rzucił rozpaczliwie w niewoli, tak teraz miotał się oszalawszy swobodą bez miary. Nie czyniło go to piękniejszym. Rozebrany z ciasnych sukien silnym się okazał, ale równie niezgrabnie wyciosanym, jak wprzód. Twarz jego blada rumieniła się weselem, a oczy iskrzyły dziką jakąś zapalczywością, niemal rozpasaną, która już i tych, co go otaczali razila.

Gdy Dobek wszedł, ujrzał na ziemi podarty w szmaty drobne habit zakonny, Zbigniewa już

na pół rycersko przyodzianego, samemu sobie dziwiącego jak się dziecię. Wszyscy dokoła posługiwali mu chciwie; jeden kaftan podawał, drugi pas opinał, inny chciał hełm próbować. Zbigniew nogą obutą bił w ziemię, śmiał się, urągając i wykrzykiwał głośno.

— Osiem lat mię więzili — wołał — raz wolny wolę zginąć, niż się im dać okuć na nowo. Ani panu ojcu, co się zaparł syna, ani królowej macosze, ani miłemu bratu, ni w świecie nikomu.

Wydali mi wojnę gdym dzieckiem był; zaprawdę, nie poczynałem jęć, będą mieli wojnę, bo ja tak ich nie znam, jak oni mnie znać nie chcieli. Prawo tylko swe znam i Boga nad sobą, więcej nic.

Dobek nie zbliżając się, przysłuchiwał z za drugich.

Kleryk (bo mu już tu pierwszego dnia niektórzy nadali to przezwisko, mające przy nim zostać na zawsze) im mu bardziej śmiechami potakiwano, tém raźniej wykrzykiwał. Nie wiedział Dobek, czy się miał tém radować, czy trwożyć; miarkował, że człek był jeszcze nie wytrzeźwiony z pierwszego szalu, a młody, lecz w zahukaném dziecku nieśmiałości się zbytniej raczej było można spodziewać, niż takiego nagłego rozzechwalenia.

— O! ho! — wołał ryhocząc wyzwolony, gdy mu miecz przypasywanó — oho teraz mi już nikt



nie zabroni, gdy włosy odrosną puścić je na ramiona i brodzie też dać bujać, a jeść a pić i — na niewiasty patrzeć i pieśni słuchać i śmiać się dowoli!!

— Na niewiasty — wtracił któryś — nietylko patrzeć wam wolno, ale je i brać.

— O! — przerwał Zbigniew — a no cicho! tu o nich ani mówić, ani ich widzieć, ani myśleć o nich nie wolno pod karą wielką. Ojcowie mówią, że szatan siedzi w nich.

Śmieli się niektórzy, inni szeptali.

— Krew nie woda, teraz sobie nagrodzi!

Zbigniew dosłyszał to i ręce podnosząc, począł wolać.

— Zaprawdę! zaprawdę! nagrodzić sobie muszę stracone lata! Gędźby, pieśni, śmiechu, swawoli zażyć, jak mężczyźni przystało.

— Wszystko mieć będziecie — odezwał się poważniej Dobek — ale i miecz też nie będzie próżnował.

Zbigniew spojrział na wiszący u boku obojętnie jakoś.

— Tym ja jeszcze nie władnę, rzekł, bo mi też ani go dotknąć, ani probować nie dano. Zkądżebym miał wziąć go tam, gdzie i pałka zakazaną była?

Nauzycie mnie z nim się obchodzić.

— Nauzycimy! nauzycimy! — odezwali się chórem wszyscy.

Wesołość była wielka, bo każde słowo ksią-

żące nią witano, on zaś był jak pijanym i rozpasanym do zbytku. Nogami gniótł i szarpał zrzucony habit, i wyciągał się radując wygodnemu kaftanowi, mieczowi przypatrywał, pasa pociągał, a coraz to mu się słowo wyrwało zuchwalsze, niżby się z ust kleryka spodziewano.

Dobek odwiódł Starzę na stronę.

— A co, pan nasz? — spytał po cichu.

— Widzicie go — rzekł Starża — człek chudy, zasepiony i frasobliwy z natury. Musiało mu się od tej nagłej swobody w głowie zakręcić. Mówi jak po pijanemu — po mnie ciarki chodzą słuchając.

Pochylił mu się Dobek do ucha.

— Jeszczeby was gorsze wzięły dreszcze — rzekł — gdybyście posłyszeli, co mnie o nim opat rozpowiadał — a, no, wyboru nie mamy.

— Cóż mówił?

— Straszyl mnie nim. Ażali my na nasze karki nie ostrzemy topora? — Szeptal Dobek nieco zasepiony. — Któż wie?

Namyślił się Starża.

— Gorzej ci nie będzie — odparł po namyśle. — W naszych on rękach, jakeśmy go wzięli, tak go porzucić możemy...

— Łacniej pono wziąć, niż się zbyć — dokończył Dobek. — Znajdzie sobie zawsze tych, co go podpierać będą.

Spozierali z ukosa na królewicza, a Starża rzekł w końcu:

— Po tém, coście wy od opata słyszeli i ja się trwożyć będę. Bogiem a prawdą, ten syn królewski do serca mi nie przystał. Suknia zakonna nie uczyniła go lepszym, choć na rozumie i języku mu nie zbywa.

Przysłuchajmy się im — Czech wtrącił.

— Dzieckiem jest jako oni wszyscy po klasztorach, po wielkiej niewoli bryka człek jak żróbek, którego na łakę wypuszcza.

— Prawdę rzekł — potwierdził Dobek. — Nie łapmy ryb przed niewodem!!

I zbliżył się do wesołego kółka, które Zbigniewa otaczało.

Właśnie stoły dla gości zakonni braciszkwowie przygotowywali do wieczerzy, gdy Dobek ze Starżą podeszli do królewicza, który odziany w szaty nowe, pysznił się niemi. Siedział na ławie, dumnie spoglądając na braciszków, niedawno towarzyszów swych, z obawą jakąś rzucających nań przestraszone wejrzenia. Przeistoczenie to człowieka, którego wczoraj sądzili, już na wieki obleczonym suknią i ślubem, budziło w nich myśli trwożne. Wedle ich pojęć zgubionym był i zaprzędanym nieczystej sile. Z poszanowaniem podnieśli z ziemi podartą suknię zakonną, którą Zbigniew zdeptał nogami, i jeden z nich wyniósł ją co prędzej z foresterium. Na twarzy pozostałych

malowała się zgroza, oburzenie, postrach kary bożej, która świętokradzcę dosięgnąć miała.

Zbigniew się im rozparty na ławie uragał.

— Bracie Łukaszu, bracie Agapicie, braciszku Odonie, patrzajcie no! nie wyglądamli ja na rycerza? nie dobrze mi tak? Chciałoby się i wam takiej sukni? he?

Braciszkwowie nie spoglądali nań, nie odpowiadali nawet, ustawiali na stole miski, kładli chleby, krzątali się około kubków i dzbanów; spuszczały oczy. Wesolość tylko co rozdianego kłeryka, choć się tłómaczyć dała, nawet świeckim jego towarzyszom wydawała się nieco dziwną, trochę rażącą, cóż dopiero skromnemu braciszkwowi Łukaszowi! Szał ten trwożył go nad wyraz wszelki, gdyż i ów sen i przygody uważał za dzieło złego ducha, wiodącego nieszczęśliwego do zguby.

Wejście nawet opata i kilku milezących zakonników, którzy mu pokornie towarzyszyli, postępując za nim z oczyma w ziemię wlepionemi, nie wiele usmierzło rozbujanego książećcia.

Dobek musiał go cichą przestrogą skłonić, aby nieco skromniej i ciszej się znajdował, za co mu wejrzeniem złośliwem zapłacił.

Opat odmówił stojąc błogosławieństwo, gościom podano miednice, nalewki i ręczniki, skromny posiłek zastawiła służba na stołach, na trzech jedną, wedle obyczaju, dając misę, z której społem jedli.

Rozmowa stała się cięższą i nieśmiałą, opat był poważny i milczący. Nie biesiadowano też nad miarę, gdyż, choć przyjęcie dostatnie było, zbytku w klasztorze nie dopuszczano. Piwa po kubku postawiono przy każdym, jadła brał każdy ile chciał i jak stało. Mięso dawano tylko dla obcych, a Zbigniew długo pozbawiony go, niepomniernie użył i z widoczną żarłocznością.

Nie okazując tego opat mierzył go oczyma, spoglądali nań i inni, nie mogąc poznać w tym śmiałym aż do zuchwałości chłopcu, który się im uragać zdawał, chmurnego, milczącego braci-szka, jakiego znali w sukni zakonnej.

Po dziękczynnej modlitwie mnisi ucałowawszy z przyklęknięciem rękę opata, opuścili jadalnię, przełożony sam został z obeymi.

Widać było, iż życzył sobie mówić ze Zbigniewem, który unikać się go zdawał. Stało się to nareszcie niemożliwem, gdy o. Abdon wprost doń podszedłszy, stanął, mierząc go oczyma, które wzrok spuścić zmusiły. Sile tego wejrzenia, którego słuchać był nawykł, uledez musiał. Gniewny czekał, co opat mu powie.

— Powinszować wam cheę i pobłogosławić — odezwał się głosem surowym przełożony. — Zmienił się los wasz tak pono, jakeście w duszy waszej pożąдали; daj Boże, by na szczęście dla was i dla tych, co was na pana ku sobie powołują. Wielki ciężar zaprawdę spada na ramiona wasze,

a ujrzycie kiedyś, iż cięższym jest do dźwigania od tej sukni ubogiej, której nie umielibyście umi-łować. Idźcież w świat z Bogiem miłościwy panie — tak z Bogiem! nie zapominajcie o Bogu, którego wola spełnia się nad wami. Jutro do dnia, niżeli rozpoczniecie podróż, odprawię mszę świętą na intencję waszą i pobłogosławię...

Sądzili wszyscy, słuchając, że się chłopak słowy pełnemi dobroci uczuje za serce ujęty, że się ugnie, jako należało przed opatem i podziękuje za doznaną opiekę i względy. Czekali. Zbigniewowi czoło się zachmurzyło tylko, zmarszczyły brwi, oczy spuścił w dół, zamruczał coś niewyraźnie i nie pochylił się nawet do ręki opata.

Kapłan stał, popatrzał chwilę, nie rzekł już więcej nic, głowę skłonił ku otaczającym się zwracając i krokiem powolnym, z kłerykiem, który ze światłem czekał nań u drzwi — wyszedł.

Gdy się te za nim zamknęły, ksiązę dopiero podniósł głowę z wyrazem niemal gniewnym.

— Ha! — mraknął — chciał, bym mu jeszcze dziękował może, że mnie ręką żelazną trzymał przykutego bez litości lat tyle. Niedoczekanie ich! Mnichy i życie mnisze mi dojadło. Jutro jak świt, w drogę.

— Ale nie bez mszy i błogosławieństwa — odezwał się Dobek. — Niepewna jeszcze, co nas i was miłościwy panie czeka, jest o co Pana Boga prosić.

— O! dla mnie byle na swobodę i za te mury — zawołał Zbigniew, ręką machając przed siebie.

W tém zbliżył się nieśmiało braciszek Łukasz, dawny towarzysz, pytając go, czy w dawniej swój celi nocować nie zechce.

— Ja, w tej dziurze! — krzyknął szydersko Zbigniew. — Nie! wolę tu na gołej ziemi. Od moich towarzyszków nie odejdę krokiem.

Wnet młodsi wzięli go między siebie, a brat Łukasz zawstydzony, skłoniwszy głowę, z pomiędzy nich się wyśliznął.

### III

Działo się to w 1096 roku.

Zameczysko w Płocku, kędy król, (bo tak go w domu zwano, choć koronowanym nie był) najczęściej przebywał, już naówczas nieco przystojniejszy, niż za lat dawnych pozór miało, acz i teraz obozowisko i namioty więcej przypominało niż gród stołeczny.

Stolic też naówczas stałych nie mieli królowie, czasowo przemieszkując po grodach i ziemiach, do których ich upodobanie, obowiązki, wojny i sprawy domowe powoływały.

Kraków, od tego czasu gdy Bolesław Szczodry skalał kościelne progi krwią świętobliwego biskupa, był jeszcze jakby pod kłatwą; unikano go, tkwiły w nim wspomnienia straszne, obawiano się jakby miejsce samo nieszczęśliwém było.

Pustoszało potrosze opuszczone zamczysko, nie zartate nosząc ślady niedawnej jeszcze przeszłości.

Władysław Herman bezpieczniejszym się czuł w pośrodku ziem swoich, na mazurach w Płocku, niż w Poznaniu, Gnieźnie, na Szlązku i w Krakowie. Tu więc i on i dwór i królowa Judyta, cesarskiej krwi pani, przebywać z nim musiała, tu lata pierwsze spędzał Bolko, młodziechny, jedyny syn królewski z Judyty czeskiej, bo z niemki trzy tylko córki rodzinę pańską pomnożyły.

Wdowa po królu Węgrów, krwią z domem cesarskim blisko połączona, królowa Judyta, pędziła tu życie, które sobie sama zabawami i wesolnością zaprawiać umiała.

Król chorowity lubił ciszę, ale nikomu się weseleć i wedle myśli swój zabawiać nie bronił.

Zamek w skwarne dni lata tego, bardzo ożywionym nie był. Połowę budynków jego zajmowała ze swym dworem, niemiecko-węgiersko-polskim królowa pani, pół mniejszą król zamieszkiwał. Do koła obojga dwór a raczej dwa osobne dwory się rozkładały, nie licząc trzeciego, otaczającego królewicza Bolesława, naówczas jedenastoletniego, przy którym nieodstępnym był ochmistrz jego, Wojsław, Sieciecha pokrewny i rówieśnicza družyna.

Dworska gawiedź przy królu i królowej w większej części młoda była, rażna, ochocza i dosyć swobodna, bo taką i królowa pani i Wła-

dysław otaczać się lubił. Starszyna służyła tylko aby trochę ładu wśród niesforniej młodzieży utrzymać i z karbów jej wyjść nie dawać.

Pięćdziesiąt i kilka lat mający król, starszym się wydawał niż był w istocie. Zwał się panem i królem, ale królować się obawiał; cugle z rąk jego dawno się już w inne dłonie dostały. Rad był temu. Chorzał i stękał, a jeśli mu się kiedy rozjaśniło lice, to chyba gdy oznajmiono przybycie Wojewody Sieciecha. Naówczas i król i królowa, która go nad wszystkich przenosiła, występywali jak dla najmilszego z gości, życie się budziło w Płocku, twarze jaśniały radością, zamek brzmiał weselem.

Sieciech wojewoda wojewodów, naczelny wódz, namiestnik pański, ręka prawa, zjawiał się tu często, ale bawił krótko. Musiał zarazem na wszystko mieć oko, docierać wszędzie, pilnować granic, a w środku strzedz by mu się Starostowie z pod zwierzchnictwa nie wylamywali. Trzeba było to się ku Krakowu puścić, to na czeską granicę podsłuchać co się tam działo, to na Szląsk, to na niespokojne Pomorskie rubieże, to do Gniezna i Poznania, na grody, po ziemiach, gdziekolwiek się co luzowało i psuło.

Król dawał mu czynić co chciał, a co on uczynił, dobrém było. Królowa się też nie przeciwiała. Z jego ręki ludzie stali przy panu i przy pani, krewny jego Wojsław był przy królewiczu,

a kto nie od niego był, albo nie z nim, długo tu trwać nie miał nadziei.

Po skwarnych dniach lata, król osłabłym czuł się bardzo, a im się gorzej na zdrowiu czuł, tém Sieciecha więcej pragnął, bo mu tylko z nim i przy nim dobrze dyło.

Już dnia przeszłego wyglądano Wojewody; pytała się nieustannie królowa, król przypominał co chwila — Sieciech, mimo obietnicy nie przybywał.

Zamknięty w izbie, której okna ku północy obrócone, gorących promieni słonecznych nie dopuszczały, Władysław Herman wstał następnego dnia blady, nieustannie czuł pragnienie, wargi miał spiekle, oczy zaognione, oddech ciężki, ręce drżące. Patrząc nań litość brała, tak nad wiek wyniszczonym się zdał i z sił opadłym. Oczy jego podnosiły się nieśmiało, patrzyły trwożliwie, cały wyraz twarzy cierpieniem był napiętnowany i wyczerpaniem. Dopalały się w nim resztki życia.

Wstającego z łoża dwu młodych chłopaków wzięło pod ręce, aby go przeciw okna otwartego, na świeżem powietrzu posadzić.

Król powiódł oczyma zgasłemi po izbie, po dworze swym, jednego z chłopaków służących mu poglaskał pod brodę i zapytał głosem ochryplym.

— Niema?

— Pana Wojewody? podchwycił odgadując chłopak, który się nieznacznie uśmiechnął — nie, miłościwy panie.

— A gdzież on jest? — odezwał się jakby sam do siebie król — gdzie on jest?

Na to mu odpowiedzi nie dano.

Nie było stołów rannych, obiednich dla dworu razem i państwa; król chory jadł u siebie, królowa sama, gdy rozerwać się była rada, szła między dwór i za stołem panowała. Szmer, tłum, gwar króla męczyły.

Że klęknąć nie mógł król pobożny, siedząc począł modlitwy odmawiać, co postrzegłszy chłopcy, stary szatny pański i podkomorzowie, którzy w progę stali, oddalili się. Wzdychając modlił się król, zadumywał, czasem modlitwa marła mu na ustach, to się jak pokutnik bił w piersi ręką wychudłą i kościstą.

Do koła cicho było, niekiedy śmiech się wyrwał zdala stojącej młodzieży i wnet przycichnął; to gonących się po podwórzu swawolników słychać było, których rozkaz starszych precz odpędził.

W drugiej stronie dworca u królowej hałaśliwiej i żwawiej ranek się poczynał, bo każde z państwa po swojemu żyło, jako chciało.

Raniiej od wszystkich wstał królewicz i już w lesie był. Ten z konia prawie nie zląził, a choć jedenaście lat liczył dopiero, jak stary

do łowów i do wojny tylko wzdychał. Mordowali się z nim wszyscy, on nigdy dosyć nie miał.

Gdy po skończonej modlitwie służba weszła królewska i komornicy, niosąc jadło w misach pokrytych i napój w dzbanach, zapytał król naprzd słabym głosem o syna. Odpowiedziano mu że w lesie już był ze psami, a nie wracał zwykle aż nocą.

Mimowoli oko królewskie zwróciło się na rozpostartą skórę niedźwiedzia.

Była ona pamiątką pierwszego, dziecinnego przed laty dwoma boju młodego Bolka ze straszonym zwierzem, na którego i starszy człek sam jeden nie rad by się porwał. Spotkawszy w borze starego niedźwiedzia, który się z połowicą swą w płasach zabawiał i igrał wesoło, Bolko puścił się nań mężnie, i choć mu śmierć groziła od rozjuszonej bestyi dla przerwanej zabawy, oszczepem go przebił. Skórę tą ojeu pod nogi młode chłopię rzuciło, jako zdobycz pierwszą.

Był to zadatek przyszłości.

— Nie darmo on Bolesławów imie nosi, odezwał się naówczas król, ale mu zapewne Szczodrego losy przysły na pamięć, bo posmutniał.

Zapytawszy wprzody o syna, spytał król pótém o królowę, panią swą. Podkomorzy oznajmił iż obiadowała ze dworem i panami, którzy

przybyli z pokłonem. Starczyła ta wiadomość królowi i nie badał już więcej.

Na stojące przed sobą misy popatrzył obojętnie i polewkę jeść poczynawszy, o czémś innem dumać się zdawał. Oczy jego patrzyły w jedno miejsce i nie widziały nic, bo nie widzieć nie chciały.

W tém w podworec zdała zaszumiało coś, zatęniało, królowi łyżka wypadła z ręki, zatrząsł się cały, na poręczach spał i poruszył jak do wstania. Ale sił mu nie stało.

— Wojewoda? — zapytał.

Służba rzuciła się do okien, inni wybiegli precz, i komornik królewski Zegrzda, rzekł wyjrzawszy.

— Tak jest, miłościwy panie.

Z radości widocznej, drżąc cały, usiadł król bo na nogach się utrzymać nie mógł, blask jego oczom bladym powrócił, uśmiech ustom.

— Wojewoda! — powtórzył sam do siebie, Wojewoda!

Rozradowany był i odżywiony.

Zaledwie wyrazów tych dokończył, gdy drzwi boczne otwarły się z loskotem, dał się słyszeć szelest sukni niewieścich i niewiasta ukazała się w progu, wchodząca śmiało, ku której król oczy obrócił.

Była to pani już nie pierwszej młodości, ale pragnąca być młodą jeszcze; siostra cesarza Hen-

ryka IV., Judyta, małżonka schorzałego pana, tak zdrowa i rzeźwa, jak on był zniszczony i wybladły. Prawda że i twarz i strój z wielką sztuką były barwy jasnemi odżywione. Słusznego wzrostu, bujnych kształtów, dumą i lekceważeniem królowa, trzepiotowatość miała zarazem odbijającą dziwnie od dobrze zwiędłej twarzy, obwisłych policzków, oczu podbitych i pofalowanych skroni.

Ubiór jasny, włos starannie trefiony, nawet kwiatek który trzymała w białych rękach przystałyby lepiej młodej dziewczeczce, a śmieszna czyniły niewiastę, która dawno młodą już nie była.

Szła królowa ku siedzeniu męża, zwolna rozglądając się na wsze strony, uśmiechając do podkomorzonych i komorników, nie wiele zdając troszczyć o chorego. Stała wreszcie o parę kroków od siedzenia i wachając kwiatek, odezwała się głosem nieprzyjemnym, jakby w nim fałsz jakiś czuć było.

— Ciesz się, miły panie — pana Wojewodę mamy. Przyjechał.

Klasnęła w ręce, patrząc ku drzwiom, król uśmiechnął się, skłonił głową i razem z nią ku drzwiom już spoglądał niecierpliwie, czekając zapowiedzianego.

Wszystkich wejrzenia zwracały się w tą stronę, milczenie było w izbie, Wojewody spragnieni byli wszyscy, królowa nogą uderzała o podłogę,

król siedział oparty o poręczę jakby do wstania się gotował. Upragniony ów gość nie ukazywał się jeszcze.

Judyta oglądała się i niecierpliwiła coraz bardziej, uśmiech przebiegał po jej zwiędłych ustach, oczy zmrużała z wyrazem jakimś czułym; ręką w której trzymała kwiat potrzasała, to ją podnosząc do twarzy, to zabawiając się dziecinnie.

Król o jedzeniu zapomniał, skinął na podkomorze, który rozkaz ów niemy zrozumiałwszy wyszedł. W tém za progiem kroki słyszeć się dały, lica króla i królowej rozjaśniły się, po brzęku ostrogi, po chodzie śmiałym, poznali wszyscy przybywającego, on to sam był, a z nim dwór dosyć liczny i bogato przybrany, który się u progu pokłoniwszy, zatrzymał.

Słuszny, wspaniałego wzroku i postawy, w siłę wieku mężczyzna, z twarzą jasną i młodą jeszcze, okoloną włosem złocistym, oczyma bystremi zdala policzył kto był w pańskiej komnacie. Wzrok to był co dwa razy spojrzeć nie potrzebuje. Królowa pierwsza, nim wszedł już go ręką z kwiatkiem witała, przymrużając oczy, uśmiechając się czule.

Król rozradowany wyciągnął dłonie obie, jakby wzywając ku sobie. Zwolna szedł ku nim po rycersku ubrany, można było powiedzieć, strojny Wojewoda; gdzieindziej z pozoru za księżcia, a nawet za króla wzięćby go było można;



tak pańskie, piękne, rozkazujące, dumne, promienne miał oblicze. Wpatrzywszy się w nie jednak strach przejmował, czy były nielitościwe, w ustach siedziały fałsze i zdrady.

Stworzonym się zdał do rozkazywania, wyraz twarzy, postawa, chód, wodzem go czyniły; królowa Judyta patrząc nań zdawała się zachwyconą i przejętą.

Szedł jakby umyślnie powoli, gdy serca ku niemu leciały.

Król i królowa, znając go dobrze, spostrzegli zdala że niósł z sobą coś niemiłego, że przybywał gniewny czy smutny. Chorego pana oblicze ściągnęło się, królowa posunęła się ku drzwiom, jak gdyby pytaniem uprzedzić chciała lub przestrzecz.

Zawahawszy się nieco w progu, wolnym krokiem, niby winowajca, lub zwiastun złej wieści, przybliżył się Wojewoda, kłaniając panu i pani. Judyta, niezważając na małżonka, który także pragnął zwabić ku sobie, wyciągała rękę białą.

— Sieciech do mnie! — zawołał król żywo. Cóż tak ociężałym krokiem?

— Bo ciężkie, ciężkie na sobie brzemie niosę, odparł ponurym głosem Wojewoda.

— Jezus ukrzyżowany niech będzie z nami! wykrzyknął król — cóż się stało?

Mniej daleko zatrwożona królowa, usta zagryzła i bystrym wejrzeniem w oczach Sieciecha

szukała tajemnicy, z której wypowiedzeniem się tak opóźniał.

— Czesi nam niepokój i zawichrzenie niosą, rzekł Sieciech.

— O! te Przemysławy obłudne! — zamruczała królowa nogą uderzając o ziemię.

— Z jakiegoż powodu? — zapytał król ręce trzymając załamane.

— Bo im Szląska żal straconego, odparł Sieciech, stojąc u stoła przy którym król siedział -- bo im się znowu zachciewa może Wrocławia i Krakowa i niewiem czego.

Odetchnął Sieciech, jakby się znużył, twarze się chmurami powlokły — królowa przystąpiła bliżej, zablizko może, bo się niemal o Sieciecha otarła, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę.

— Mię, miłościwy panie mężtwo wysłuchać wszystkiego jak jest, mówił zwolna patrząc na twarz króla Sieciech. Przekupiono Magnusa, którego ja dawno precz wyrzucić, oślepić lub zabić radziłem, bo czułem w nim zdrajcę; wzięto z klasztoru saskiego Zbigniewa.

Królowej twarz się zmarszczyła groźnie, król oczy sobie zasłonił i jęknął.

— Tak, miłościwy panie, kończył Wojewoda. Czechy co przytułek zdrajcom i zbiegom dawały, użyły ich i Zbigniewa, który śmie się synem starszym i prawym mienić. Zbigniewowi Magnus

Wrocław wydał, siedzi już na nim — Szląsk opnował.

Głuche milczenie w izbie zapanowało. Król siedział ciągle z oczyma rękami zasłonięmi; królowa spoglądała nań z rodzajem zimnego politowania. Sieciech stał ponury i zachmurzony.

— Trzeba lud zwołać i swoje odzyskać, a buntu nie dopuścić — odezwał się Wojewoda.

— Wojna więc! — znowu wojna! krwi przewlew chrześcijańskiej, wojna ojca z synem, jęknął król — a! nie, nie!!

— Niemożemy tracić Szlaską, zawołał Sieciech, jutro puszcza się dalej, jutro nam zabiorą więcej.

Milczał król długo i jęk głuchy tylko z piersi mu się dobywał.

— Czechy! zaczął cicho. — Czechy. Król nie może być przeciwko mnie, przeciw nam! Swawolnicy obszyli się jego imieniem. Do króla się ze skargą na nich udać potrzeba, wezwać go o pomoc. W przymierzu z nim i z Węgrami jesteśmy, niech nas ratują.

— A myż sami się ratować nie możemy? zapytała królowa.

Sieciech głową potrząsnął.

— Z Magnusem zdrajcą jest część naszych — Wojna to przeciw miłościwemu panu, ale bardziej przeciw mnie, co łaską jego żyję i szczęśliwy jestem. Mnieby to oni obalić i odegnać chcieli,

aby broili bezkarnie. Szląsk się oderwać chce, jutro Kraków tego zażąda, Mazury też i wszystko się rozpadnie.

Gdy Sieciech wspomniał że jego obalić chcą król wtrącił prędko:

— Ja bez was żyć nie chcę i nie mogę!!

Królowa potwierdziła to głową skinieniem.

— Musimy się odezwać do sprzymierzeńców bośmy swoich niepewni, dodał Wojewoda, ludzi przekupują i odwodzą.

Zamilezał król tuląc twarz w dłoniach i pasując się z sobą. Sieciech czekał odpowiedzi. W tém zniecierpliwiona wtrąciła się królowa, dotknęła ręką Wojewodę i rzekła.

— Co wy postanowicie i uczynicie to będzie dobrém. Widzicie że król się słabym czuje, zdał na was wszystko. Wy myście, wy poczynajcie, niedopuszczcie aby lada bękart groził ojcu własnemu.

Sieciech słuchając patrzył na króla, który myślami zdawał się być gdzieindziej.

— Magnus! przerwał nagle, niby sam do siebie. Magnus zdrajcą! a komuż ufać, wierzyć komu!

I ręce spuściwszy załamał.

— Miłościwy panie, wtrącił Sieciech — sprawa trudna, ale z pomocą Bożą damy radę bękartom i zdrajcom.

Dwa razy w rozmowie wyrzeczony wyraz, piętnujący nieprawę urodzenie Zbigniewa, przy-

kro się zdawał razić króla. Syknał jak z bólu i Sieciechowi dał znak ręką aby umilkł. Królowa gniewnie ramionami ruszyła.

Tak rozpoczęta rozmowa, przeszła w opowiadanie, które Sieciech ciągnął dalej, starając się wywołać gniew pański. Król słuchał milezący, blady, siedząc w krześle swém zwisły i bezsilny. Judyta przerywała niekiedy wykrzyknikami oburzenia. Wojewoda coraz się bardziej zapalał.

Wieść przywieziona przez niego popłoch na całym rodzila dworze, podawano ją sobie z ust do ust; wchodzili i wysuwali się u drzwi stojący komornicy, na podwórzu widać było skupiających się coraz gromadniej i gwarzących z dworem Sieciecha. Król tak był widocznie przejęty i osłabły że Wojewoda sam na razie, powieść swą o Zbigniewie przerwać musiał, i rzekł.

— Wam, miłoścy panie, spoczynek potrzebny.

Nieprzecząc temu, powiódł Władysław oczyma osłupiałemi i oparłszy się o krzesło zmrużył powieki.

Widząc to Sieciech powoli od stołu się odsunął, królowa skinęła aby szedł za nią.

Komornicy zaczęli się cofać ku wnijściu, król usypiać się prawie zdawał, ale z pod powiek zaciśniętych płynęły dwie łzy świadczące że cierpiał okrutnie, a wybuchnąć nie śmiał z tym bó-

lem. Gdy wszyscy wyszli, podniósł powieki strwożony, i szybko zamknął je znowu.

Zostawiono go samym.

Królowa wiodła Wojewodę podsieniami i krużgankami ku swojemu mieszkaniu. Tu inny był świat, inne życie. Króla w jego komorach otaczała cisza jakaś złowroga, jakby śmierć zwiastująca, około cesarskiej siostry kręciło się wesoło ludzi mnóstwo, wszystko strojne, butne i trochę swawolne.

Swobody widać mieli do zbytku.

Przepych też większy daleko spotykał się na każdym kroku.

Judyta wprost do swój komnaty prowadziła Wojewodę, którego orszak został u wnijścia, w drodze już poufną z nim rozpoczynając rozmowę. Choć przedmiot jej był smutny, siostra cesarska prowadząc ją niemal wesoło się wdzięczyła do pięknego towarzysza, który butnie a śmiało szedł koło niej. Oczy jej z tej mężkiej postaci rycerza nie schodziły na chwilę i zdały się w niej po długim niewidzeniu lubować.

*Sieciech* Zbigniew niekiedy się uśmiechał, lecz wnet wracała mu powaga, znać było na nim troskę przygniatającą, która zaprzętała go mocno, tarła czoło dłonią, marszczył się i okazywał w mowie popędliwym i gniewnym.

W obec króla miarkował się i łagodził, teraz poufalej sobie pocznął, pewien będąc że słowa

jego zostaną dobrze przyjęte. W istocie królowa im potakiwała tylko i starała się widocznie dowieść że z nim trzymała jedno. Niekiedy słowem to ruchem wyrazistym potwierdzała oburzenie Sieciecha.

Komnata gościnna królowej, do której weszli, lśniła przepychem, lecz był to przepych owym czasem właściwy, który mógł przylgnąć na chwilę do ścian każdego domowstwa, gdyż cały był przenośnym i ruchomym. Nie zamieszkiwano wówczas nigdzie, obcowano życie całe. Najleńsza chata mogła się stać pałacem, gdy ją jak te izby obito oponami, kobiercami wysłano, zastawiono w niej sprzęty, okryto ławy proste poduszkami, i sukienkami szkarłaty. W izbie królowej całe ściany odziane były szystem obiciem, podłoga wyłożona sukmem, stoły zwyczajne osłaniały kobierce i opony

Lśniło wszystko i świeciło, a kwiatów nad miarę rozrzuconych wszędzie, upajającą wonią napełniało powietrze. Lubiała bowiem królowa i co świeciło i co wonnym było, i co się uśmiechało nosząc z sobą wesele: śpiewy, gęźbę, twarze młode i mowy swobodne.

Przedłużała swoją młodość, okłamując się sama.

Wszedłszy do komnaty, padła królowa na krzesło swe u stoła, całe wygodnie poduszkami wzorzystymi miękko wysłane, umieściła się w niem

tak aby wdzięczniej wydawać mogła, podparła na rękę, a widząc Sieciecha stojącego, wskazała mu poufale ławę naprzeciw, ręką zapraszając aby bliżej jęj zajął miejsce.

Twarcz Judyty, która piękną być chciała, przybrała jakis pożyczany wdzięk młodość przypominający; spoglądała to tęskno, to zalotnie, to wyzywająco: gryzła kwiatek w ustach, i rzucała go pod nogi, ciągle Sieciechowi bystro patrząc w oczy, Wojewoda niezdawał się na to zważać wiele.

— Złe, złe wieści przywieźliście królowi, poczęła cicho i poufnie, jakby się lękała być podsłuchaną; złe bardzo, boję się aby to biedaka chorego nie wzruszyło zbyt. Kruchy i wątły ten pan mój, szeptała głos zniżywszy — słaby ciągle i stękaający. Życia w nim mało! to przeznaczenie moje, nigdzie długo szczęścia nie zaznać.

Jakże się wam król zdaje? — gorzej? nieprawda?

Sieciech oczy spuścił.

— Tak, gorzej niżelimi się spodziewałem, rzekł cicho.

— O! gorzej jest co dnia! złe jest! Ja o tęp najlepšíj wiem, ja się znam na tęp. Człowiek ten, niestety, nie może długo pociągnąć.

Mówiąc do królowa zdawała się bardziej tępgo pożądać niżeli się lękać, Wojewoda zmilczał.

— Uchowaj Boże co na niego teraz, poczęła

szybko siostra cesarska, rzucając oczyma niespokojnemi, cóż z królestwem, co z nami, co się ze mną stanie?

A! ojciec Bruno, który mnie na to namówił małżeństwo, odpowie przed Bogiem! W jednym, w was mam całą nadzieję, wy moim opiekunem będziecie...

Wlepila oczy swe ciemne w Sieciecha, wyzywając go do odpowiedzi, lecz nim miał czas ją dać, szczebiotliwa niewiasta dorzuciła.

— Na brata mojego Henryka, na synowców nie wiele liczę; chyba młodszy syn wziął koronę, najbardziej na was, Wojewodo. Wy mnie nie opuście. Weźmiecie i sprawę i mnie, na ręce wasze...

Podala mu dłoń białą, którą Wojewoda milcząc do ust przybliżył, lecz bez zbytniego ukorzenia i uniżoności. W jego obejściu się z królową poznać było można iż ona go więcej niż on ję potrzebował, że pewnym był swojego stanowiska.

— Ja z wami zawsze — rzekł cicho.

Wyjaśniło się czoło Judyty, przysunęła się, pochyliła i zniżywszy głos, poczęła głosem śpiesznym.

— Król jest źle, on już z tego nie wyjdzie. Najmniejsza rzecz go niepomiernie trwoży, siły traci, nie w smak mu nie. Często godzinami ust nie otwiera, siedzi dysząc z oczyma zamkniętymi...

Ani go pytać trzeba, ani się radzić, wy radzcie sami...

Ruszyła ramionami białemi.

Wojewoda ciągle skłopotany milezał; brwi Judyty ścigały się trochę gniewnie.

— Uchowaj Boże nieszczęścia, wy tylko i ja zostanę. Wy królestwo całe macie w ręku, dziecko małoletnie, tego syna niewolnicy nie liczę, nie ma prawa żadnego...

Tak, Wojewodo, wy ze mną!

Widocznie chciała Judyta stanowczą wywołać odpowiedź, z którą Sieciech się ociagał, wodząc do koła oczyma i ważąc coś w sobie.

— Miłościwa pani, rzekł nakoniec, zawczasu dziś o tém mówić co jeszcze chyba dalekie jest. Król chorowity pożyje, potrzebny on nam dziś bardzo...

Wrocław zajęty, to są wszystko wrogi moje, zawzięci na mnie, przeciwko tym nie ja, ale król sam iść musi. Chory czy zdrow, trzeba go nam mieć.

— A! zrobi co wy mu każecie — spieszenie wrzuciła królowa — ale nie wiem czy wywiózłszy go ztąd, nazał z nim żywym powrócicie.

Potrząsa głową obojętnie; uśmiechając się do Sieciecha, król nie zdawał się ją obchodzić wiele.

— Zdziecinały biedak cały dziś w rękach

waszych, ani go już liczyć — mówiła. Wsadzicie go na koń, pojedzie choćby konał. Jeżeli go tam potrzebujecie, czemuż nie? bierzcie — niestanie go, wy zastapicie.

Wyraziście te do zbytku usłyszawszy słowa, Sieciech dał znak królowej, wskazując na drzwi których zasłona zlekka zadrżała, jakby za nią ktoś odprawiał podsłuchy. Nie przestraszyło to jednak królowej, która usta zaciąwszy uśmiechnęła się pogardliwie i ramionami potrząsała.

Jednakże wstała z siedzenia, podeszła ku ławie i gdy Sieciech powstał, prędko mu coś szeptać poczęła. Rada była widocznie iż miała pozor zbliżenia się do Wojewody, parękroć uderzyła go po zbroi, klapnęła po rękę, dotknęła ramienia. Niesłychać było co mówili z sobą, lecz po szeptach przedłużonych, siostra cesarska głośniejsz skończyła.

— Dokuczyło mi już z tym trupem żyć. Gdy się wola Boża stanie, nie wiele leż wyleję. Brat lub synowiec mój temu da to królestwo kogo ja zechcę, a ja wiem kogo mam wybierać.

Cynicznie uśmiechnęła się królowa, Sieciech nie sprzeciwiał się jej wcale, chociaż oświadczenia te przyjmował dosyć zimno. Niekiedy trwożyła go drgająca zasłona, w słowa był skąpy, słuchał więcej niż mówił i świetnym obietnicom

nie radował się tak bardzo. Napróżno Judyta usiłowała go ożywić.

Zbigniew, Wrocław, Magnus i Czechy nie dawały mu pokoju.

---

i strzałami wisiała na siodłach, wlokła się przywiązywana do nich.

Dzień nie był stracony, powiodły się łowy; rżały do stajen i otrząsały się zmęczone konie, psy ujadły wesoło, trzepotały się sokoly, rozprawiali głośno ludzie, a młode chłopię co tym oddziałem dowodziło, po królewsku spoglądało na swe otoczenie, rzucając ku niemu słowa wesołemi. Ochmistrz tylko Wojsław burczał ponuro z konia zsiadając powoli znużony.

Sliczniejszego pana nad to chłopię, które z niebios na ziemię zesłał Ś. Idzi patron cudowny, nad to dziecię wymodlone u Boga, widzieć było trudno jak te ziemie szerokie stały.

Lat dziewięć mając Bolko już w puszczy bił niedźwiedzie, a gdy z Sieciechem pierwszy raz na wojnę się wyprosił, trudno było powściągnąć i utrzymać dzieciaka, który się parł gdzie największe było niebezpieczeństwo.

Natura to była owych pierworodnych, do wielkich spraw przeznaczonych gorąca, niepohamowana, szybka, nierozważna, zuchwała, prędka jak piorun, szalona jakby się swą młodością upajała.

Gdzie się on ukazał, był jak ogień co wszystko grzeje; ciepło się robiło gdy przystąpił, pobłyskiwały oczy, śmiały się ku niemu usta, słowem ludźmi miotał jak chciał, rzucał niemi, bo

#### IV.

Noc już była prawie, gdy na osobny podwórzec, królewicz Bolko, w kilkanaście koni z drużyną swą, zajechał z łowów wracając. On i mało co od niego starsi towarzysze, w czwał, jak burza i wichry wpadli przeganiając się we wrota, i popędzili przed podsienia, u których służba czekała. Bolko konia swojego osadził w miejscu żelazną ręką, aż się spał do góry i o mało wznak nie przewalił; skoczył lekko z niego i puścił, dwu towarzyszków ze swoich szkap zleciało.

Wojsław ochmistrz królewicza, mający nadzór nad nim, wolniej dociągnął za niemi, gdy już Bolko, otrząsnąwszy się z kurzu, śmiejąc się stał ujawszy w boki.

Ci co pospadali śmieli się także, dwór cały był dobrój myśli, zwierzyzna nabita oszczepami

miał owo królewskie słowo co nie rozkazując nawet budzi do posłuszeństwa.

Mimo własnej woli krnąbrni nawet biegli gdzie wskazał, a on sam, skoro go myśl porwała nie zważając na niebezpieczeństwo, pędził zapamiętałe nie zważając na nie. Kipiało w nim życie i jak wrzątek wylewało się za brzegi...

Choćby jedenaście ledwie miał skończonych, rycerzem już się mógł nazwać, szanowano go jak dorosłego męża. Nad wiek się rozwinął, zmężniał, zolbrzymiał; tylko nie porosła twarz i policzki niewieście o latach świadczyły.

Gniewało go to że starszym nie był, ale mu chłopięcych lat nikby był zadać nie śmiał, obawiano go się. Biłci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał nie drgnawszy, chłopak od Boga darowany.

Dość spojrzeć nań było gdy tak stał między słupami, otoczony drużyną, zdala każdy królewicza w nim poznał: kształtny był, krzepki, zwinny, giętki, choć całego swojego wzrostu nie miał jeszcze, już duży, ramion szerokich, piersi wypukłej jakby puklerzem okrytej, rąk silnych choć drobnych.

Twarcz też była piękna, rycerskiego wyrazu, tylko około ust z jednej strony, wrzód który był nabral i rozpuł w dzieciństwie ślad po sobie zostawił, piękne wargi skrzywiwszy, nieco. Dziwny to wyraz dawało twarzy, nie szpecąc jej

bardzo. Królewicz mawiał wskazując na szram ten że broda i wąsy go pokryją. Szkoda tylko że blizna nie od włóczni jest ale od wrzoda lichego.

Twarcz miał ciemno ogorzałą, bo jej nie szanował i nie krył; czoło tylko jak śnieg białe, policzki rumiane jak jagody, oczy ciemne w których płomień skryte nieustannie paliło się i gorzało.

Gdy stał, choć spokojnym być chciał królewicz, drgał jakby go wewnątrz coś bodło i spokoju nie dawało.

Gwiazda to była wszystkich co się do niego zbliżali, kochali go wszyscy, choć podczas i srogim być umiał a popędliwym. Gdy się pogniewał a rozjątrzył ubić gotów był druha, choćby go potem oplakał.

Mówili nań niektórzy — Bolesława to onego wielkiego potomek prawy, odżyje w nim tamten, wdał się w niego. Miał odwagę niezłomną Chrobrego a Szczodrego szłał bojowniczy i wspałałość.

Straszném się to zdało że tak wczesnym był, bo w jedenastu leciech mężem prawie. Nic mu nie brakło, bo pobożność ojca i matki, której nie znał, odziedziczył, męztwo dziadów i ich rozum; po księgach go jednak szukać nie lubił. Słuchał chętnie rozumnych ludzi, mawiając że lepsze są księgi żywe nad te co się na zdechłych



skórach piszą. Do nich też i czasu nie miał, bo koń i oręż, zabawa rycerska śmiała mu się w dzień, marzyła w nocy...

Pieszczot macierzyńskich nie znał Bolko, niewieściego wychowania nie kosztował; matka mu zmarła na świat go wydając, a macocha nie lubiła tej perły, która nie jej była. Wyszło mu to na dobre, że go zawczasu wzięli między siebie wojacy, bo w tym wieku, gdy drudzy się jabłkami bawia, on z łuku ptastwo strzelał, a konia małego dosiadał jakby doń przyrosnął...

Macocha go precz od siebie oddaliła, zdając na ręce Wojsława, ale ojciec za to miłował jak oko własne jedynaka, owe dziecię z daru Bożego.

Szanował w nim niemal ten cud wyjednany ofiarą Ś. Idziemu złożoną, że gdy się już potomka nie spodziewał, Bolko na świat przyszedł.

Pobożny król gryzł się bezdzietnością swą, bo mu Zbigniewa bez ślubu i błogosławieństwa duchownych narodzonego, za syna uznawać nie dozwolono. Kochał i tamtego a wyrzec się musiał, pragnął więc takiego któregoby kochać mógł bez grzechu. Miłował go też nad wszystko w świecie, a i z tém prawie się musiał ukrywać, bo macochę to jątrzyło że nie jej był ten którego kochano.

Z królem razem kochali go wszyscy oprócz zazdrośnej Judyty i oprócz Sieciecha.

Wojewodzie ten syn pański, dziedzic prawy,

choć go przy ojcu pod niebiosa wynosił, był sołą w oku i strachem; stał mu na drodze, zapierał wshody do góry...

Przed królem Sieciech mawiał zawsze iż młodego pana ostro i surowo trzymać było potrzeba aby się nie rozbijał zawcześnie, nie zhardział do zbytku, cugli sobie nie popuścił. Po cichu i wzdychając przypominano cesarza Henryka IV, który z obu synami miał zatargi. Z ręki też Sieciecha, krewny jego Wojsław dodany był za ochmistrza królewiczowi.

Wojsław może w początkach posłusznym był temu co go posadził na straży, gdy Sieciech nań patrzył, surowo się z wychowankiem obchodził, ale się wprędce rozmiłował w nim, nawykł mu ulegać i sprzeciwić się nie umiał. Urok ów i potęga życia pełnego młodości podziały nań. Zaczynał często od strofowania a kończył na uścisku, wołał głośno a wprędce zniżał głos, uśmiechał się, milknął

Wojsław mrukliwy był, podżyły, ciężki, często do zbytku milczący; w potrzebie śmiały, ale nie prędkięj myśli i niepewien siebie; Bolko go wyprzedzał we wszystkim, a gniewnego czasem objawszy za szyję skruszył pocałunkiem i śmiechem. Powoli rozmyślając Wojsław widział więcej, rozumiał lepiej niż się zdawało, nie chwalił się z tém, milczeć umiał. Mówił mało, ale to co rzekł ważyło. Do niedźwiedzia podobnym był

z postawy i obyczaju, ruszyć mu się było ciężko, a gdy się dzwignął, druzgotał co popadł.

Rachował nań Sieciech jako na krewniaka ze swęj ręki postanowionego, przeliczył się jednak sądząc że mu w myśl jego działać będzie. Wojśław obowiązek swój pełniąc, nie na deń zrozumieć nie chciał. Zżymał się Wojewoda, ale go już z miejsca ruszyć nie było można.

Gdy burza ta młodzieńcza wpadła w podwórzec zamkowy, aż cały grod niemal zatrząsł się od niej, pozostałe psy zamknięte w psiarni zawyły, konie w stajniach rwać się i rżeć poczęły, ludzie z komor powybiegali. Każdy się domyślił że to królewicz przyjechał.

W spokojnej nawet izbie królewskiej, oddalonej od Bolkowego dworu, zadzwieczyły naczynia stojące na stole. Władysław nastawił ucha i uśmiechnął się, on także czuł że to syn jego ukochany przylecieć musiał... On jeden a chyba Pomorey drudzy na zamek iść mogli z takim szturmem i nagłością. Sieciech co przy królu siedział zmarszczył się, królowa stojąca przy mężu, zacięła wargi. Na twarzy Władysława Hermana malowało się jakby ubłogostawienie.

Przybywało życie jego, tak jak ten co Wroclaw zajechał, był dlań śmiercią i sromem.

Bolko stał w przedsieniu, chciał widzieć gdy zdejmą zwierzyne, gdy psy, konie i ludzie się rozejdą, a na jutro nowe łowy, ludzi, konie i psy

zakazać. Na jutro mu obiecywano niedźwiedzia. Polowania dlań nie było na tego zwierza co pierzchał, ale na tego co walczył.

Już miał Bolko zakrzyknąć na swą czeladź, gdy z ławy na której wdali w kącie podsienia siedział, podniósł się młody chłopak bladęj twarzy, szczupły, drobny, ale zręczny jak jaszczurka co się między kamieniami zwija, z długim włossem jasnym, z ogromnemi oczyma niebieskiemi, które mu z pod czoła wyskakiwać się zdawały. Był to ulubiony służka i towarzysz królewicza a zwali go Pruszyneką, choć imię miał Mikołuszek.

Szedł jak oduczony ze snu, i domyślić się było łatwo czemu; choć panu ulubiony w domu pozostał, bo rękę jedną miał całą chustami obwiązaną i niósł ją, niemogąc poruszyć. Na polowaniu dobijając borsuka dał mu się pochwycić zębami, tak że musiano żelazem ściśniętą rozwalać paszczekę, aby wydobyć dłoń chłopca strzaskaną, która się dopięro ziołami okładana goiła.

Dla Pruszyнки zostać w domu było srogą karą, ale ruszyć się nie mógł, bo słuchać musiał. Królewicz go lubił nad innych ze swęj drużyny, bo Pruszyńska szedł i biegł z nim, choć sił jego niemiał, w ogień i wodę. Dla Bolka gotów się był dać ubić i zarznąć. Sypiał u pańskiego progu, stał cały dzień u jego boku, chodził i jeździł gdzie się kolwiek ruszył.

Zobaczywszy go Bolko krzyknął wesoło.

— Cóż to nie zdechł Pruszyńko?

Chłopak potrząsał głową i włosy odgarnął.

— Nie, miłościwy panie, odparł z pokłonem, tylko z nudów a żalu żem tu sam jeden zostać musiał, o małym nie przepadł; ręka się już goi, baba mówi za dni pięć, a ja za trzy do licha, plachty i onuczki rzucę w pokrzywy.

Rozśmiał się, rękę chciał podnieść i jęknął, pógroził mu królewicz.

— Nie dokazuj, rychło mi będziesz potrzebny.

— Wojewoda Sieciech przybył! cicho odezwał się Pruszyńka.

Skrzywił się nieco Bolko.

— Co mi potem! rzekł krótko.

— Licha nam nawiózł.

— Jakiego? co?

Wojśław stał niedaleko, usłyszawszy rozmowę zbliżył się zwolna swym niedźwiedzim, ociężałym krokiem.

Pruszyńka mówił dalej.

— Srogie rzeczy rozpowiadają.

Wyrwał się słysząc klechom Zbyś co siedział w klasztorze u Sasów, zawiedli go panowie do Wrocławia i jak na stolicy posadzili. Biorą go Szlązacy za księcia.

— Co ty szalejesz! przerwał Wojśław.

— Cały już dwór o tym prawi! zawołał urażony Pruszyńka, tak ci jest, król o mało nie omdlał gdy się dowiedział.

Stał Bolko namarszczony.

— Nie tak straszego, odezwał się, ludzi zebrać a prędko, nie tracąc i dnia, dopóki oni głów nie mają, póki się nie spodziewają paść na nich i rozbić a zgnieść...

Ręką w powietrzu zakreślił koło i pokazał na ziemię.

— Dobrze! dodał, wojna będzie, a nie, toby się ludziska pospali i popuchli! — a! dobrze pójdziemy na wojnę...

Spojrzeli nań wszyscy — oczy mu pałały.

— Ale on z sobą ma Czechów pono i Magnusa, rzekł Pruszyńka, ludzi dużo nzebierali.

— A my to ich niemamy? śmiał się Bolko — on zbiera, my tylko wici pošlemy aby stawano, pod gardłem. Muszą być!

Co drugim zachmurzało czoła, królewiczowi twarz rozjaśniło, rad był! Spodziewał się na tę wojnę wyprosić. Czemże dlań były łowy przy prawdziwej wojnie, w zażartym boju do którego wzdychał, walki w której się rąbano zajadle i on mógł ręki na karkach ludzkich spróbować!

Z drugiego podwórca pędem biegł komornik królewski.

Król już wiedział o synu i wołał go do siebie bo cały dzień nie widział ukochanego i tęsknił, a chciał wiedzieć czy był cały, czy mu się nie stało nic.

— Król, pan miłościwy, wzywa a żąda was pilno — rzekł komornik, pospieszajcie.

Choć nie odziany był tylko tak jak na łowy, w kaftanie krótkim, w losiowém, obcisłym ubraniu do konia, w bucikach do jazdy, a róg jeszcze miał na plecach i mieczyk myśliwski u boku — pospieszył jak stał.

A że nieumiał ślimaczym chodem iść jak drudzy, popędził przedsięiami żwawo, nim Wojśław miał czas mu przypomnieć aby się przeodział. Ruszył za nim powolny ochmistrz, gdy już mu z oczów zniknął, więc ręce załamawszy stał mrużąc.

W komnacie królewskiej, Władysław siedział na tym samym miękko wysłanym stołku, na którym go z rana zła wieść znalazła. Stała królowa u jego boku tak, iż król jęj widzieć nie mógł, a ona Sieciecha naprzeciw stojącego miała przed sobą. Znaki mu dawała jakie chciała, nie bardzo troszcząc się o to iż u progu stojący podkomorzowie i komornicy je także widzieli.

Król posępniejszy był niż z rana, ale rzeźwiejszy nieco. Sieciech przy nim, gdyby drugi król swobodnie się obracał, a choć pana szanował z nawyknięcia, znać było że go nie wiele ważył.

Po szybkim chodzie ojciec poznał Bolka, twarz mu się rozjaśniła, usta otwarły, na drzwi wzrok obrócił, zapomniał o wszystkim.

W tém po młodzieńczemu wpadło chłopię

z czapeczką w rękę, z rogiem na plecach prosto biegnąc ku ojcu. Długie włosy rozwiane na ramiona mu spadały, twarz umyślnie rozweseloną przybrał, i szedł spiesząc do ręki ojcowskiej. Oburącz pochwycił go król za głowę i począł nie nie mówiąc, ścisnąć i całować. Od ojca zwrócił się król wicz ku Judycie.

Ta dziwnie się z nim obchodziła, kochała go czasem do zbytku, częściej nienawidziła i niechęć wyraźną okazywała. Urok młodości tój wesolej, żywej, wdzięcznej chwycił ją za serce, potem wstręt jakiś odpychał. Była macochą, a niemiała syna.

Zawahała się z podaniem mu ręki, aż zwolna wyciągnęła ją ku niemu. Bolko pochylił się do pocałowania i ustąpił prędko. Sieciech stał jak mur groźny, surowy, niemal straszny, na powitanie oczekując i niewyprzedzając go. Z wejrzenia jakie rzucił na syna królewskiego widoczném było że dlań nie miał życzliwości, że mu zawadzało to chłopię tak ukochane ojcu i wszystkim.

Pokłonił się zdala wojewodzie król wicz, w zamian Sieciech ledwie głową skinął lekceważąc sobie dzieciaka.

— Bolek — zawołał król zwracając się ku niemu i ręce doń wyciągając — slyszales? wojna, mieć będziemy wojnę!

— Tak, mówiono mi coś gdym z konia zsiadał, rzekł król wicz, niech więc Bogu będą dzięki!

Ręce obie podniósł do dóry, Sieciech się obrócił doń zmarszczony...

— Niegodzi się, rzekł surowo, wojny pożądać nigdy, nikt nie wie jak ona wypadnie.

Król westchnął głośno.

— A! gdyby i najgorsza była, rzekł wesolo królewicz, zawsze to wojna, a dla ludzi rycerskich cóż nad nią miłszego.

Czoło króla rozpogodziło się, cieszyła go ta odwaga dziecięcia.

— Prawy wojak z ciebie będzie, zawołał i pościągął go ku sobie, całując w głowę.

Judyta skrzywiła się, Sieciech przeszedł w głąb izby kroków kilka, jakby na te pieszczoty ojcowskie nie rad patrzył. Stał potem nieco opodal, zwrócił się i przerwał szeptu króla z Bolkiem, których dosłyszeć nie mógł.

— Miłościwy panie, królewiczowi po łowach czas spoczywać, ja czekam rozkazów waszych, bo i jednej nocy tracić nie trzeba.

Odprawiony w ten sposób Bolko oczyma się pytającami do ojca odwołał, a król ręką wskazał aby nieco ustąpił. Chłopak się cofnął ku ścianie, Sieciecha wzrok poszedł za nim.

— Mów, wojewodo, odezwał się król, nie nam chłopiec nie wadzi, niech słucha owszém i waszego się uczy rozumu.

Była chwila wahania się i milczenia. Sieciech

spoglądał na królowę, ta mu znaki jak'ęś dawała, nareszcie począł, będąc posłusznym królowi.

— Miłościwy panie, rany goić potrzeba dopóki się nie zaognią.

Wyśle wiec i posłańców po grodach aby się ludzie nasi ściągali co najrychlej tu do nas. Musiemy iść siłą znaczną na Magnusa i Wrocław. Zdrada jawna, lecz przystało nam zrazu w nią nie wierzyć, oczy zamknąć, spróbować ażali się nie pomiarkuje. Jeżeli go do rąk dostanę, łeb mu zetnę.

Pójdzieli jedna ziemia po swój woli, osobno każdej się zechce swego księcia mieć i stać samomas...

Magnus zaskoczony nim siły zbierze, uledek musi i Zbigniewa nam wyda. Ale mi nie przystało samemu iść, powiedzą że ja to czynię a nie wy, miłościwy panie. Musicie być ze mną osobą swą, Sieciecha, nienawidzą, dla tego że wam wiernie służy. Sieciech im solą w oku, na Sieciecha wszystko złe zwalają! Bez was, miłościwy panie, powagi nie będzie, Magnus ulegnie wam a mnie się opierać będzie.

Król słuchając z uwagą nateżoną, kilkakroć dłonią drżącą powiódł po czole — wzdychał ciężko.

— Luźnym słowem które lada kto przynosi odezwał się, nie dawajcie łatwo wiary. Nim się rycerstwo zbierze, nim wystąpiemy, do Magnusa

trzeba słać z pytaniem, niech powie czego chce, co myśli. Podda się może bez bitwy, nie, pójdziemy nań, gdy inaczej nie może być.

Sieciechowi słuchającemu, twarz się mieniła i ramiona poruszały.

— Ślijmy do Magnusa, kiedy taka wola Wasza — odparł miłościwy panie; ślijmy doń, ale wici trzeba słać i lud gromadzić, aby być pogotowiu.

— Gromadźcie, potwierdził król smutnie, wy lepiej wiecie co trzeba.

Bolko stojący pod ścianą ręce zacisnął z radości. Młodej głowie jego tylko zdało się że słać do Magnusa nie było po co, a z buntem się w rozmowę wdawać nie potem; wprost nań uderzyć, rozbić i ukarać... Po dziecinnemu myślał. Po co tu w słowa grać, gdy w miecze brzęknąć można!

Stało się milezenie.

— Niewiem ci co Magnus powie, począł Wojewoda, ale to wiem że podłym zdrajcą jest. On to z jamy dobył klechę, aby go przeciw nam prowadzić, nim się zastawić i ranić serce ojcowskie. Tak! zdrajcą jest, on i wielu innych po tych ziemiach co z nim przeciw mnie trzymają. Niemogą na króla uderzyć, biją we mnie, wiedząc że król stoi za mną.

Wszyscy przeciw mnie są, wszyscy przeciw wam, panie! zdrajcy niepoczciwi wszyscy!

Począł się coraz bardziej unosić.

— Na mnie biją, mówił, bo ja stoję na straży dobra pańskiego i całości tych ziem, które oni rozerwałyby radzi na kawaly; każdy z nich ciągnie w swą stronę, radby sam panem być, słuchać niechce nikt. A co warte królestwo rozerwane na poły i szmaty?

Wszakci je krwawo Mieszko i Bolko spolił na to w jedno, aby siłę miało, na to korona im była dana, aby pod nią się wszystkie ziemie jak kurczęta pod kokoszą gnieździły...

Władysław słuchając niby na stół patrzył, myślał niewiadomo o czym; wzrok czasem ukradkiem wyrwał się ku synowi. Roztargniony był i gdy się Wojewoda zatrzymał, rzekł jakby machinalnie.

— Ślijcie do Magnusa.

— Kogoż, wasza miłość posłać każecie! pytał Wojewoda.

— Wybierzcie sami — szepnął Władysław, ja niewiem.

Królowa poczęła znaki dawać Wojewodzie, który się namyslać zdawał, milezał.

— Duchownegobym słał — odezwał się Sieciech, aby pokryjonu i z ks. biskupem Żyrosławem się rozmówił, a jego też ku nam naklonił. Gdy ojciec a pasterz, słowo rzecze, ludzie rychlej za nim pójda niż za Wojewodą. Duchownegoby

potrzeba, ale takiego coby i mógł i chciał, nie-  
widzę.

— Znajdźcie i wyślijcie kto wam po myśli,  
potwierdził król zbywając się ciężaru.

Znowu królowa dała znak.

— Duchownego nie mam, Wojysława poślę,  
gdy innego nie znajdę — odezwał się Sieciech.  
Temu przynajmniej zawierzyć mogę że mnie nie  
sprzeda. Mojej krwi jest i wam wierny, miłości-  
wy panie, Wojśław małomówny, powolny, ale  
jak kamień twardy; nie przemienią go, nie kupią,  
nie nastraszą.

— Ślijcie Wojysława, zamruczał król obo-  
jętnie.

Ruszyła z politowaniem ramionami Judyta.

— Co ma rzec im? — zapytał uparty Wo-  
jewoda.

— Co wy mu każecie, rzekł król zimno,  
spuszczając oczy, będziecie wiedzieli jak mówić  
do nich. Niech wichrzeń wszelakich zaniechają,  
niech Zbigniewa nazad pod strażą do klasztoru  
odeślą.

Mówił coraz ciszej, rozmowa widocznie króla  
nużyła, ocierał pot z czoła tuwalnią, wzdychał,  
oczyma niespokojnymi po izbie wodził, jakby ra-  
tunku szukał przeciwko temu męczeństwu.

— Idźcie, wojewodo miły — dodał żywiej,  
idźcie, rozporządzajcie, czyńcie jako chcecie, wiem

że co uczynicie dobrém będzie. Na wszystko  
rękę daję — na wszystko.

Sieciech głowę uchylił, poruszył się jakby od-  
chodzić miał, i zawrócił raz jeszcze.

— Więc wola wasza, wojsko ściagać — Woj-  
śław jutro na zaraniu w skok do Wrocławia ru-  
szy, takeście przykazali, tak się stanie, ale Woj-  
śław wróci z rękami próżnemi.

— Usłyszym czego chcą — mruknął król tro-  
chę niecierpliwie.

Jeżeli zażądata co niegodziwe, postanowimy  
co dalej.

Gdy Sieciech już ku drzwiom się zbliżał, kró-  
lowa za krzesłem pana stojąca, ruszyła się jakby  
goniąc za nim, Władysław podniósł oczy na nią,  
ale widząc że gdzieindziej była zwróconą, ku sy-  
nowi spojrział. Ruch ten dostrzegłszy macocha  
spieszniej jeszcze do wyjścia się miała. Suknia  
jój jeszcze nie znikła całkiem za zasłoną, gdy  
Bolko z pod ściany poskoczył i wesoło zbliżył  
się do ojca.

Oba się do siebie uśmiechali, król o trosce  
zapomniał.

— Łowy? jak że poszło na łowach? spytał.

— Już mi łowy nie w głowie, kiedy wojna  
za pasem! — prędko począł Bolko. A! miłości-  
wy ojeze, po co do nich posyłać, na co ich py-  
tać, iść na nich, na karki paść i tłuc!

O! ja — zawołał chwytając ojca za rękę, ja z wami i Sieciechem idę.

Władysław głową potrząsał.

— Nie — nie, rzekł.

Zachmurzyła się twarz Bolkowi, odskoczył.

— Chodziłem na Pomorze! zawołał.

— Inna to wojna, jeżeli od niej Bóg miłosierny nas nieuchroni — rzekł król smutnie. Któż wie kogobyś mógł napotkać naprzeciw siebie!

Bolkowi oczy się iskrzyły.

— Kto przeciw ojcu mojemu idzie, ten mi wrogiem jest, nie pytam jak się on zowie, zawołał.

Król przyciągnął ku sobie i w głowę pocałował, dwie lzy mu pociekły po twarzy, które otarł po cichu. Zamiast odpowiedzi głową potrząsał długo — słowa rzec nie mogąc. Głośna rozmowa, widać dla tych co u drzwi choć zdala stali, ale słyszeć ją mogli, przeszła w szepty ciche.

Król dopytywał, słuchał odpowiedzi roskoszując się niemi; widać było że żył w tém dziecięciu — uśmiechał się do niego, głaskał. Nagle przycisnął go do piersi i rzekł głośno.

— Idź już! idź!

Posłuszny syn, do ręki się pochylił, ucałował ją i zwrócił ku wyjściu. Na twarzy królewskiej niepokój się odmalował, na komornika skinał, który gdy się zbliżył szepnął cichym głosem.

— Ojca Lamberta wezwijcie do mnie.

Czy dozorca i kierownik sumienia królewskiego był tak blisko, czy się spodziewał i czekał wezwania wieczornego do modlitwy lecz i jeden pacierz, nie upłynął gdy już się ukazał na progu. Na widok jego cała służba komornicza, która dla rozkazów zwykła stać była we drzwiach, cofnęła się zaraz i znikła.

Ojciec Lambert, mężem był poważnym, lecz umiał składać tę powagę i surowość, a stawać się łagodnym w potrzebie. Rozum patrzył mu z oczów. Mimo dość podeszłego wieku twarz miał rumianą, od której siwe zupełnie włosy mocno odbijały.

Rysy były wyraziste, piękne niemal, ożywione przelatującymi po nich wrażeniami. Usta choć się starały być dumnymi, miały więcej łagodności i pobłażliwości, niż powagi, prawdziwy to był kapelan dworski, który dla spełnienia posłannictwa swojego naprzemiany różne przybierać musiał charakter; do niczego już zbytniej nie przywiązując wagi. Szedł zwolna do króla nie unizając się przed jego majestatem, z którym był oswojony, patrzył tylko jakim go znajdzie, aby się do stanu choréj zastosować duszy.

Król witał go z upragnieniem, zdala głową i ręką zapraszając ku sobie. Nieprzyspieszył kroku ojciec Lambert i dopiero przy stole stanawszy, uklonił się.



Na wezwanie podał rękę, Władysław obyczajem wieku, z pokorą ją ucałował.

Oczy jego zwróciły się ku drzwiom niespokojnie, ale tam już nikogo nie było.

Rozkazawszy przybliżyć się duchownemu, Władysław pochylił się ze złożonymi rękami, jakby spowiedź przed nim miał czynić.

— Ojcie mój, począł, ojcie uspokój sumienie moje. Nieszczęście dotknęło mnie. Grzech mój wychodzi na światło dzienne, aby się pomścił nieprawości mój. Chciałem go przed światem utaić, czyniąc ofiarę na przebłaganie Boga.

Wiecie? zapytał król.

O. Lambert zawahał się trochę, choć z twarzy jego łącno poznać było, że wiedział to o co był pytany. Przez o. Lamberta, który sumieniem pana władał, kierował niem Sieciech, musiał go więc uprzedzić zawczasie.

— Wiem co Bóg dopuścił — westchnął kapelan.

— Wiecie więc niedolę moją, na którą pościechy szukam i rady, mówił Władysław. Dziecię moje, które daleko ztąd ukrywałem, wyciągnęli na świat nieprzyjaciele moi. Mnie, ojca, na sąd powołują! na pośmiewisko podają!

Co pocznę? — Ojcem jestem i zguby dziecka pragnąć nie mogę.

Ojcem jestem.

Królowi pot zciekał z czoła, łzy z oczów, głosu mu brakło.

Duchowny wpatrywał się w niego z uwagą mileząc.

— Coście uczynili raz — rzekł, a dobrém było, nie cofajcie. Osiem lat spędził w klasztorze, Bogu był ofiarowany, cofać nie godzi się daru położonego na ołtarzu. To gniew Boży przeblaga. Spuścił głowę Władysław.

— A! mówili mi szeptali — donosili, pisywał przełożony, że go nalamać nie mogli i suknia mu powołania nie dała, krnąbrny był.

— Upor złego ducha w nim złamać było potrzeba, rzekł o. Lambert.

Król w dłoniach ukrył czoło.

— Cóż winne biedne dziecko? wyjąknął.

— Dziecięciem grzechu jest, odpowiedział kapłan.

Nastąpiło milczenie, po którym król znowu mówić począł, jakby litości wzywał nad sobą.

— Ojcie mój! wy to najlepiej wiecie, ile takich małżeństw do niedawna było jeszcze, nim kościół nakazywał począł, aby bez jego błogosławieństwa ludzie się żyć nie ważyli. Niewiasta z której się narodził syn ten, prawą mi i wierną żoną była, żoną się zwała moją, tak jak ja mężem jój się wyznawałem. I byłaby została małżonką moją do końca żywota jój, gdyby mi po Bolesławie nie kazano wziąć tego ciężaru nad

sily, a innéj królewskiego rodu małżonki dla potomstwa. Naówczas tamtą usunąć musiałem... dziecka się zaprzęć.

— Stało się i dobrze się stało, odpowiedział duchowny. Dla królestwa téż waszego lepszym jest jeden co je dzierżeć będzie, niż dwu coby je mieli rozrywać.

Bolek miłym wam jest.

Królowi obficie się łzy rzuciły, płakał ręce wyciągając.

— Ojcem jestem, powtarzał, wnętrzości ojcowskie dla obu mam, i to jest dziecko moje!

Wyrzekł to tak silnie przejęty, że kapłan, który go nie spuszczał z oczów, na chwilę oniemiał, zbierając się do odpowiedzi.

— Miłościwy panie, rzekł po namyśle. Miłość ojcowska nie wymaga po was ofiary spokoju ziem tych i bezpieczeństwa. Gdy się Zbigniew narodził królem nie byliście, nie winicie mu działu z królestwa, bo by pokrzywdzonym był ten którego modlitwy pobożnej królowej wyjednały. Azali w klasztorze szczęśliwym nie może być?

Miłujecie Bolesława! powtórzył Lambert, bijąc w słabość królewską.

— Kocham go jak oczy moje, rzekł król — jak życie i nad to mizerne życie, ale na sumieniu kamieniem, brzemieniem cięży mi ten — ten!! Nocą słyszę płacz jego w kolebce, jawi mi się

nocami matka jego, staje u łoża i woła jako na Kaina.

Coś uczynił z dzieckiem mojem? — Azali ono i twojem nie było?

Trwożę się i drzę a boleję, bo gdy serce odpowiada, Bogum go dał na ofiarę, ona woła na mnie, iż Izaaka nie chciał Bóg od Abrahama, choć posłuszny pod nóż głowę skłaniał a ten nie chce jój poddać pod słodkie jarzmo Chrystusowe.

Widząc króla tak mocno poruszonym, iż w mowie czuć było niepokój, o Lambert począł łagodnie go pocieszać.

— Miłościwy panie, sny i widzenia zsyła moc nieczysta... Krzyż od nich uwalnia. Klasztor nie jest stosem ofiarnym, ale przedsieniem przybytków niebieskich.

Mogliście mu co lepszego dać nad spokój i pewność zbawienia? Czyż świat ma co droższego nad to? niemacie na sumieniu nic, boście wedle serca ojcowskiego postąpili.

Zamilkli, płakał król jeszcze.

— Módlmy się, ojcze, odezwał się znużony — psalmy mówcie abym je powtarzał za wami, alisci dusza się moja uspokoi i wstąpi w nią łaska pańska a da siłę.

Kapłan natychmiast ukląkł u stołu, złożył ręce, król nieco się przychylił klęknać niemogąc i psalmy razem odmawiać zaczęli.

Nabożeństwo to trwało tak długo, że gdy o. Lambert powstał, aby odejść, a komornicy weszli aby króla rozdziać i do łoża prowadzić, znużony pan o swą siłę dźwignąć się niemógł.

Podczaszy niósł napój na sen w kubku złotym, drudzy misę, nalewkę i ręczniki, inni odzież nocną. Młodsza czeladź przyświecała. Dwóch pod ręce podniosło chorego i tak pochodem długim ciągnąc znikli w przyległej sypialni, a w pierwszej izbie zostali tylko na czatach komornicy.

Na zamku cicho już było, świeciło się tylko i poruszało w komnatach królowej. Sieciechowi ludzie stali pogotowiu zbrojni, których rozsyłał na wsze strony. Coraz to się z zamkowych bram wysunęła gromadka i pognęła gościńcem w noc ciemną.

O. Lambert z pacierzy i rozmowy, wprost poszedł do Wojewody.

Pełno też tu było starszyny różnej, z którą narady trwały do białego dnia, wszystko co króla otaczało szło tu po rozkazy, bo Sieciech w Płocku, jak we wszystkich ziemiach panował sam, czynił co chciał i w rękach trzymał wodze, które ścisłał tęp mocniej, im mu się bardziej wrywać chciano.

I na ten raz, ci co go znali, potrzęsając głowami zapowiadali, że groźbę i niebezpieczeństwo na swą korzyść obrócić potrafi.

Palatyn chodził zaszępiiony i gniewny, powtarzał ciągle jedno.

— Dam ściać zdrajcę Magnusa, a z nim wszystkich spółników jego.

się piesi, ciągnęły wozy ze zbożem i sianem dla nagromadzonego rycerstwa.

Namiestnik Magnus krzątał się pilne oko mając na wszystko. Na podzameczu, w kilku uliczkach drewnianymi ostawionych chatami, zwykle cichych i pustych, po których innego czasu więcej krów chodziło niż ludzi, stały teraz kupy różnej gawiedzi, gwarzyły, rozpytywały się, spierały. Zatrzymywano konnych, wykrzykiwano, a gdy od zamku się słyszeć dawał ruch jaki, oczy i uszy chciwie się zwracały ku niemu.

Widać było ciągle sotnie zbrojnych w hełmach okowanych, z oszczepami na plecach, toporami, łukami i tarczami, przeciągające od zamku na wały, z wałów napowrót ku zamkowi. Wszystko się jakby do wojny gotowało.

Miejscowi ludzie, choćby się wysypali wszyscy na rynek i ulice tyleby wrzawy nie wnieśli z sobą, aniby ich tak wszędzie było pełno; czuć było obcych, a ci się najzwawiej ruszali, najwięcej dokazywali, najgłośniej krzyczeli. Gawieź ta nie mogąc się cała na zamku pomieścić, po domach mieszczan się rozpościerała. Dolatywały z nich niewieście krzyki, śmiechy i łajania.

Wyrwała się czasem uchodząca dziewczyna z rozpuszczonemi włosami i wpadłszy w tłum, z jeszcze większą trwogą wracała nie wiedząc gdzie się schronić.

Na targowisku, u studzien, koło zamku, na-

V.

Na wrocławskim grodzie, jak ludzie zapamiętali, czasu pokoju, nigdy nie było tak tłumno, pełno, gwarno jak teraz.

Nietylko zamek, ale miasto, podzamecze, przedmieścia, wały i bramy obsadzone były wojskowemi, zalane Szlązakami i Czechami. Coraz to nowe jeszcze pocięty przybywały. Noc mało się od dnia różniła, bo i w ciągu jej do wrót się dobijano, przybywały oddziały, zajeżdżali rycerze.

Pilnowano się czujnie u bram, ztąd coraz u nich nowe krzyki, wrzawa, pytania i odpowiedzi mieniały się długo, nim gości niecierpliwych się wpuszczono. Obawiano się zdrady i podejścia. Wysyłano dniem i nocą czaty na gościńce, wici po resztę ludzi, wybiegali zbrojni, wysuwali

mioty i szalasy gęsto stały jedno koło drugich. Tu i owdzie całymi rzędami konie u ladajakich żłobów powiązane się pasły. Przed namiotami kilką powiewały białe chorągiewki. Na przyźbach siedzieli gęślarze nucąc, a tłum obstępował ich dokoła, przysłuchiwał się i wtórował...

Już zdawało się wszędzie jak nabitą, a ciągle jeszcze przypluwało coraz więcej ludu. Wchodzące kupki szukały sobie miejsca, wszczynaly się spory, zanosilo na bitwy, aż wójci nadbiegający rozstawiali, uspokajali i godzili.

Spokojni ludzie patrzali na tę nagłą powódź zalewającą miasto ze trwogą. Nie w smak im ona była. Wiedzieli z doświadczenia co znaczy sprowadzanie żołnierza i komu ono najdolegliwsze. Za tym szła wojna, oblężenie, głód, mordy i wszystkie plagi Boże. Ale mały człek wielkich spraw odzégnać nie zdoła. Patrzali osłupieni, a baby i dzieci tuliły się po wyżkach wylękle.

Gdy się to działo w mieście i na targowisku, na grodzie gorzej było jeszcze. Tam się już prawdziwe obozowisko rozkładało, choć noc nadeszła jasno było od ognisk porozpalanych, przy których ludzie leżeli, nie rozdzielając się na straży. Czaty chodziły dokoła, we wszystkich wrotach czuwały warty, z okien poodsuwanych szum i gwar straszny i światła białe, jakby wesele obchodzono. W podwórach, choć pod okiem starszyny, nie uszło pół dnia bez zatargu krwawego, który se-

tnicy kijmi uciszali. Z zamku też dolatywały głosy, jakby i tam nie lepij się działo.

W prawo i lewo od wielkich sieni na dworeu świeciło, drzwi stały otworem szeroko, tu i tam ścisk ludzi widać było, tak że przybywający ledwie do środka dobiec się mogli. Służba konwie nosiła i beczki próżne wytaczała, bo pić trzeba było dać, a po skwarze letnim żłopali chciwie kto się dorwał, jak ze studni.

W lewo kilka izb pominawszy, była jedna największa, w której starszyna siedziała u stołu, choć stół już próżny był i kubki tylko a dzbany na nim.

Na ławach jeden przy drugim, w postawach różnych, siedzieli ludzie rycerscy poopierani, pół leżący, niektórzy poskładawszy głowy na rękach ze znużenia.

Namiestnika Magnusa w tłumie tym odróżnić łatwo było, bo mu wszyscy cześć oddawali, a i postawa była nielada. Wzrost ogromny, otyłość wielka, twarz szeroka, ręce silne. Olbrzymem się wydawał przy drugich, a gdy głos zabrał, jego jednego wśród największej wrzawy słyhać było. Głowę wszystkich przechodził, a że mu z niej już dużo włosów spadło, świeciła górą biała i lśniaca. Rysy twarzy wyraziste, grube, szerokie, zdala były w oczy. Że lato odzieży ciężkiej na siebie nie dozwolalo brać, miał kaftan szkarłatny wdzia-

ny bez gźła na ciało gołe, a na nim u szyi łańcuch ciężki złoty.

Kilku duchownych w sukniach ciemnych około niego stało, kilku tuż tylko co zbroje z siebie pozrzucali, bo na skórzanych kaftanach znać było powyciskane ich ślady.

W pośród nich na szerokiem krześle i węzłowi, zmieniony do niepoznania siedział niedawny kleryk, teraz pan a syn królewski Zbigniew.

W sukni mniszój niezgrabnym był, teraz, gdy się pstro i bogato przestroił nielepij mu było; twarz się tylko wielce przerobiła, gniew i złość z niój zeszyły, została chytróść i buta wesola.

Na siedzeniu swém nie siedział a leżał rozpostarty, sam się sobie przyglądając niekiedy, tak mu dziwno było iż się tu znalazł łańcuchem, który na piersi miał bawił się uśmiechając do niego, to pasem od mieczyka, na który z ukosa czasem poglądał.

Pas był misternie kowany, sadzony i świecący.

Sukni nowój rękawy to naciągał, to spuszczał, to koło szyi rękami przebierał, to włosy jeszcze krótkie przyglądał, bo mu postrzyżyn klasztornych wstyd było.

Przez ten czas gdy wolnym był, na brodzie mu się włos puścił rzadki swobodnie, pieścił się też z nim, choć wedle życzenia nie rosnał, zasiewał się nędznie, a sterczał twardo. Rysy twarzy

rozweselone nie wypiękniały, grube były i niekształtne; wzrok latał dziko, usta krzywiły się szydersko. Ludzie się doń nie bardzo garnęli, a i ci co mieli do tego ochotę, rozmówiwszy się prędko ją tracili.

Wśród kółka które go otaczało stał namiestnik Magnus, poważnie ręce za pas pozakładawszy, silnym i donośnym głosem rozmawiając ze starszyzną.

— Hej! hej! prawil śmiejąc się, już tam w Sieciechowie i w Plocku trwoga być musi. Podkrólik nasz miota się jak podsmalony. Kto wie! może już ciągnie na nas, bo to prędko człek, ale czaty rozesłane, dadzą znać w czas, będziemy wiedzieli co czynić.

— Już tam z nas, ozwał się jeden ze Szlązaków, nieposłusznych wicherzycieli uczynią, za to żeśmy się za krzywdę pańskiego dziecka ujeli. A no! niech aby jedna ziemia swojego pana ma, nie Sieciecha. — Dosyć już tój Sieciechowszczyzny.

— Pewnie! pewnie! dodał Dobek z Morawicy. Za króla i za jego krew stajemy. Matka Zbigniewa była siostrą naszą, czemuż to dziecko nie ma być tak dobre jako i drugie co je aż święty Pański na ziemię znieść musiał.

Duchowny blisko stojący, oburzył się, tak jako niegdy opat na Dobka, który język miał nieostróżny.

— Ze świętymi pańskimi tylko się za panbrat

nie stawcie — rzekł — aby wam nieświęta siła głowy z karków nie zdjęła za to bluzganie!!

Dobek, który wprzód księdza nie widział, uderzył się po gębie, i umilkł poczuwszy winnym.

— Żart to był! rzekł pokornie po chwili.

— A no — głupi — odparł surowo duchowny, spoglądając nań z góry; świętych rzeczy usty ładajakiemi nie tykajcie, aby wam język nie usechł.

Dobek zbliżył się i w rękę go pocałował.

Żarty z duchownemi niebezpieczne były, oni panowali i rozkazywali. Duchowny nie dawał się przebłągać.

— Pamiętajcie ino dobrze, dodał, co się z bezbożnym królem Bolesławem stało, abyście i wy jak on nie zginęli marnie.

Skłonił Dobek głowę.

Po za krzesłem Zbigniewa stał młody człek, namiestnika Magnusa bratanek Zahon; blade chłopię, jak tyczka od chmielu wyrosłe bujno a nie silnie, chude, potulne i nieśmiałe; był to przybożny księcia dworak, który się do doń przygarwał.

Z nim po cichu mieniał słów potroszę Zbigniew.

— Nudno i u was mało nie jak w klasztorze za klauzurą, szeptał rozglądając się dokoła po twarzach i wyciągając jakby mu się na sen zbierało. Ani gędźby, ani pieśni, ani wesołego słowa, ani twarzy niewieścięj nie najrzeć.

— Miłościwe książe — szepnął Zahon, nie pora

potemu. Między taki tłum niewiaśc się wprowadzać nie godzi, sromalyby się bardzo, bo ludzie języków nie strzymają. Gędźby też niktby słuchać nie chciał, kiedy wszystkim w głowie że lada chwila rogi zagrają może.

Zbigniew niecierpliwie się poruszył.

— No — rzekł — naówczas też pora będzie myśleć o wojnie a na konie siadać, dziś, wolałbym dla siebie zażyć dobrej chwili a nie wędzić się w tej głupiej wrzawie.

Spojrzał pogardliwie po ludziach i zamilkł. Zahon nie miał co odpowiedzieć. Książę wydawał mu się nad wszystkich rozumniejszym, bo pięknie i łatwo mówić umiał. Zbigniew oczyma wodził po izbie, niekiedy poziewnął, nierażno mu było wśród ludzi starszych, którzy o poważnych sprawach gwarzyli. Dobek zbliżył się doń jakby go chciał rozerwać, bo inni zaniedbywali.

— Cóż, miły panie, nie probowaliście dziś łuku, albo miecza? spytał — nie dosiedliście konika? Zdałoby się teraz, póki czas obeznać z rycerskiem rzemiosłem!

Zbigniew z lekceważeniem, wzgardliwie usta wykrzywił.

— O! wielka mi to nauka — odparł, noża z pochew dobyć i na odlew ciąć. Naukę tę ma parobek każdy, póki siły staje. Konia między nogi wziąć i trzymać się na nim, nie wielka też

sztuka. Jam do dowództwa stworzony a nie do bicia się, a dowodzić, da Bóg potrafię.

Dobek głową potrząsał.

— I na to trzeba doświadczenia — rzekł sucho.

— To się go dostanie — ciągnął dalej tym samym tonem Zbigniew. W klasztorze mnie tego nie uczono. Za grzech mi nikt nie weźmie że do razu żołnierzem nie będę. Temu co panuje więcej trzeba głowy niż dłoni. I uderzył się w czoło.

— E! e! zaśmiał się Dobek — obojga pono zarówno! Jak jedno będzie słabe drugie się nie na wiele przyda...

Książę się uśmiechnął pańsko, próbując ręką wąsa, którego jeszcze nie miał.

— Wiemci ja co mi potrzeba — zawołał dumnie. W klasztorze mi rozumu nie wycisnęli dusząc, a myśleć dość było czasu!

Dobek, któremu się tego dnia jakoś nieszczęśliło, już chciał na inny przedmiot, mniej drażliwy nawrócić rozmowę, gdy tumult się stał u wchodu i głosy jakieś podnosić zaczęły. Magnus natychmiast niespokojne oczy w to miejsce zwrócił, kędy tysiącznik jego Pałka, nawet hełmu z głowy nie zdjawszy, przez tłum się przeciskał szukając go oczyma niespokojnie.

— A co tam niesiesz, Pałka? zapytał zdala, przez głowy drugim Magnus.

— Miłościwy wojewodo, głośno począł przybyły, którego reszta starszyny nie wiele obcho-

dziła; tajemnicy w tém niema, godzi się i głośno o tém powiedzieć. Nasze czaty posła od króla oznajmują. Jutro tu ma być.

Usłyszawszy to zgromadzeni ruszyli się wszyscy.

— Poseł od króla! poseł? sam? z ludźmi! Gdzie? kto go widział? poczęto wołać ze wszech stron.

Wstał i Zbigniew ale z namarszczoną twarzą, poczuwszy urazę że się z tém oznajmieniem do namiestnika zwrócono, nie do niego, który tu już pierwszym chciał być. Wtrącił głośno.

— Któż? gdzie te posły? do mnie?

Tysiącznik mało co głowy skłoniwszy, dalej znów mówił do Magnusa, jako do swojego dowódcy.

— Poseł z niewielką garścią o milę ztąd na nocleg stanął.

— A poczet ma duży? słyszysz! przerwał Zbigniew chcąc na siebie zwrócić uwagę.

Pałka nie zbity z tropu, patrzył ciągle na Magnusa, wahając się z odpowiedzią.

— Poczet ma duży? powtórzył namiestnik.

— Jest tam, słyszę, koni może ze dwa dziesiątki — odparł Pałka.

Magnus, który, jak inni, do zbytku na królewicza nie zważał, wtrącił od siebie.

— Niewiecie kogo do nas wysłano?

— Poważny jakiś człek — mówił Pałka — mó-



wili że się Wojsławem zowie. Ode dworu i osoby pańskiej.

Popatrzywszy po otaczających, Magnus dał znak Palce głową że odejść może. Skupili się starsi, poczęli szeptać i naradzać się po cichu między sobą. Widząc to Zbigniew, urażony że go na boku zostawiono, podszedł ku nim, właśnie w dobrą chwilę, gdy się starszyzna Magnusa otaczająca do drugiej izby ruszała.

— Cóż poczniemy? zapytał króliewicz stojąc naprzeciw namiestnika.

Zmieształ się Magnus nieco, zawahał, ciężko mu było z odpowiedzią.

— Miłościwy książę — rzekł wreszcie pomyślniejszy długo, i nie rad widocznie że mu się książę wtrącał — dajcie nam samym naradzić się a rozważyć, potem ja, miłości waszój przyniosę co uradziemy.

Nie w smak to poszło książęciu.

— A jaż to się wam nie zdam do rady? zawolał nieco gniewnie, oczyma złośliwemi tocząc dokoła.

Magnus go odwiódł na stronę.

— Zostańcie, wasza miłość tu — tak będzie lepiej, rzekł, zabawiajcie się, ludzi sobie jednajcie, my z sobą śmielój bez was mówić będziemy. Sprawy są nasze domowe, wam jeszcze nieznanne... Tak lepiej.

Nie odpowiadając już nic, Zbigniew zagnie-

wany poszedł się rzucić na ławę i podparł łokciem, nie tając iż mu nie w smak było, odsunięcie od rady, a zbywanie się jak młokosa. Tymczasem starszyzna polska i czeska z Magnusem poczęła się wybierać do bocznej izby, którą za nią zamknięto. Kobiety z niej pewnie przez szpary musiały się przypatrywać zgromadzeniu, bo słyhać je było na widok Magnusa pierzejące, strwożone, śmiejące się i pokrzykujące...

Izba też to była dla rodziny i domowników nie od gości, sprzęty jej mówiły o niewiastach, czuć było kądziel i ziola wonne, nabiał i jadło.

Magnus nie mając już gdzie wprowadził tu starszyznę, odprawiwszy niewiasty do kleci. Wyszli milezący panowie. Kobiety zaraz drugie drzwi zasunęły za sobą... Chciał i Dobek wnijsć, ale mu Magnus w progu szepnął.

— Pilnuj swojego króliewicza — a zabawiaj go — my tu radzić musimy. Co obradzimy powiemy wam.

Widać było z twarzy Magnusa niepokój jakiś i podrażnienie, inni też nie bardzo patrzali wesoło. Westchnął Magnus, odszedł nieco w głąb i do jednego z poufalszych odezwał się.

— A co? rzekł — książęcia własnego mamy!! Mnichy z niego zrobiły niewiem co. Ni z pierza ni z mięsa, ale królewska buta jest.

— Prawi niezgorzój — odezwał się drugi — języka dosyć ma, w głowie też jasno, tylko że do

roboty się nie bierze, do konia i do żelaza go nie napędzić... Rycerz z niego nie będzie tegi.

— Patrzy jako zwierz, gdy go z nory dobędą — dodał trzeci.

Nie pochwalił nikt.

— Wszelako jaki on jest, lepszy będzie od Sieciecha — zakończył inny.

— Cóż z posłem od króla czynić będziemy? zagaił Magnus — Wojsław to krewniak Sieciechów. Ochmistrz królewicza, znam ci go, lepszy jest niż się zda.

Wszyscy po sobie patrzali, głowami potrząsając, nikt z wyjawieniem zdania nie spieszył. Najstarszy Chramy, odezwał się brodę targając, jak miał we zwyczaj.

— Ha! co się stało trudno odrabiać. Zgodziliśmy się królewicza wziąć, trzeba przy nim stać.

— A jeżeli siłą zechce nas przemagać Sieciech — mówił Magnus. Mamyż krew rozlewać?

Nie odzywał się nikt.

— Czechy nas poprą i pomogą — bąknął jeden.

— A no, pewnie, poprą tak że zajadą i złupią — rzekł Magnus — zamiast Sieciecha będziemy mieli, jakiego Przemysła! Co myślicie! Jeśli się zładzim zgodnie, dobrze, jak ma wojna być o tego mnicha, ja grodu i ziemi na łup dla niego dawać nie myślę. Nastraszą się naszej siły, niech Zbigniew siedzi, jak nas wojować zechcą, za zdraj-

ców i nieprzyjaciół głosić, nie warta krwi naszej sprawa. Sieciech ma ludu dosyć.

— Oho! zawołał Czech, który nieco dalej stał, a Dobrosław było mu imię. Jakaście prędko wzięli sprawę, tak ją też rychło rzucacie. Tożście się zgodzili królewicza trzymać i popierać.

— Nie wypędzamy go też — odezwał się Magnus kwaśno — ino wojna, sroga rzecz. Kiedy musu do niej niema, lepiej nie poczynać.

— Zkądże to wiatr dziś zawiewa! wtrącił Dobrosław.

— Ten sam co i wezora — mruknął Magnus — rozumu zawsze trzeba. Sieciechowi strachu napędzić, aby nam tu nie bruździł, nie królował, toć trzeba, a od swoich odstać i ze swemi się zarzynać!!!

Warknął Czech coś niewyraźnie, inni za Magnusem trzymali.

— Królewicza nie opuścimy, rzekł jeden, a na rzeź się za niego też nie damy, i jego nie uratujemy przez to i ludzi nagubim.

— Gdy poseł przybędzie — ciągnął Magnus dalej — powiemy mu że przeciw królowi podnosić się i z królem wojować nie myślimy, przeciw Sieciecha występujemy. Niech nam król nie on panuje, niech ludzi nie wygania, niech głów nie strąca, oczów nie łupi... Dosyć było Sieciechowych rządów, jam tu z ramienia pańskiego, niechże mi równy nie rozkazuje.

— A jak król nie przystanie? zapytał Chramy, jak się nas nie ulęknie?

Pogładził się Magnus po łysinie.

— Ja grodu na łup nie dam, rzekł, a czyja wola w polu się potykać, nikomu nie zbronnio.

— Tak lepiej, dodał drugi z boku. Kto ma wolę rozprawiać się orężnie, niech z murów wyciągnie. Grodu szkoda, na oblężenie ani żywności, ni gotowości niema.

— Ani ochoty — zakończył Magnus.

Milczał trochę, a potem dodał:

— Prawdę-li rzec? po królewiczu więcej spodziewaliśmy się. Na kleryka on pewnie dobry, a będzie-li zeń żołnierz, nie wiem. Z oczów mu groźnie patrzy, z gęby mu słodko płyną słowa, a ręce wiszą. Ni do konia ni do miecza ochoty niema. Włożył zbroiczkę, nie dotrwał w niej pół dnia, już mu barki gnioła, aż się skrobał.

Rozśmiało się kilku, nikt nie sprzeciwiał.

Rozpoczynały się narady, gdy, drzwi przebojem otwarłszy Zbigniew się zjawił ciągnąc Dobka za sobą. Wstyd mu było z rądy zostać wykluczonym.

— Cóżście uradzili? rzekł od progu, miotając oczyma, aby wyczytać im prawdę z twarzy, nim ustami skłamią.

— Tak jak nie — odezwał się Magnus wodząc wzrokiem po swoich, zobaczymy co jutro pokaże. Nie wiemy co posel niesie.

— A ja wiem — przerwał Zbigniew — jasna rzecz, zechcą abyście się poddali, mnie katom w ręce dając.

Oburzyli się wszyscy.

— Nie bójcie się, miłościwy książę — odparł Magnus — wziąć was z między siebie nie damy. Zawczasu dziś mówić o jutrze, niewiedząc co ono przyniesie, ale zdrady się nie dopuścimy. Król gdy posyła znać chce zgody...

Bystrém spojrzeniem po twarzach poznał Zbigniew iż przed nim tajono sprawę, a zbytniej dlań miłości nie było. Zgadł niemal co się święciło.

— Miłościwi panowie, odezwał się podnosząc głowę. Nikogom ja nie prosił aby mnie z klasztoru wyciągano — samiście to, po dobrej woli uczynili. Teraz gdy ja swobodny, o prawa swe się upomnieć mogę — nie ustąpię od nich. Jeżeli poseł niesie zgodę i to co mi należy jako króla synowi, dobrze — zechcą-li mnie znowu zamurować a opuścicie wy mnie, pójdę do Czechów, pójdę do cesarza, pójdę do pogan bodaj, a praw się upominać będę.

Mówił żywo, przejęty mocno i kilka głosów odezwało się:

— Nie opuścim miłości waszój, nie opuścimy. Magnus stał milczący długo.

— Będziemy przy was i za wami — odezwał się — tylko w grodzie się zamykać niebezpieczna

rzech. Gród macie jeden w ręku, dać go na zniszczenie? nie godzi się. Przyjdzie do orężnej rozprawy, potrzeba ciągnąć w pole.

Zbigniew się zadumał.

— Pewnie, byle było z kim w pole iść — rzekł. Toć i dziecko wie, że gdy za murami tysiące ludzi, przeciw sześciu tysiącom bronić się może i obronić, w polu równe siły mieć trzeba.

— Prawda! prawda! potakiwać zaczęto, dając się ująć wymowie.

— Zatem co? wtrącił Dobek, z kądem wziąć to wziąć, lud zbierać trzeba i siłę gromadzić. Czechy nam pomogą.

— Pomożemy — rzekł Dobrosław.

— Szlązaków pancernych i tarczowników, jazdy i pieszych, co od załogi zostaje, niech idzie z wami — odezwał się Magnus. Nie będzie tego wiele.

Książę w ziemię patrzył, lecz trwogi na nim widać nie było.

— Tak — począł głos zniżywszy, tak, panowie mili, nie prosiłem się ja z klasztoru, ale się do niego nazad wsadzić nie dam. Ludzi choćby z piekła muszę mieć.

Na to wspomnienie piekła w ustach kłeryka, kilku się trwożliwie przeżegnało i cofnęło.

Z twarzami posepnymi stali dokoła wszyscy, radzić więcej się nikomu nie chciało. Dwu bliż-

szych drzwi wysunęło się zaraz do pierwszej izby. Wkrótce i trzeci pociągnął za nimi.

Mało poczekawszy dwu znowu zbliżyło się do wnijsiecia i znikło. Magnus tylko i Dobek ze Zbigniewem zostali.

Zbliżył się Dobek z Morawicy do namiestnika.

— Na ludzi — odezwał się — trzeba złota i srebra — a z kądem ich wziąć?

— Ja nie mam — krótko rzekł Magnus.

— Ani ja — dodał Dobek.

— Ni też ja — śmiejąc się szydersko dodał Zbigniew — zabrano mi wszystko i dano bodaj klasztorowi, a na co święcona woda upadnie, tego już nazad nie wyrwać. Przecie po ojcu mi się coś dostać musi, — kto mi zawierzy, temu ja stokroć zawdzięczę.

Namiestnik namyślał się, wahał, przysunął powoli do księcia i szepnął z cicha.

— Może na to znaleźć się rada. Co się jutro z posłem uczyni, to nam powie co dalej mamy przedsiębrać. Do jutra spij wasza miłość spokojnie.

Skłonił się nisko. Nie pozostało nic, tylko nazad do izby powracać, ku której Magnus prowadził. Zbigniew wyszedł nadąsany i gniewny, w proggu na Dobka skinąwszy, nie zatrzymał się już między gośćmi, — szedł wprost do izby, która mu była przeznaczona.

Miał już i dwór swój i urzędników i służbę,

bo mu się na nią Czesi i Polscy wygnańcy, co go sprowadzili, złożyli.

Zaraz w pierwszych dniach, ukazało się że do występowania gromadnego, dwornego, strojnego i hałaśliwego największą przywiązywał wagę. W drodze już począł się troszczyć by jego krwi królewskiej odpowiednio, co najrychlej się urządzić. Chwytał ludzi jacy się stręczyli, odziewał ich jaskrawo, dwu co na rogach grali zabrał z Saksonji, innych ze Szląska pościągał, od panów wyprosił, konie sobie darowywać kazał, dwór przybierał i stroił. — Więcój mu o to szło niżeli o samą sprawę.

Za próg zamkowy teraz nie ruszył się bez gromady, którą za sobą wszędzie ciągnął. Musiał jeden przed nim miecz nosić jak przed księciem udzielnym, drugi tarczę malowaną, dwu przeciwnie trąbiło, inni okrzykiwali, lud rozpędzali, wołali: Pan jedzie! z drogi!

W tém jedném najbardziej królewska się w nim krew okazywała; przepychowi jaskrawemu był rad, a gdy prawdziwego miec nie mógł, jako tako kłamany się odziewał. Pysznił się tak z sobą i gawiedzi podziwieniem chciał być koniecznie. Śmiał się widząc wybiegających z chat ludzi, głowy wyglądające przez okna, chowające się za węgły dzieci, i dla tego tylko na koń codzień siadał, aby się z trębaczami i dworem zabawić pokłonami ludu. Im więcój koło niego wrzawy

czyniono, tém szczęśliwszy był, na zabój w rogi grać, w bęben bić, o żelazo szczeukać nakazując.

Starzy na to potrzęsali głowami, a widzieli w tém pańską dumę, która zresztą w owym wieku przystała księżętom i była w obyczajaju.

Na zamku izba najprzedniejsza z belkami rzezanemi wzorzysto przeznaczoną dlań była. Nie brakło w niej nic co do wygody i ozdoby służyć mogło. — Gromadka zjednanych przyjaciół, nazwana drużyną, poprzyodziewana dziwacznie, otaczała go już wierząc w jego szczęście i gotowa zań karku nastawić. Wszyscy za Dobkiem i księciem pospieszili, czując że potrzebni być mogą. Szedł i Zahoń.

Choć nikogo za serce pochwyć nie mógł Zbigniew, królewska jego krew, nadzieja panowania, łask i datków, ludzi doń ściągała. Dobek szedł z nim jako pokrewny, spodziewając się nim zawładnąć i kierować, inni że nic lepszego do roboty nie mieli, a nadzieję jakaś świtającą widzieli.

Śluchali go wszyscy podziwiając mowę łatwą dopomagali do śmiechu, gotowi byli na wszelaką służbę. Zahoń najlepiej blaznował, śmieszył i najniżej się kłaniał, za co był w łaskach.

Reszta drużyny nie wiele była warta. Na woda do przyszłego wojska, którego jeszcze nie było, nastęrczył się i wparł niemal gwałtem człowiek, który pono wiele po świecie wojował,

a z wojen oprócz wyprawnego języka i skóry podziurawionej nie nie przyniósł. Kto on był dojsć nie umiał nikt; Szlązakiem się mienił, przysięgał że z Głogowa był rodem, choć tam już nie miał nikogo i nikt go tam nie znał. Powiadał że wojował długo na Węgrzech, że królowi Szczodremu służył, że Ruś znał jak własne kieszenie, królom Czeskiemu i Węgierskiemu był ulubiony i tylko go zazdrość z ich dworów wypchnęła; że na Cesaarskim też długo przebywał i do Włoch z nim wędrował, gdzie też nieprzyjaciół się dorobił swą enotą. Cnotliwym się mienił wiele, a przez enotę nieszczęśliwym. Cesaarskich teraz nie lubił i psy na nich wieszał.

Człek był jeszcze urodziwy, postawny, wyszczekany, językiem do wszystkiego gotów, ruchawy pozornie, a gdy przyszło co czynić posługujący się i popychający drugich, krzyżący tylko głośno a niewiele skuteczny. Do misy i do dzbana pierwszy się zawsze stawiał i najdzielniej koło nich chodził. Chociaż skarżył się że był porąbany w wojnach okrutnie, a włos mu już szpakowaciał, chciał jeszcze służyć, jak powiadał, szczerzej pod takim księciem, którego na pierwsze wejście pokochał nadzwyczajnie. Klaniał się do stóp królewiczowi, lizał mu ręce, rozpedzał przed nim ludzi, chodził przodem z głową odkrytą i pochlebstwami go zjednał.

Zwał się Marko Sobiejucha. Ten bodaj na

głównego wojewodę swatał się Zbigniewowi; a że gadał bardzo wiele i zabiegał nieustannie, już był prawie pewien swego. Dwu też Czechów Rawitów, ludzi milczących i cichych, przyjął był sobie Zbigniew, z tych jeden Przemko podczaszym był, drugi Leszko podkomorzym.

Nie zbywało na innych dworakach, a codzień się stręczyli nowi, których niepytając przyjmowano, byle kto kaftan cały miał. Ci co występowali w lepszej odzieży, pewni byli wyższego na nowym dworze dostojenstwa.

Dobek z Morawicy opiekun najdawniejszy, w zaufaniu był i łaskach.

Gdy się do izby wtoczył dwór książęcy za nim, znaleźli tu Marka, tylko co ze snu przebudzonego, bo się po mocnym piwie wywczasowywał, dużo z nim wprzód nadokazowawszy.

— Mnie się widzi — odezwał się Zbigniew, obejrawszy po swoich, że obcego nie było — mnie się widzi iż na panów Szlązaków nie wiele rachować mogę — potrzeba myśleć o sobie.

— Święte słowa! wtrącił Marko, złote słowa, nikomu na świecie wierzyć nie należy, nikomu.

— Sieciech, ciągnął nie zważając książe, Szląska nie puści, póki go nie wywojujemy na nim. Trzeba ludzi. Jeżeli nie znajdę innych, do Pomorców ślać potrzeba zawczasu, ci staną...

Dobek głową pokręcił.

— Ciężka z takim druhem sprawa, rzekł, nie

wiecie co to za lud. Poganie są okrutni; pójdą oni dziś z wami, jutro na was, a wiary nie strzymają nikomu.

— Co? podchwycił Sobiejucha — ja ich znam. Szkalują ich, żołnierze dobrzy, ludzie nie źli, jak słowo dadzą, strzymają. Prawda że łupią, a któryż wojak nie łupi? na to wojna.

— Znasz ich? zawołał Zbigniew, jedź zaraz na Pomorze, do Gniewomira, do innych, jednaj ich dla mnie.

Marko stanął jak wryty, we włosach ręką przebierając, zafrasował się.

— Ja ich znam — rzekł — niema wątpliwości, nikt na świecie lepij ich nademnie znać nie może, a no jechać tam niepodobna mi. Ząb mają do mnie, powaśniłem się z nimi i ubiłem kilku, a krwi oni nie darują. Znajdziemy takich co do nich pojedają.

Dobek radził z Krakowskiego ludzi ściągnąć, gdzie lud był ochoczy i rażny, Czesi swoich stręczyli — i — nim dzień zaświtał wyprawiono posły na wsze strony potajemnie, Magnusowi nie mówić słowa.

## VI.

Nazajutrz rano, gdy się u bram orszak Wojsława ukazał, domagając wpuszczenia z królewskim słowem, rozkazy już były wydane, aby go na gród do namiestnika prowadzono.

Wojsław nie zbyt pańsko wystąpił, nie nadto okazał, nie miał nad jakie dwadzieścia koni z sobą. Dodany mu był duchowny, wikaryusz z Płocka, ksiądz młody, imieniem Teodor, bo naówczas żadne się poselstwo, żadna czynność ważniejsza bez duchownego rady i nadzoru nie obchodziła.

Biskupi wyżj już stali jak wojewodowie i królowi pilno na ręce patrzali.

Znał też Sieciech krewniaka swego, iż o ile twardym był a nieugiętym, tak równie do słowa ciężkim i w wymowie nie obrotnym.

Zbigniew od rana nie wychodził z izby swój, wahając się, czy mu się ukazywać należało, lub wszystko zdać na namiestnika, przy którym Dobka postawił. Dworowi wszakże swemu, pogotowiu być kazał...

Poselstwo wprost od bramy, przeprowadzane przez gawieź ciekawą, która za niem biegła aż ku dworowi, na gród się udało. Magnus już na nie czekał, całą starszyzną około siebie skupiwszy. Nienawisć ku Sieciechowi, pomimo obawy wojny, nastrojała gniewnie umysły.

W dziedzińce wjeżdżając Wojsław dojrzał, rozglądając się ciekawie, iż wszędzie ludu zbrojnego moc była wielka, jak nabitó żołnierza, między którymi sporo Czechów poznawał.

Posłańcowi z królewskim słowem uchybić nie chcąc, Magnus do progu wyszedł przeciwko niemu. Odział się na dzień ten świętecznie, ludziom też zbrojnym na grodzie przykazał, aby wdzieli odzież i broje przystojne. Zsiadającego z konia przywitał w przedsienu. Spotkali się milezący, mierząc oczyma, poczem Wojsław z księdzem Teodorem szli do izby razem, gdzie czekała starszyzna liczna, jak na radę zgromadzona.

Mógł już tedy rozpoznać Wojsław, że niespodzianym tu nie był, że o nim wprzód wiedziano, gotowano się na przyjęcie, myślano, jaką mu dać odpowiedź.

Do izby wszedłszy rzucił oczyma poseł, ażali

nie ujrzy Zbigniewa, którego by się był domyślił, choć go nie widział od dziecka. Lżej mu się stało gdy go nie zobaczył. Dokoła tylko na ławach siedzieli ludzie posepni, gromadnie, ciasno, z brwiami namarczczonemi, z twarzami groźnemi, dłonie na mieczykach, milczący i jak do sądenia gotowi.

Tu i owdzie spostrzegł twarz dawniej sobie znajomą a wrogą; te których nie znał jawnie okazywały, że nie lepiej myślały. Wstali niektórzy, inni się nawet nie podnieśli, szmer dał się słyszeć, za wchodzącymi wtoczyło się więcej jeszcze ciekawych, wszystko zbrojne, nachmurzone. Do ucha mogły dolecieć słowa i śmieszki niemiłe, lecz Wojsław zimnym na to był i jak wszedł powolnie, tak nieustraszonem okiem obiegił ławy dokoła obojętnie, zwrócił się do Magnusa i rzekł:

— Miłościwy pan król Władysław mnie do was przysyła.

Namiestnik wskazał duchownemu i jemu miejsce przy sobie, milczenie trwało głuche dość długo, a że Wojsławowi do słowa przyjść tak zrazu łatwo nie było, prosił ks. Teodora o wyłączenie.

— Miłościwy pan Władysław przysyła nas — począł ks. Teodor — chcąc wiedzieć, prawdali to jest, że przyjęliście tu Zbigniewa, którego on chciał mieć w klasztorze? prawdali, że przyjęliście



zbiegów i zdrajców, którzy na karę zasłużwszy chroniąc żywota do Czechów pouciekali!

Wstrzymał się książdz, Magnus obrócił ku nim i rzekł po krótkim namyśle:

— Królewicza Zbigniewa i biednych ludzi, co się niesprawiedliwie prześladowani tułali po obcych, przyjęliśmy. Tak — prawda jest.

— Więc winniście zdrady i nieposłuszeństwa? — wtrącił sam Wojsław.

— Nie jesteśmy jój winni — rzekł Magnus. — Królewicz nieszczęśliwy miłosierdzia się ojcowskiego domagał, a zbiegowie, bracia nasi, przeciw królowi nic nie zawinili.

Gdy to mówił, z ław dokoła dało się słyszeć mruczenie naprzód, potem kilku zawołało:

— Nie zawinili przeciw króla, pana naszego, ino przeciw Sieciecha...

— Przeciw Sieciecha! — kończył Magnus. — Złości a samowoli pana Sieciechowej dłużej nikt z nas znosić nie chce.

— Nie! nie! nie będziemy jój więcej cierpieci. Nie! — poczęli z ław odzywać się siedzący śmielej coraz.

— Z Czechami się przeciw własnemu królowi wiążecie, na własny kraj następujecie — odezwał się Wojsław zwolna. — Król o wszystkiem wie.

— Żle wie — zawołał Magnus goręcej — nie choemy taksamo czeskiego panowania, jak Sie-

ciehowego. Niech król sam nami rządzi, albo niech nam syna da.

Sieciecha nie chcemy!

— Sam król was zdrajcami mieni — odrzekł ks. Teodor — woli jego nie jesteście posłuszni.

— Innego tu zdrajcy nie ma! — wyrwał się Dobek, stojący za Magnusem — tylko Sieciech jeden. On to miłości pańskiej nadużywa, on z kraju wierne jego sługi pędzi, on prześladowuje, on obdziera, on nieprzyjaciół robi — on.

Chórem z ław wszystkich, coraz śmielej, głosił coraz, zaczęto już krzyczeć niemal, zapalczywość rosła.

— On! Sieciech! zdrajca!!

Wojsław i towarzyszący mu duchowny postrzegli, że niebezpiecznym było zbyt ostro przemawiać, bo umysły już się oczekiwaniem zburzyły i rozjątrzyły same. Spojrzeli po sobie. Wojsław sam zwolna poczał z chłodną krwią, która go nigdy nie opuszczała.

— Nie z panem wojewodą Sieciechem to sprawa, ale z panem a królem naszym. Ja nie od Sieciecha, ale od niego tu przysłany idę. Co komu do woli i postanowienia królewskiego, który chciał tego, aby dziecko poboczne w klasztorze się chroniło, a sromoty mu nie czyniło? Nie godzi się nikomu stawać pomiędzy ojcem a dziećciem; ojciec każdy, gdyby i królem nie był, ma prawo

nad swoimi. Wolno mu z niemi czynić co chce! Dlaczegoście srom królowi uczynili?

Dobek się wyrwał:

— Jako żywo dziecko poboczném nie jest. Matka jego, ziemianina córka, tak dobrze żoną była pańską, jako która Judyta i syn to tak dobry, jakby się z królewnej rodził, skoro ją pan Władysław swego czasu miłował i za żonę trzymał. Srom czyni królowi, kto krzywdę czyni dziecku, nie my!! nie my!

— A zbiegowie i zdrajcy? — spytał Wojsław.

Tak nazwani zdrajcy i zbiegowie siedzieli naprzeciw mówiącego na ławach, Dobek też do nich się liczył, więc skoro to słowo rzekł, szmer, wrzawa i zburzenie powstało wielkie.

Magnus chcąc nad nim zapanować, podniósł się, wstał i rękami a wołaniem począł zażegnawać ową burzę, ukazując, że sam mówić pragnie.

Uciechło po troszę.

— Powiem co na sercu mam — zawołał — kryć prawdy się nie godzi. Zbiegowie to są, którym nie król, ale Sieciech dokuczył i nie od króla, ale od Sieciecha uciekali, bo na ich gardło nastawał. Nie wiemy już, kto u nas panem. Władysław król czy Sieciech? On zagarnia pod siebie wszystko, krakowskim wojewodą jest, niech na Krakowie siedzi, a nam da rządzić, gdzie nas postawiono. On wojsko całe ma w rękę, on grody, zamki, urzędniki, dwór, on króla i kró-

lowę, on królewicza. Ino już nie widać, gdy zapragnie, aby sam panował.

Tego my nie zniesiemy, tego my nie damy uczynić. Równy nam ziemianin jest...

Znowu nie mogąc się powstrzymać, krzyknęli wszyscy:

— Nie zniesiemy tego! nie damy.

Ci, co siedzieli dotąd na ławach spokojnie, wstali, zaczęli się poruszać gromadnie, skupiać i postępować na izbę. W głowach szumiało, paliły się twarze, wyrwały słowa grube, łajania ostre, przekleństwa i pogroźki. Wojsławowi słyszeć ich nie godziło się, rozumieć nie było można. Magnus, który rad był uspokoić Szlązaków, rękami dawał znaki gwałtownie, ale bezskuteczne. Rozprzegął się ład, jeden od drugiego zarażał się gniewem, powstrzymać było trudno.

Wojsław pobladł trochę, ksiądz Teodor wstał i chciał począć mówić, ufając w to, że go suknia osłaniała.

Zamilkli niektórzy, ale w dalszych rzędach i głębi wciąż jeszcze szumiało.

— Między króla a jego urzędniki, któż ma prawo wchodzić — rzekł ksiądz. — Nie nasza rzecz sądzić, co król czyni. Komu źle, niech się skarżyć idzie.

— A! tak! słyszycie! — krzyknięto z ciżby — ho! Albo go to dopuszczają? Na drodze go wezmą, do ciemnicy zasadzą, jak Janka z Borku, jak

Ludka Doliwę! Jak Andrka z Bolimowa, co mu głowę Sieciech uciąć kazał. Król mówicie, albo my to króla mamy? Nje Sieciech królowi, ale pan nasz Władysław panu Sieciechowi służy!

Śmieszki urągliwe dawały się słyszeć tu i ówdzie. Wojśław błąd wstał.

— Nie wolno mi słuchać tego, co mówicie, bo nieprawdą to jest, a oszczerstwem. Ci, co się z posłuszeństwa wyłamują, na Sieciecha wołają, bo do woli królewskiej zmusza. Sieciech praw — nieprawi ci, co nań nastają!

Słów tych ledwie mógł dokończyć, gdy wrzawa wzmogła się gwałtownie i zagłuszyła go.

Popędliwy Dobek pierwszy miecza dobył z pochew, drudzy też zobaczywszy to, chwycili się do żelaza; kto co miał, nóż, mieczyk, topor, podnosząc do góry. Zgiełk powstał straszny, cisnąć się zaczęło groźnie ku posłom, tak, że Magnus poskoczywszy w czas, ręce rozpiął, sobą ich zastawił i od pierwszej napaści obronił.

Na małych się to jednak było przydało, bo rozjątrzenie było straszne, a nienawiść wygnańców ku Sieciechowi taka, że na krewniaka jego, co śmiał stawać w obronie Wojewody, rzuciliby się, byli i rozsiekali niechybnie, gdyby z drugiej strony o. Teodor nie stanął, a na księdza nikt nacierać nie śmiał. Ława stała niedaleko drzwi do drugiej izby prowadzących, namiestnik prawie gwałtem popchnął w nie Wojśława, sam ciągle go sobą okry-

wając. Posel z księdzem ledwie mieli czas wpaść do bocznej izby i drzwi zaprzeć za sobą, gdy tłum runął na nie rozwścieczony i bić począł rękami i mieczami, z zapamiętałością taką, iż Magnusa nawet słuchać nie chciano i nieposzanowano.

Jak to zwykle bywa, gdy jeden pierwszy da hasło, tłum się da pociągnąć i siła w nim liczbą rośnie; pomiarkowanie i pamięć stracono, miotano się, nie zważając na kogo... Rozbłjali jedni drugich do drzwi się cisnąć. W Wojśławie Sieciecha widziano i krzywd się chciano pomścić.

— Zabić! rozsiekąć! — krzyczeli przodujący.

— Sieciechów służka, na gałęz z nim!

Szczęściem drzwi, za którymi skrył się Wojśław z ks. Teodorem, dębowe były, grube, kute i do wyłamania nie łatwe, choć wszyscy się na nie zwałili, barkami je chcąc wyważyć niesłuchając Magnusa, który całą siłą głosu i ramienia im się opierał.

Na całym zamku zburzyło się i zawichrzyło.

Widząc, co się w izbach działo, pachołkowie i czeladź starszyzny na ludzi Wojśławowych wpadali, spędzili ich z podwórza, aż się do szpiczra skryć musieli przed niemi, zasunąć i założyć, aby życie ocalić. Zaczęło ich tu oblegać i kamieniami ciskać.

Zbigniew posłyszawszy wrzaski, choć zrazu się porwał biedz także, strwożył się wprędce

o siebie i Marka Sobiejuchę posłał tylko na zwiady, co się tam stało.

Do podobnych spraw, gdzie dziesięciu na jednego idzie, Marko był najlepszy, wrzasku rad przyczyniał i drugich popychać był gotów; zobaczywszy o co szło rzucił się ochotnie i resztę spokojnych ludzi pociągnął za sobą. Zakipiało wszędzie, nikogo nie słuchano.

Szturmowano do drzwi i do szpiczra coraz gwałtowniej. Drzwi, za którymi skrył się Wojsław z księdzem, runęły nareszcie wyparte, wrzeczadze pękły; tłum wpadł z mieczami do komory, ale Wojsław miał czas ujsć oddawna. Wylekłe niewiasty dały mu się skryć na strychy, od których drabiny odjęto i pochowano.

Napastnicy w izbie pustej nie znaleźli nikogo, a z drugiej patrzyły niewiasty, stanawszy śmiało ze starszemi na czele, bo wiedziały, że im się nie stać nie może.

Magnusowa żona w białej namitee i szubee jedwabnej, zaparła im drogę. Ręce założywszy na piersiach, z brwią namarszczoną, patrzyła na oszalałych spokojnie, ani się nawet odzywając. Cofnęli się przed nią, rozbiegli po kątach, ale nikogo nie znaleźli.

— Darmo się nie trudźcie — odezwała się w ostatku groźno stara niewiasta z wyrzutem do Dobka. — Gościny nie umiecie szanować!

a myśmy mu dawno konia kazały dać, aby uchodził. Nie ma go na zamku.

Ochłonęli jakoś oszaleli ludzie cichy ten i spokojny głos posłyszawszy, stanęli, miecze do pochew wkładając. Magnus nadszedł gniewny, łajając i bezczeczając, wyganiać ich nazad do wielkiej izby.

I jak się ten ogień od jednej iskry począł, tak też rychło uśmierzył, jedni sami przyszedli do opamiętania, drudzy się wzięli zagorzałych imać, odciągać, hamować i poskramiać. Wrzawa powoli ustawała, pojedyncze głosy tylko podnosiły się w górę z odgrózkami na Sieciecha, na Wojsława, a nawet i na króla samego.

Marko Sobiejucha, przodem zawsze idący, gdzie niebezpieczeństwa nie było, u szpiczra dokazywał, aż go z rozkazu Magnusa precz odegnano. Zajrzał potem do izby i do Zbigniewa ruszył, aby go ściągnąć tam, gdzie się jeszcze ucierano, bo mógł z tego rozjątrzenia dla siebie korzystać. Królewicz się wahał jeszcze, lecz poszedłby może, gdyby od Magnusa nie przybiegł komornik z prośbą a zaleceniem, żeby się nie pokazywał, dopóki spokój nie wróci. Wojewoda i tak miał do czynienia wiele, by umysły rozjątrzone ukołysać.

Marko Sobiejucha, Dobek i inni zebrani przy Zbigniewie, radzi sprawę doprowadzić do ostatka,

aby Wrocławian wciągnąć w wojnę, na Magnusa wykrzykiwać zaczęli.

W wielkiej izbie uciszało się, gdy tu zgiełk powstał.

— Namestnik na dwu stołkach siedzi — krzyczał Dobek — my tu z nim nie sprawimy nic, próżno się nań oglądać.

— Przechera, zdrajca jest, niegodziwiec! — wołał Sobiejucha — mówiłem od początku, to wieprz tuczny co swojego brzucha ochrania.

— Co poczniemy? — pytał Dobka.

Zbigniew mileżał gniewny.

— Nas tu jutro królowi oddadzą, z postronkami na szyjach — odezwał się Dobek.

— Zewsząd zdrada! — mówił Marko — królewicza w matnię zagarnęł.

Usłyszawszy nową wrzawę, która z mieszkania królewicza dochodziła, Magnus sam dobiegł niespokojny dowiedzieć się, co tu się burzyło, otworzył drzwi, powitano go spojrzzeniami, jak wroga.

— A cóż? — począł poskakując ku niemu Dobek — Sieciechowego bratanka wy bronicie i osłaniacie!! Wy! Jeszcze nas powiązanych oddać mu gotowi!!

— Bronilem go tak, jakbym bronił was — rzekł surowo Magnus, mierząc go oczyma — gdyby oni mordować chcieli. Robię, co mogę i com powinien, więcej ani na włos. Posłyszeli prawdę, czekamy końca. Jeżeli król przybędzie

z wojskiem, mówię otwarcie, wojować nie będziemy, oblegać się nie damy, a Sieciechowi i w oczy powtórzę com rzekł.

Zbigniew słuchał z boku stojąc, blada twarz jego zaogniła się gniewem, brwi ściągnęły, nie odpowiadając Magnusowi, odwrócił się do swoich i zawołał głośno:

— Cóż my tu dłużej czynić będziemy, gdzie Sieciechowych bronią, a o nas nie myślą? Precz chyba iść!

— A iść! iść! — powtórzył Dobek.

— Marko — odezwał się książę, kto ze mną trzyma i chce iść razem, ludzi zwołać, strąbić, na koń, w pole, położymy się obozem, bezpieczniejsi będziemy!!

Sądził zapewne, że namiestnik wstrzymać go zechce, lecz Magnus popatrzał, sklonił głowę i rzekł:

— Gwałtem was strzymywać nie będziemy. Ja was tu miłościwy panie nie powoływał, nie obiecywałem nic. Mnie proszono, nie jam prosił. Chcecie iść, otwarte bramy, szczęść Boże.

Ochłódli wszystkie i zamilkli.

— Prawdę rzec — odezwał się uspokajając wojewoda — nie ma tu co czynić w ciasnym grodzie, w pole przyjdzie wyciągnąć dziś czy jutro. Posłów uratowałem, wróć do króla i Sieciecha z tém, co tutaj posłyszeli. Król wojsko już zbiera, ruszy na nas z nim. Ja miasta mu nie zamknę, bo wojny wydawać nie mogę.

— A my bić się musimy i będziemy! — krzyknął Dobek.

Zbigniew mniej śmiało, ciszej powtórzył za nim toż samo.

— My się bić będziemy!

— Zatem wam nie zostało nic, tylko w pole iść — zakończył Magnus.

Marko Sobiejucha, któremu we Wrocławiu wygodniej było niż w polu, niekoniecznie podzielał to zdanie, aby z miasta wyciągnąć, stał jednak milczący, zachmurzony, bo mu się przeciwie nie godziło, gdy wszyscy jedno postanowili.

Ostygło jednak jak od zimnej wody wszystko. Zbigniew napróżno w swoich szukał gorętszego poparcia.

W tém Magnus począł, zwracając się ku niemu.

— Wasza miłość nie będziecie się na mnie gniewać, uczyniłem com mógł, dalej nie zdążam i obiecywać nie chcę, gdy strzymać nie potrafię. Gdybyście w mieście zostali, oblegną nas, ogłodzą, oskoczą i wezmą, głowy pod miecz pójdą. Bezpieczniej w polu. Ludzi nagubimy dużo i was tu zgubaby czekała; w szerokiem polu choćby się nie powiodło, jeszcze ująć można, do Czech schronić i lepszego czasu szukać.

— A no, a no, — odezwał się Dobek — może i wasza prawda. Grodu chronicie i o sobie myślicie, za to wam nikt nie powie, ale po

coście Sieciechowego bratanka ocalili! Nagubił dosyć naszych Wojewoda, mieliśmy prawo się pomścić.

— I cóżby wam z krwi jego przyszło? — odparł Magnus. Królby jej niepomszczonej nie zostawił.

Tak się skończyło owo poselstwo królewskie, choć nie krwawo, ale bez skutku.

Gorętsi nieprzyjaciele Sieciecha, którzy na Wojsława godzili, domyślali się, że gdzieś ukryty na zamku być musiał jeszcze, a chcieli go szukać po kątach. Magnus z sobą u stołu zatrzymał ich długo, nie dając odejść. Mrokiem Wojsławowi i ludziom jego boczną furką Pałka ułatwił ucieczkę.

Odetchnął dopiero namiestnik, gdy mu znać dano, że w pole wyjechali i bezpiecznie do lasów czas mieli się dostać. Przewidzieć teraz było łatwo, że król natychmiast z wojskiem na Wrocław pociągnie. Rad się więc był pozbyć Zbigniewa i jego ludzi z miasta, ażeby gród od niebezpieczeństwa ocalić.

Nazajutrz już Marko Sobiejucha ruszał się, gromadząc swych ludzi, zwołując Czechów, ściągając, co gdzie było ciurów a ochotników, którzy na wojnę i łupy czekali. Wygnańcy zjechałi natychmiast, rozbiegając się po kraju, przyjaciel jednając i ochotników, między nienawistnemi Sieciechowi. Nie było o nich trudu,

gdyż wojewoda surowością swą naraził wielu, a jego pomocnicy i przyjaciele, ufní w swą moc, po ziemiach wszystkich byli znienawidzeni.

O królu nikt nie wspomniał, nie myślał; na Sieciecha się gotowali wszyscy.

Magnus karmił, poił i czém mógł opatrywał królewiczowskich ludzi, którzy powoli oddziałami w pole wyciągali. Za nimi i Zbigniew miał iść, acz jawnym już było dla najbliższych nawet, co mu sprzyjali, że ochoty do boju wielkiej nie miał, a głowę pełną tylko dumy, i pragnienie igraszki płochój, jaką sobie ze dworem czynił. Szyto mu chorągwie, strojono czeladź, zbierano urzędników, ściągano trębaczy i śpiewaków, bo o to się najwięcej troszczył... Chciał też mieć i namioty książęce, obszywane, kraśne i pokrycia na konie szkarłatne, bez tego się nie chcąc ruszać w pole. Z grodu też dobrze zaopatrzonego ciągnąć precz w lasy i pustkowia, gdzie i głodem przymrzeć i chłodem przyboleć i biedy zażyć było trzeba, nie miał książę ochoty.

Gdy go z klasztoru brano, spodziewał się do gotowego działu przyjść, wszystkiego znaleźć pod dostatkiem, a nie dobijać się swoich praw jeszcze. Narzekał, iż mu zawód srogi uczyniono.

W kilka dni już ostatki Zbigniewowych żołnierzy wyciągać miały, i on gotował się rad nie rad iść z nimi. Widząc go posępnym i złym,

Magnusowi żał się krwi królewskiej zrobiło. Dał, co mógł, w końcu radę podszeptną.

Wieczora ostatniego, gdy już w mieszkaniu Zbigniewa sakwy wiązano, węzélki ściągano i zabierano, opróżniając kąty, co się tylko dało zagarnąć, a Zahoń i dwór ciągle o coś jeszcze chodził się upominać u wojewody, Magnus sam poszedł do Zbigniewa, który od niego unikał.

Dobek ciągnął za nim w ślad, pilnując, aby królewicz sprawy sobie w czém nie popsuł, lub się nie zadarł bezpotrzebnie.

— Dam wam na odjeźdném radę jedną — odezwał się Maguus — posłuchajcie, nie pożałujecie.

— Czemu nie posłuchać, aby dobra! — odezwał się Dobek, który nie dowierzał staremu i ząb doń miał od owego poselstwa.

— Nim wyciągniecie w pole, — mówił stary — jedźcie do biskupa pasterza naszego, a proście go, aby, gdy król przybędzie, wstawił się za wami. Pobożny pan usłuchać go może prędzej niż innych.

Królewicz zbyt niżej do tego nie okazując ochoty, zamruczał coś.

— Biskupie słowo wiele znaczy, ciągnął wojewoda, a o Żyroslawa król pan nasz szanuje wielce

Dobek słuchał milcząc.

— Jeżeli do niego pojedziecie — ja z wami — dodał Magnus.

— Po co mi biskup, gdy wojnę prowadzić mam! odezwał się Zbigniew, lecz Dobek potrząsał głową.

— Choć nie wiem i ja po co do biskupam iść gotów, księdza żadnego omijać się nie godzi — straszni ludzie są.

— Staruszek ojciec nasz dobry jest — dodał Magnus — pokłonu uczynionego nie pożałujecie.

Nie było sporu o to, choć i wielkiej ochoty nie okazywali. Zbigniew dał się pociągnąć.

Nazajutrz rano zakazał królewicz, aby dwór wystąpił okazale i licznie, wedle swojego upodobania, chciał nawet dwóch trębaczy z sobą prowadzić, aby przodem jadąc oznajmywali o nim, co mu ledwie Magnus odradził. Z żalem zostawił ich i śpiewaków, a hałaśliwą część dworu, towarzyszącą mu wszędzie, bo i bez niej ludzi było do zbytku.

W czasie pobytu we Wrocławiu królewicza, O. Żyrośław weale się do niego nie odzywał i do spraw tych nie mieszał. Mąż to był pobożny, spokojny, chorowity, nie rad płatać w zawikłania i spory. Dosyć miał do czynienia z duchowieństwem i ludem.

Gdy orszak królewicza zbliżył się do oparkowanego dworu biskupiego, służba poznawszy Magnusa, zaraz o nim znać dała. Kapelan biskupi wyszedł na spotkanie i gości wprowadził.

Biskupa, który dla wieku i choroby z siedzenia

prawie się nie ruszał, zastali skulonego we dwoje na poduszkach, w przyciemnionej izbie, w której przed obrazem mała paliła się lampa.

Domyślił się starzec, kogo miał przed sobą; zobaczywszy Zbigniewa, strwożone oczy podniósł, przypatrując mu się pilnie. Książę z wielką pokorą i butę swą straciwszy, do pocałowania ręki się przybliżył. Z podziwieniem postrzegł Magnus, iż twarz mu się nawet zmieniła wielce i złagodniała.

Nie rzekłszy jeszcze słowa do nich, biskup skinął, aby go zostawiono sam na sam z królewiczem.

Magnus i Dobek do drugiej izby ustąpili, Zbigniew pozostał, ułożywszy pokorną postawę.

— Dziecko moje — odezwał się staruszek głosem słabym — boleję nad losem waszym. Po co was skuszono, spokój klasztorny mieniać na niepewne losy?

Zbigniew, któremu może się przypomniały zakonne czasy, a może uznawszy potrzebę uniewinnienia się przed ojcem duchownym, pragnął go zjednać dla siebie; złożył ręce na piersiach, spuścił głowę i niewyraźnie, cicho, niemal bojaźliwie zaczął bełkotać.

— Pochwycono mię siłą z klasztoru ojeze przewielebny, nie mogłem się oprzeć! Zmuszono mnie dopominać się praw moich.

— Praw! praw! — pochwycił biskup — oszu-



kano cię dziecko moje, mówiąc o prawach, miłosierdzia tylko u rodzica żądać możesz...

— Ja — ja nie władnę sobą — rzekł Zbigniew — starszyna, panowie mnie wiedą. Nie moja wina!

Westchnął biskup, zdziwiony trochę wejrzał nań.

— Inaczej mi o was mówiono — począł z politowaniem: Cieszę się dziecko moje, że przeciwko ojcu i królowi nie podnosicie oręża, grzechby to był wielki,

— Mam nadzieję — odezwał się, ośmielając Zbigniew — że wasza przewielebność racycie przemówić za mną. Pozory są przeciwko mnie, lecz posłuszny iść muszę, zagrożony jestem, życia nie pewien. Nieprzyjaciele wojewody chcą mnie mieć z sobą, iść z nimi muszę. Łzy leją w skrytości...

Zamyślił się o. Żyroślaw; nie posądzał księcia o fałsz a udanie, znajdował go jednak tak odmiennym od tego, o którym słyszał, że uszom własnym wierzyć mu się nie chciało.

— Z ufnością w łaskę waszą pasterską — ciągnął dalej książę — składam żal mój i utrapienie na łono jego. Nie chcecie wydawać mój tajemnicy. Otoczony jestem ludźmi, którzy każdy krok mój i słowo śledzą. Ledwie uprosić ich mógł, aby mi tu po błogosławieństwo waszej przewielebności przyjść było wolno...

Z ubolewaniem patrzył nań o. Żyroślaw i zdala drżącą go przeżegnał ręką.

— Jeżeli król pan nasz miłościwy przybędzie tu — rzekł — będę się starał poruszyć serce jego dla was... Chcesz wrócić do klasztoru?

Pytanie to niespodziewane wzruszyło mocno księcia, który się uczuł we własne sidła schwyconym, zamilkł nieco. Namyślał się.

— Ostra reguła ojca naszego Benedykta ciężką jest dla mnie — rzekł, zawahawszy się. Wyrwano mnie z ciszy klasztornej, powróty był już trudny...

Śledził go biskup oczyma i nie rzekł nic na to.

— Nieszczęśliwe losy twe — dokończył po chwili — modlić się będę za ciebie, Bóg się ulituje. Serce króla anielskie, litości pełne...

Przeżegnał go raz jeszcze. Zbigniew uniżywszy się przed biskupem, rękę jego drżącą ucałował.

O. Żyroślaw dał znak stojącemu zdala naprzeciw drzwi kapelanowi, aby wojewodę wprowadził.

Wszedł Magnus, chcąc biskupa pożegnać dłużej nie trując rozmową, lecz starzec zapytał go o poselstwo od króla. Wojewoda zaczął się otwarcie uskarżać na Sieciecha. Słuchał go o. Żyroślaw cierpliwie, dał mu żal wylać i czynić zarzuty, a gdy skończył, westchnął boleśnie.

— Słyszę narzekanie na Sieciecha ze stron wszystkich — rzekł. — Przypomnijcie sobie czasy pierwszych panów naszych. Ile to krwi kosztowało, nim się ziemie zdobyte zlepily w jedno państwo, aby mieć siłę przeciw sąsiadom? Chcecie, aby znowu się rozpadły na łup Czechom, Rusi i Niemcom? Sieciech winien, że ciśnie w jedną dłoń, co się już rozsypuje! Sieciech.

Nie mógł powstrzymać się Magnus.

— Tyranem jest! — zawołał — władzy mu się chce, królestwa dla siebie pragnie. Królowa z nim trzyma, a uchowaj Boże chory pan zemrze, nie dzieci jego wezmą państwo, ale on razem z siostrą cesarską. Powstajemy nań, bo zdrajca jest!

Gwałtowny wybuch wojewody pozostał długo bez odpowiedzi. O. Żyroslaw przebierał drżącymi palcami książkę, leżącą przed nim.

— Napisano jest tu w tém piśmie, którego słowa prawdą są wiekiustą — rzekł — iż zginie wszelkie królestwo rozdzielone w sobie. Pomnijcież na to, abyście w więzy obcych nie poszli, nie umiając swoim być posłusznymi. Pomnijcie!

Magnusie miły — dodał biskup, spojrzawszy na Zbigniewa — wyż to myślicie wojnę syna z ojcem zażęgać?

Namiestnik zamilkł, ale Dobek gorący naprzód się wysunął:

— Nie my wojnę wydajemy — rzekł — ojece przewielebny, nie my! Bronić się będziemy tylko. Zbigniew pokrzywdzony jest, praw swoich szuka.

— Jakich praw — odparł starzec. — Na ojeu?

Dobek się namyślił i rzekł:

— Na królu!

Potrząsł biskup głową i z litością odwrócił wzrok ku Zbigniewowi, który stał pokornie, oczy w ziemię wlepiwszy.

Tak się rozmowa skończyła. Gdy przystąpili do pożegnania, o. Żyroslaw zbliżającego się Zbigniewa pobłogosławił nieznacznie, a do towarzyszących mu odezwał głośno.

— Radbym was błogosławił wszystkich — nie wolno mi. Tym, co idą na wojnę, w której syn ma walczyć przeciw ojeu, błogosławić się nie godzi. Modlić się będę, aby Bóg odwrócił krwi rozlew, zesłał upamiętanie!

Dobek poruszony i przełękły już się miał ku progowi, pokłoniwszy się zdala, Zbigniew też odchodził, gdy Magnus przystąpił do ręki biskupa i szepnął:

— Ja na wojnę nie ciągnę. Wasza przewielebność zechcecie mi pomódz do przedjednania króla. Jakoście nam mówili słowa prawdy, rzeknijcie je panu naszemu, aby tyranii Sieciecho-

wój koniec położył. Inaczéj padnie w gruzy królestwo i rozsypie się.

Biskup nie odpowiedział nic, pochylił się już nad księgą i modlić zaczął.

## VII.

Nie kwapili się z wyciągnięciem dworacy Zbigniewowi i on sam. Wszystko było pogotowiu, z dnia na dzień wyznaczano żegnanie się z Wrocławiem, nazajutrz czegoś brakło i królewicz rad odkładał wyjazd do obozu.

Magnus zbyć się był rad a wyprosić nie mógł ostatka.

W izbie na zamku jednego z tych wieczorów, kilku ludzi siedziało pod ścianami na ławach, między którymi Dobka z Morawicy i Marka Sobiejuchę widać było nieco na uboczu rozprawiających z sobą. Obu twarze nie wesole były, stękali i wzdychali oba.

Izba, jedna z tych które dla gości pospolitych przeznaczano, naga, czarna była, wilgotna, zabrukana i ciemna. Kilku z drużyny Zbigniewa

w nięj sypiało, bo po kątach widać było wyleżane siano, skórami i sukнем ponakrywane. Stało i wiadro bodaj od piwa, nachylone aby z niego wyczerpnąć było można ostatek — ale już próżne. Na stole walały się chleba pruszynty, pod stołem leżały kości, miska i łyżka zapomniana czekała w kącie by ją sprzątnięto.

Dobek z Morawicy rozpuściwszy kaftana zaczął chodzić po izbie jako człowiek co myśli szuka a znaleźć jęj nie może. Inni nań patrzali tak jakby od niego czekali czegoś a doczekać się nie mogli.

Marek Sobiejucha, człek co już nie z jednego pieca chleb jadał, a niewiele dbał z jakiego się jutro będzie żywił — siedział u okna, za okno spoglądał i poświstywał. Przerwana rozmowa, widać to było po twarzach, zostawiła po sobie niesmak jakiś. Szło im naopak, kwaśni byli wszyscy.

Na ławach siedzący, owi co tak bardzo szumieli, gdy Wojsław Sieciecha bronił, ofiary wojewody, sprzymierzeńcy królewicza, lica mieli posępne, ust teraz nie otwierali. Spoglądali po sobie trzęsąc głowami, to na Dobka który chodził rozpasany i spluwał, niby coś gorzkiego chcąc się pozbyć.

Po długim milezeniu, czasu którego jedni ziewali, drudzy palcami kręcili, inni się rozpiecali na ławach, miejsca sobie dobrać nie mogąc. Dobek stanął i głośno kłąc począł.

— Porwałoby go lieho! porwało! Bodaj zczeszł marnie.

— Kto! zapytał Marko od okna.

— Albo ja wiem kto z brzegu! zawołał Dobek. Dużobym ich dziś dał liehu na przekąskę! Niema bo ludzi na świecie! niema! Choć kamień do szyi i w wodę.

— He! he — przerwał Marko — na to zawsze czas. Wiecie co powiem? Jam już nie jeden raz bywał w takich opalach. Dwa razy stałem nad Dunajem a raz nad Renem myśląc — a no? plusnaćby? Nie było już co robić! Nie plusnałem i dobrze się stało — bo ot się jeszcze żyje i ciągnie. Raz, pamiętam u morza chciało mi się iść dać rybom zjeść, poczekałem z tém i chodzę po świecie... Na to zawsze czas.

— Chcieliśmy się ratować od Sieciecha — rzekł Dobek nie wiele go słuchając — poszliśmy do Czech do pana Brzetysława. Tylko że nas i tam nie kopnięto nogą. Naostatek doradzili nam królewicza wziąć. Myślałem żeśmy Pana Boga za nogi złapali. Serce się uradowało!

Magnus się obiecał że go przyjmie. Mogłoby być lepiej?

Patrzcież co z tego urosło — królewicz, choć mój krewniak — królewicz —

To mówiąc Dobek głową począł kiwać nie kończąc, spojrział po słuchaczach. Na ławach siedzący kiwali potakując głowami, kilku się nawet

uśmiechnęło — Marko czekał jak się to dalej rozwinię, ani się przeciwił, ni pochwalał.

— Królewicz, choć mój krewniak, powtórzył Dobek — ni z pierza ni z mięsa. Licho wie czy go w kołysee baby nie zamieniły; nie tam królewskiego niema prócz buty. Je i pije dobrze, zęby wyszczerza niczego, łajać potrafi, huk i wrzawę koło siebie, świecidła i brzękadła lubi, a żeby się tak wziął do konia, do włóczni, rycerskie serce okazał, jeszcześmy nie doczekali.

— A no, przyjdzie i to — odparł Marko.

— Kiedy? spytał Dobek — klechy z niego zrobili takiego jak sami. Gada dobrze, ale na języku u niego wszystko. Dziś cały dzień przeleżał drwiąc i błaznując z Zahoniem i Piętką, a ty sobie Dobku łeb ukreć aby było co potrzeba.

Nie — królewicz się nam nie udał — powtórzył Dobek — Magnus nam zawód zrobił. Czechy gdy nadciągną to nie po co tylko aby nam z przed nosa co jest sprzątnęli, Pomorey też gdy przyjdą, nie darmo.

— A wamby się chciało aby szło jak z płatką — rzekł Marko — gdzież to widziana rzecz? Gdym jeszcze był u Węgrów, trafiło się raz tak —

— Co mi z tego co się wam trafiło? przerwał niecierpliwie Dobek — mnie w głowie co nas tu spotka? Jak Sieciech nas wylapie, to pościna i wywiesza.

Na ławach potwierdzające westchnienia się słyszeć dały.

— Co prawda, to prawda! mruknęło kilku.

— Nasi przyjaciele w Krakowskim, na Szląsku, na Mazurach, którym Sieciech jak nam dokuczył i dojadł, darli się strasznie i nastawiali; obiecywali dużo. Teraz przycupnęli i siedzą cicho.

Marko, wstał, do wiadra poszedł, przechylił je, zajrzał że na dnie nic nie było i smutny wracając na ławę — począł pocieszać Dobka.

— Wasza miłość, chcielibyście aby trudne rzeczy szły łatwo! To nie może być. Baba nim chleb upiecze, osmali się i zabruce, a co dopiero gdy królewski kołacz trzeba na stół postawić!!

Pamiętam, że gdyśmy na Węgrzech z królem Salomonem — —

— A! a! przerwał Dobek — daj że ty mi pokój z Węgrami i królem Salomonem, radziłbyś lepij co ze Zbigniewem poczynać.

— Co? wiadoma rzecz, ludzi ściągnąć i w pole iść a bić się — odparł inny z boku.

— Łatwo to ludzi pościagać? zawołał Dobek. Widzieliście tych których zebrano?

— Jakich naleziono, takich się ściągnęło, rzekł Marko.

— No i widzieliście przecie co to za obszarpańcy — mówił Dobek niecierpliwie — wszystko to wlecze się w łachmanach, dużo bosych co i chodaków nie mają, siła głodnych których odkar-

miać trzeba, aby im dech powrócił; rzadko który dobry kij ma w ręku. Trzeba to odziać, uzbroić i nakarmić.

— O! o! to mała rzecz, gdy kto sprawę rozumie, zaśmiał się Marko. Ja wam powiem jak bywał o głym wojował na Rusi z jednym kniazem co się goły wyrwał jak nasz i borykał się z bratem który Włodzimierz trzymał. Zaczęliśmy ludzi zewsząd ścigać takich samych bosych, gołych i głodnych, bo wiadomo że tacy są najlepsi. Człek głodny, widzicie, w ogień idzie gdy przy ogniu miska stoi, bosy zabija dla chodaków, goły dla opończy — a ten co ma wszystkiego podostatkiem, temu życia i wygodę szkoda. Poszliśmy ze zbieraną drużyną na dużą osadę. Drugiego dnia ludzie z niej wszyscy w lasy drapnęli, natłukliśmy dużo, a moi byli odziani, zbrojni i nie głodni. Jeszcześmy na wozy dużo nabrali i poprowadzili z sobą. Gołych mi dawajcie, tacy się niezego nie boją.

Dobek głową potrząsał.

— Jak pójdziemy po kraju w ten sposób się żywiąc, dopiero nas kochać będą — odezwał się.

— A nam po kata żeby oni nas miłowali, byle nas karmili? zawołał Marko.

— Pójdą wszyscy do Sieciecha, a z nim na nas — albo tego nie rozumiecie? mówił Dobek. Całego u nas majątku pono dwa kubki srebrne, co nam jeden darował Zbilut a Zdzitko drugi, —

srebra ani złota nie mamy. Jakże tu wojsko zbierać, czém go zbroić i odziewać?

Począł chodzić żywiej Dobek, a Marko podśpiewywał.

— Ja tam tego niewiem jak ono stoi u was — odezwał się przerywając piosenkę — jaki tu obyczaj, ja com po innych ziemiach z różnemi panami wojował — tyle znam, że wojna na to jest ażeby grosz i bogactwo dawała a nie brała. Po jakiego-by licha się komu zdała żeby za nią jeszcze płacić trzeba?

Tak to jakoś do przekonania trafiło Dobkowi, że długo na Marka popatrzywszy umilkł.

— Widzicie — dodał — nie na samo wojsko trzeba nam zapasu, ale żeby z tego niezdarnego królewicza co zrobić, żeby się doń ludzie garnęli — trzeba mu szat, naczyń i koni i dworu. Tego nikt nie da darmo, a bez tego on nie wart.

— Ba! odezwał się Marko — darmo, juści nie da nikt, ale ludzie na świecie pożyczają. Toć przecie królewskie dziecko, jak go na wojnie nie ubija, to mu ojciec odepnego musi dać jakich parę gródków i kawałek ziemi z osadnikami. A znowu żeby on się dał tak łatwo ubić i na oszczepy leciał, nie widzi mi się. Do podwiki pono skorszy niż do oręża.

Uśmiechnęli się niektórzy.

— Młody jest, rzekli.

— Post miał zbyt ni w klasztorze, dodał Marko.

— Ojciec! ojciec — przerwał Dobek, albo mu da ziemię, albo mnichom napowrót odeszle i postrzyże.

Sobiejuha ramionami ruszył.

— Sluchajcie — rzekł wesoło. Prawda żem się ja parę razy w Dunaju topić chciał, a raz w morzu, biedy się dużo najadło, zawszem się przecie szczęśliwie wykrecił. Raz mi już Połowce postronek byli na szyję założyli! Mam takie szczęście że mi się nie nie stanie, a że z wami trzymam i wy się wykrećcie.

Jeżeliby zaś łeb ucieli! hm — to się o strawę na jutro nie będziemy frasować. Wy nadto na rozum bierzecie, a bezpieczniej brać na szczęście.

Dobek się nie zdawał przekonany.

— Co mi z tego wszystkiego! rzekł — gołe słowa!

— Ja swoje prawie — powtórzył Marko... Goli jesteście, ale skarb mamy w królewiczu. Na jego krew dług zaciągnąć można, byle czleka znaleźć co pieniądze ma.

— Takich pieniędzy, tyle grzywn co nam trzeba — odezwał się Dobek, nie łatwo gdzie znaleźć.

I począł liezyć na palcach.

— Na odzież, na zbroję, na konie, na wszelkie zapasy, i na to żebyśmy się gołego pana nie wstydzili, bo choć on dwór swój wszelaką da-

rowizną przyodział i świeci się, ale gźła ani jeden niema.

— No, i na to też trzeba — dorzucił Marko — żebyśmy my, a przynajmniej ja żebym się koło niego pożywił, bo — wiecie o tém — ja także przywędrował tu w złą godzinę. Odarli mnie rozbójnicy w lesie, został mi tylko pacholek w chodakach, który na koniu siedzi jak pies na płocie i pasem się ściska jako osa, bo żołądek ma wyschły. Ja też koszuli dawno nie pioreę bo niemam, a opończa co się świeci, tę już musiałem sobie wysłużyć niedawno...

Udał Dobek że tych zwierzeń nie słyszy.

— Wy u nas podczaszym i podskarbib i wojewodą, mówił dalej Marko, radźcie o sobie i drugich.

— Jak z próżnego nalewać — rzekł Dobek — nie potrafię.

— No, to ja wam poradzę — wtrącił Marko.

Siedzący na ławach pod ścianami, zasłyszawszy to, zwrócili nań oczy wszyscy i westchnęli.

Wstał Marko, pociągając odzienia i prostując się.

— Nie darmo człek po świecie bywał, rzekł, i na Węgrzech, i w Akwizgranie i w Kijowie i na Morawach — i gdzie się nie bywało?? Ja tu zaraz przybywszy zważałem jak stojemy, myślałem kędyby się pożywić.

Ja sobie prosty wojak — a wy, ludzie rozu-

mni, jeździliście z Magnusem do biskupa, który rychlój by wziął niż dał, a nie pojechaliście tam gdzieby się można obłowić.

— Gdzież się tu obłowić? zapytał Dobek ciekawie.

— A no tam gdzie się wszyscy panowie żywią kiedy bieda—mówił Marek—albo to nie wiecie kędy królowie złoto pożyczają aby go nie oddać nigdy?

— Nie wiem.

— U Judów! zawołał Marko. Macie i tutaj pono kilku, boć oni są wszędzie i w Pradze ich siła, i w Krakowie gdzie który się już okazuje. Handlują złotem, kamieniami, niewolnikami, balsamami; srogie pieniądze i skarby mają.

Dobek ręką począł się osłaniać i bronić.

— Zaś! żebyśmy u tych nieprzyjaciół Bożych mieli co brać! niech nas od tego miłosierdzie pańskie uchowa!

Splunęli niektórzy, inni się przeżegnali z obawą.

— Tak wy o tém mówicie, ciągnął Marko niezmiészany, jakbyście nigdzie po świecie nie bywali, a o Judach nie słyszeli. Wszyscy co rozum mają, monarchowie, cesarze, królowie, książęta ciągną z nich siła. Skarby u nich ogromne. Z szatanem trzymając złoto robić umieją. Z pogany temi którzy Chrystusa pana męczyli niema wielkiego zachodu, a choćby się skórę z nich zdarło, do zbawienia jeszcze pomoże. Nagrozi się

im, nafuka, nabije nawet, nie ujmie się za tém nikt, dobrze że z życiem wyjdą cali.

Dobek powoli zdawał się przychodzić do jasnego rzeczy pojęcia.

Żydów naówczas nie wiele jeszcze w Polsce było, tłumniej później nieco ściągając się poczęli. Siedzieli tylko po grodach bogatsi, handle wiodąc różne. Wielkie prześladowanie, które tysiące później zagnało tutaj, gotowało się dopiero. W Pradze, Krakowie, Wrocławiu zamożniejsi osiedlili się za Władysława, trudniąc handlem, wybijaniem monety, kupnem i sprzedażą niewolników, lekami i lichwą.

— Gdym się przekonał że królewicz goły — ciągnął dalej Marko — myślałem zaraz, Judy nam trzeba na tę chorobę. Da on nam grosza gdy królewicz zażąda.

Z niedowierzaniem i ciekawością przysłuchiwał się Dobek.

— Gdzież tego Judy szukać? przebaknął.

— A widzieliście dwór na piaskach? ten co murem obwiedziony wysokim, że za nim prawie dachów nie widać?

— Czyżże jest? pytał Dobek.

Marko palcem w stronę jego ukazał i nosem pociągnął.

— Tam nam potrzeba — odezwał się — tam ja czuję złoto i wszystko czego królewiczowi brak. W domu tym mieszka Natan Ispan — azali



wy o tém nie wiecie? Tylko że do niego przystęp trudny! ho!

Z ław powstawali zaciekawieni słuchacze, kołem otaczając Marka.

— A wy zkaż o tém wiecie? poczęli pytać Marka.

Sobiejucha śmiał się zwycięzko.

— Ja, rzekł, gdy wchodzę do lasu wietrzę zwierzynę, gdy wjeżdżam do miasta, wietrzę Judów. To u mnie pierwsza rzecz. Mało wiele, przy czepiwszy się doń, człek zawsze coś udrze, bo każdy Jud się boi, aby go za męczeństwo Chrystusowe nie pozywano. Więc się ich drze. Wszyscy to robią. POCO by ich żalować? Czy oni nam swaty czy braty? Wszakci to nie kto tylko ich ojcowie Pana Boga ukrzyżowali i męczyli; czemu byśmy za to ich nie mieli łupić? Sprawiedliwa rzecz i bardzo Bogu miła. Nam do Natana Ispana trzeba się dostać koniecznie, nałgać do brze, obiecać złote góry, nastraszyć trochę da co potrzeba. Królewicz-że na Szląsku ma panować? Chce-li być Natan cały musi się zawczasu zasłużyć.

Wszyscy, nie wyjmując Dobka, z pewnym poszanowaniem spoglądali na Sobiejuchę, który dawszy ten dowód przebiegłości, zdumiał. Rzucił okiem ku wiadrze próżnemu, jakby wyrzucając losom niesprawiedliwość iż takiego jak on człowieka, nawet piwem nie poczęstowały. Nikt

się nie odzywał, Marko splunął i ręce za pas założywszy, ciągnął dalej.

— Tak, tak, miłościwy panie — człek jestem mały ale bywały, wiem gdzie kury jaja noszą. Nie darmo człek wycierał kąty od Dunaju do Renu, od Adygi do Dniestru — i...

Ręka w powietrzu dokończyła wyliczenia:

— Rada wasza pewnie nie do pogardzenia — odezwał się Dobek — wszelako Juda by chyba głupi był żeby dawał temu co jeszcze niema nic, i niewiadomo co mieć będzie.

— Król ma serce miękkie, poruszy się — rzekł Marko.

— A Sieciech co ma serce złe nie da mu nic zrobić — wtrącił Dobek.

— A! dziecku oczu nie wykole — mówił Sobiejucha. Widzicie, miłościwy panie, gdyby koło was tak źle było jako wy trzymacie, jabym tu pewnie nie postął, albo miejsca nie zagrzal.

— A jakże trafić do Judy! zapytał Dobek — jam i na to nie mądry.

Marko się śmiał z prostoty człowieka, nad którym chwilowo brał górę!

— Miłościwy panie — począł cicho i poufnie, choć tajemnicy w tém nie było. Myszy nawet wiedzą jak się dostać do domu. Gdy drzwi zamknięte, drapią się po ścianie; gdy ściana gładka, kopią norę pod ziemią.

Powtórnie przeszedł się Marko do wiadra po

piwie, zajrzał w nie, przekonał się iż w niem nie było, a gdy inni wysmiewać się z niego zaczęli — zawołał.

— Co się macie śmiać? Poszedłby który z młodszych do jejmości, bo do bab bezpieczniej gołowąsów posyłać, pokłonilby się i rzekł że srogie pragnienie mamy, woda się w studni zaśmierdła, a piwa ani kropli. Juści przez miłosierdzie dadzą choć męty. Co ich to kwaśne piwsko kosztuje? Na polu ziarno się samo rodzi, albo mu z osypów i danin przywiozą do spichrza, chmielu po lasach i po płotach dosyć, służba do zamku idzie, jak nam mają żałować — tego co im Pan Bóg darmo daje!

Jeden z siedzących pod ścianą ruszył się przekonany argumentem, a Dobek zamyślił nad daną radą. Sobiejucha podśpiewując do okna powrócił, tamten wymknął się z izby.

Magnus właśnie przed sień zajeżdżał z za miasta powracając, gdy Dobek go tu przywitał. Nie bardzo rad był i twarzą mu to okazał, bo wszystkich Zbigniewowych z nim razem, chciał się co rychlej pozbyć z gródu, objadali go i obierali.

Wieści też już chodziły, że król z siłami znacznymi na Wrocław ciągnie. Zsiadł z konia otyły namiestnik sapiąc zmęczony, udając że Dobka nie widzi. Ten mu się kłaniał uparcie.

— Czołem i głową, miłości waszój — powtarzał — czołem i głową.

— Bóg z wami— a co? zamruczał stary.

— Słówkoby się rzekło.

Usiedli tedy na ławie w przedsieniu.

— Długo was nie potrzymam— mówił Dobek — w pole nam na gwałt potrzeba, a niemamy o czém. Z próznemi rękami i na nabożeństwo iść nie do brze, co dopiero na wojnę.

— Jać skarbów nie mam — odparł groźno Magnus — com miał i co mogłem, tegom nie skąpił.

— Miłość wasza pomódz byście nam mogli pośrednictwem, opieką, dobrém słowem? rzekł Dobek.

— Gdzie? jak? u kogo?

— U Natana Ispana, jeśli się nie mylę w nazwisku, bogatego Judy, który tu mieszka — mówił Dobek — tenby królewiczowi mógł wygodzić.

Oczyrna wielkimi, zdziwionymi popatrzał Magnus na mówiącego, i nie było mu miło widocznie, że kto inny zabierał się do odzierania ze skóry tego którego on dla siebie zachował.

Po namyśle jednak, z dwojga złego wybierając, wolał pewnie by odarto żyda niż jego, i z łupem rychlej odejść mogli. Rzekł zrazu zwolna.

— Ot, czego się to wam zachciało! dobry nos macie.

Dobkowi to pochlebilo, rozśmiał się.

— Wy, miłościwy panie, pojedziecie z króle-

wiczem i ze mną do Judy, mówił Dobek śmielój. My goli w pole nie pociągniemy, ludzie nasi ani oręża ani okrycia nie mają, darmo nie da nikt...

Namiestnik namyślał się długo, ręce obie po obu stronach szerokiego brzucha sparł na ławie, dyszał i dumiał nad odpowiedzią.

Przechodzącemu chłopcu kazał sobie przynieść kubek kwasu, wypił go, otarł usta, milczał i nie odpowiadał. Dobek czekał cierpliwie.

Zapatrzywszy się na wały i szopy naprzeciw stojące, Magnus zdawał się już zapominać o prośbie, aż Dobek ośmielił się ją ponowić.

— Miłościwy panie, dla królewicza choć to uczynić się godzi! pojedziecie z nami!

Namiestnik milczał ustami tylko poruszając dziwnie, jakby przeżuwał; za trzecią razą zagadnięty uparcie, popatrzał na natręta, podniósł się, rozprostował i rzekł.

— A cóż? muszę!!

Na jutrzejszy ranek zapowiedziane były odwiedziny u Natana. Marko dowiedziawszy się o tém, nalegał mocno aby do orszaku mógł należeć, królewicz byłby się zgodził na to, ale namiestnik odmówił twardo.

Sobiejucha pogniewał się mocno.

— Przekłety wieprz — rzekł Dobkowi — pozabawia mnie podarku! żydy zazwyczaj mają i czeladź i wszystkich obdarowywać, cośby się okroiło.

Niechże się ja z nim nie spotkam na polu gdzie, bo mu brzuch rozporę.

Królewicz rad był niezmiernie, a gdy się przyszło wybierać, nie dopuścił, inaczej jechać tylko z wielką częścią dworu swojego, z trębaczami, choragwią i zwykłymi okrzyki. Zdalo mu się, że Judę przerazi i rychlej coś z niego wycisnie. Magnus napróżno namawiał, by w kilka koni, po cichu odbyć tę wycieczkę, uparł się królewicz i na swoim postawił.

Ruszyli tedy z tą gromadą wrzaskliwą, królewicz odziany w co miał najlepszego. Magnus jak stał, Dobek we zbroi, dwu podkomorzonych z łańcuchami na szyjach pozłocistemi.

Marko w podsieni stojąc kłął i pięści ukazywał zdala. Inni mieli z rady jego korzystać!

— Tak na świecie zawsze — szeptał — że kto zgotuje, ten nie jé.

Wycieczka do Natana nikomu zbyt miłą nie była. Magnus choć żydem się opiekując, wysysał z niego co mógł, ocierać się jednak o niewiernego nie lubił. Żydów obawiano się powszechnie jako czarnoksiężników, mających stosunki z siłą nieczystą, wstręt miano do wszystkiego, co ich otaczało, oprócz pieniędzy, do których czary nie przylegały.

Unikał każdy progę ich i dotknięcia; żydzi też unikali zarówno stosunków ze światem wedle ich pojęć nieczystym i pogańskim (czcicieli gwiazd)

domy ich, o ile możności stały oddzielone od zamieszkiwanych przez chrześcian, zamknięte dla nich, tak, że jedna tylko część ich dostępną była dla tych, którzy z nimi mieli stosunki. Wystawieni na samowolę i prześladowania, kryć się musieli z całym życiem swém, aby cieżkości nie obudzać, nienawiści nie drażnić.

Dom Natana Ispana stał w części miasta, zwanéj na Piaskach, wysoko obmurowany dookoła.

Brama wiodąca doń z dębowego drzewa wyciosana, blachami żelaznemi okuta, stała zawsze zamknięta. Wążka furta z boku prowadziła na podwórze, a i téj nie otwierano, nie przekonawszy się wprzód, kto i z czém przychodził. Cudzoziemskim obyczajem umocowany przy niej był młot ciężki, którym bijąc, przyjezdni znać o sobie dawali.

Zbigniew już zdala swoim ludziom w rogi dać kazał i pokrzykiwać, nic to jednak nie pomogło, gdyż stanąwszy u wrót, znaku życia najmniejszego przy nich nie znaleźli. Trąbiono długo i pokrzykiwano napróżno.

Jeden z czeladzi dopiero z konia skoczywszy, młotem walić począł, nie żałując furty, aż się odsunęła deska od okienka i blada twarz w czapce ogromnej ukazała za kratą.

Z pod brwi jej czarnych, grubych, nawisłych, wejrzanie strażnika padło na Magnusa; starczyło

tego, by furtę zaraz otwierać zaczęto. Drugi z Natanowych sług pobiegł do dworu z oznajmieniem o gościu dostojnym.

Namiestnik nie chciał z końmi i całą gromadą księżęcą wjeżdżać w podwórze i zsiadłszy u wrót, pieszo weszli ze Zbigniewem. Stojący u furty strażnik, pokłonem do ziemi ich witał.

Ztąd się im dopiero pokazało domostwo, w pośrodku podwórca stojące, na pozór liche, obszerne, z dachem wysokim, ścianami niskimi i mnóstwem kleci dookoła.

Z pozorów trudno się tu było domyślać wielkich dostatków, tak nędznie wyglądał dworzec ów niski, otoczony słupkami drewnianymi. Okna jego kratami drewnianymi opatrzone dookoła, nie dawały wejrzeć do środka, choć otworem stały.

Sługa, który przodem pobiegł oznajmić Magnusa, tak żywo się sprawił, że nim do drzwi doszli, już się one otworzyły, a w progu ukazał sam gospodarz, wychodzący na spotkanie swych gości.

Był to starzec wysokiego wzrostu, z bardzo długą brodą siwą i oczyma prawie brwiami zasłoniętymi; ubrany w suknię ciemną jedwabną, pasem szerokim ujętą, w lekkim płaszczu czarnym na wierzeh jej zarzuconym i w zawoju na głowie.

Pokłonem niskim i ręką od ust witał znajo-

meo Magnusa, ale bystre jego oczy już postrze-  
gły, że nie sam on przybywał; przebiegły Judeus  
domyślił się kogo i pewnie, po co wiadono.

Zbigniew w klasztorze, we wstręcie i obrzy-  
dzeniu dla żydów wychowany, szedł niechętnie,  
trwożnie, ociągając się, a oczyma rzucając dokoła  
ciekawie. Magnus szepnął do ucha gospodarzowi  
kto był z nim, a ten jeszcze niżej Zbigniewowi  
się pokłoniwszy, ujął w białe palce kraj jego  
szaty i do ust ją przyłożył. Ruch ten przestraszył  
niemal królewicza, lecz się zmógł na mężstwo  
i twarz jakby do uśmiechu nastroił.

Weszli tedy w sienią prawie ciemną, którą tylko  
otwarte drzwi oświecały. W lichém tém na pozór  
domostwie, nawet wnijście, zamiast zwykłego  
toku, było drewnianemi wyłożone dylami. Na  
prawo otworem już stały drzwi, a przez nie duża  
izbę nie zbyt jasną widać było.

Dokoła jój, zamiast ław leżały poduszki i ko-  
bierce nisko usłane. Część téż podłogi grubemi,  
ciemnymi kobiercami wyłożoną była. Stół ze świe-  
cznikiem mosiężnym w pośrodku, także był wzo-  
rzystą okryty oponą.

Zresztą nie było w izbie nic, oprócz szafy,  
w której gliniane, dziwnych kształtów naczynia,  
kubki i dzbanki ustawione były. Nic tu jeszcze  
nie oznajmywało tych wielkich dostatków, o któ-  
rych mówiono, złota i srebra nigdzie widać nie  
było.

Że innego siedzenia nad owe poduszki nie było,  
gospodarz wskazał je przybyłym, a sam znikł na  
chwilę, pospiesznym uchodząc krokiem.

Lecz jak szybko odszedł, tak prędko nazad  
powrócił i jedną ręką trzymając się za brodę,  
drugą za pas stanął w pełnej poszanowania po-  
stawie naprzeciw Zbigniewa i Magnusa. Dobek,  
który się wsunął za nimi, ku kątowi się skrył,  
ciekawie posyłając oczy na wszystkie strony.

Do rozmowy z Natanem nie potrzeba było  
tłumacza, umiał on już nieco pospolitego języka,  
a mówiono, że i wiele innych rozumiał, bo długo  
wprzód żył po różnych krajach niżeli się tu  
dostał.

Magnus ustąpił z nim nieco na stronę, w cicho-  
ści naprzód ozoajmując mu, z czém i po co przy-  
bywał. Dobek zdala śledzący obu ich ruchy, po-  
strzegł naprzód przerażenie Natana, zarzekanie  
się jakieś, uderzenie w piersi gwałtowne, miotanie  
rękami, potrząsanie głową. Potém coraz łagodnie-  
jący spór trwał dosyć długo, nim się jakby pod-  
daniem smutném i uległością zakończył.

W tém chłopak młody w długiej sukni cie-  
mnój, wniósł na płaskiej misie cynowej ogromną  
flaszę i trzy kubki pozłociste.

Na twarzy Zbigniewa trwoga się odmalo-  
wała.

— Struć nas gotów, lub zaczarować — sze-  
pnął Dobkowi.

— Cóżby mu z tego przyszło? — odparł towarzysz. — Jest sposób na to, sam on z nami napić się musi.

— Czyż nie wiesz o tém, że truciele sposoby na to mają, ażeby im trucizna nie szkodziła — szeptał Zbigniew przelekły — ja usta nie dotknę tu ani jadła ani napoju.

— Do woli waszój — odezwał się Dobek — ja to wiem, iż oni mają wina z gorących krajów, jakich u nas nikt nie zna, słodkie jak miód, a jak ogień rozgrzewające. Nie pogardzę przyjęciem.

Natan rad zapewne, iż przyniesione wino niemiemu naleganiu nań folgę uczyniło, ukłonami jął na nie zapraszać, lecz Magnus téż nie bardzo rad był pić, czarów zarówno obawiając się i trucizny. Stary nalegał mocno, a nawykły widać do podobnych obrzędów, sam pierwszy nalał trochę wina do kubka, pijąc za zdrowie gości i do kolan się im klaniając.

Wziął i Magnus kubek podany i Zbigniew téż z tą myślą, że go nazad pełnym postawi. Śmielszy a ciekawszy Dobek począł pić zaraz i skosztowawszy po piersiach się pogladził.

Napój był w istocie osobliwy, choć dla króla, ognisty, wonny, a łagodnie lechący usta.

Tymczasem namiestnik zagajał sprawę, Zbigniew téż zbliżył się, bo gdzie szło o wymowę, łatwiej sobie od innych poczynął, na sło-

wach mu nigdy nie zbywało. Kto był, o co się ubiegał, opowiadać nie potrzebował. Magnus przyrzekał w imieniu jego wiele w późniejszym czasie, gdy królewicz prawa swe odzyska, co nieochybnie nastąpić musiało.

Słuchał z wielką uwagą Natan.

— Choćby człowiek mały, jakim ja jestem, pragnął usłużyć waszój miłości — rzekł powolnie, ważąc każde słowo — zkądże ma wziąć? Jak dostać?

Utyskiwać począł na bardzo ciężkie czasy, na handel trudny, na to, że karawany kupieckie po gościńcach nigdzie bezpieczeństwa nie miały, choćby w listy od królów opatrzone były, robijano je i obarczano opłatami.

Zaklinał się, iż zubożały był, że nie miał nic, nie mógł nic. Bił się w piersi, oczy podnosił ku niebu, brodę siwą targał i wzdychał.

Nie to nie pomagało, Magnus nalegał nań. Dobek po winie śmielszy, z kąta po słowie przyrzekał. Zbigniew téż zebrał się na wspaniałe obietnice, ofiarując się stwierdzić je pieczęcią swą, chociaż dotąd żadnej nie miał. Opór ze strony napastowanego żyda trwał długo, ale namiestnik naciskał go, a ten był we Wrocławiu najwyższym rządzcą; odmówić mu całkowicie, obrazić go i zniechęcić nie było bezpiecznym.

Natan w końcu musiał ofiarować pewną ilość grzywien srebra i sukno dla ludzi książęcego

dworu, zaklinając się, iż ostatki oddaje i sam ogolonym będzie ze wszystkiego.

Językiem mówił złamanym, lecz żywo, gorąco, pomagając sobie ruchami, starając przebłagać pokorą. Oczy tylko ciemne z pod brwi nawisłych, ilekroć błysnęły, nienawiść z nich i gniew tryskał stłumiony.

Chociaż ofiara ta nie dochodziła przesadnych nadziei, z jakimi Zbigniew jechał do Natana, trzeba się nią było ograniczyć. Tak radził Magnus, wziąwszy na stronę królewicza i biorąc żyda swojego w obronę. Stało na tém, iż królewicz oprócz zwrotu grzywien, opiekę swą Natanowi w przyszłej dzielnicy zaręczał, pieniądze mu bić u siebie dopuszczał, handel swobodny, wolność od opłat pismem pod pieczęcią zapewnić obiecywał...

Sam Natan wedle słów tych pismo ułożyć się ofiarował, mając zawsze do pomocy kogoś, gdy mu było potrzeba; książę tylko przypieczętować miał nadanie, a świadki stały gotowe.

Tak w przeciągu godziny umowa zawartą została, zachęcony Dobka przykładem Magnus, wychylił kubków parę; naostatek i Zbigniew potajemnie przeżegnawszy napój, ośmielił się do niego. Wino było dobroci dziwniej i uweselało cudownie; twarze się też wyjaśniły, choć skutek wycieczki nie bardzo był pomyślny.

Natan nie chcąc swych gości bez podarków

wypuścić, znikł znowu i po chwili wrócił z chłopakiem, który niósł trzy srebrne naczynia, dla królewicza jedno, drugie dla namiestnika, najmniejsze i najlżejsze Dobkowi.

Tak wyprowadzani aż za próg wyszli z lichego domku tego, opatrzeni nieco z łaski Marka, który podał pierwszy tę myśl szczęśliwą a sam nie mógł z niej korzystać.

Kubki pozawijane w chustki jedwabne, czeladź u drzwi zabrała. Rozochocony Zbigniew dosiadając konia za furta, która się natychmiast zamknęła za nimi, kazał w rogi uderzyć, śpiewać i pokrzykiwać ludziom, którzy tém raźniej to spełnili, iż i im piwa i miodu wyniesiono, a tego się weale nie wzdragali.

— Gdy panem tu będę — szepnął Zbigniew, pochylając się do ucha Dobkowi — wiesz co uczynię?

— Natana wasza miłość nagrodzi? — rzekł Dobek.

Rozśmiał się Zbigniew szydersko.

— Nie głupim — rzekł. — Zadrę się z nim, abym dwór mógł złupić. Znajdzie się w nim czém pożywić! Nieprawdaż! Nie godzi się, aby kaci Chrystusowi w skarby się wzmagali. Z szatanem trzymają niewierni i czary sprawiają. Kościołowi dam dziesięcinę...

Dobek nie odpowiedział, lecz wielkie pojął pojęcie o rozumie pana swojego.

— Ten królować potrafi! — rzekł w duchu.

Gdy w tryumfie z hałasem zajeżdżali napowrót na zamek, Marko czekał na nich w przedsieni, ciekaw, jak się im poszczęściło. Zbigniewa pytać nie chciał, Dobek śmiejąc się kubek mu swój pokazał i chustę jedwabną.

— Byłbym i ja podobny dostał — westchnął strapiony Sobiejucha, kubek w rękę obracając — a no mnie com to wszystko uczynił, wiecheć się za to dostał. Taka sprawiedliwość na świecie!

Na złagodzenie smutku, pół grzywny srebrnej mu przyobiecano, a piwo i miód resztę żalu ugasiły.

### VIII.

Była naówczas Kruszwica biskupią stolicą i miastem równego znaczenia z Gnieznem i Poznaniem, należała do najzamożniejszych u Polan grodów.

Szedł tedy handel ożywiony, mieszczaństwo było zamożne, ludność się pomnażała. Zamek nad jeziorem stał warowny, na tém miejscu kędy niegdyś Popielów wznosiła się wieżyca... Resztki tego *dominium* sterczały nad nim, czasu ciężkiego oblężenia, gdyby gród miał być opanowany, stanowiąc ostatni przytułek.

Tu Zbigniew u miasta i Gopła stał obozem ze swym zebrany z różnych stron żołnierzem. Nie było podówczas królewskiej na zamku załogi i to go ubiedz dozwoliło, gdy z kilku pułkami przyciągnął królewicz pod Kruszwicę.



Z samego wejrzenia na obozowisko poznać łatwo było można, z czego się siły Zbigniewowe składały.

Osobno stały dwa oddziały pogan pomorskich ze stanicami swemi. Z temi chrześcianie kumać się ani chcieli ani mogli. Pomorska owa dzieć ląpieżna służyła tak nieraz i Cesarzom i każdemu kto jęj chciał zażyć, byle rabunek miała bezkarny. Na zawołanie Zbigniewa poszła chętnie, z kneziem swym Przemkiem, który bez wojny żyć nie mógł, a z Polanami był w wiekuistej walce. Na uboczu się trzymali Pomorcy, gdyż się z nimi nikt drużyć nie chciał, a oni też o tém nie myśleli.

Dwa pułki posiłków czeskich stały także osobno, z temi ani Pomorcy, ani Polanie w zgodzie nie byli i u wodopoju nawet, gdy się czeladzie spotkały, łajały się i do oszczepów porywały, wymyślając sobie wzajemnie. Czechów potajemnie wysłał Brzetysław, choć się zwało że zochoty przyszli sami.

Dwa pułki dostarczyli też nieprzyjaciele Sieciecha, żądając go obalić bardziej niż Zbigniewa ratować. Ostatni siódmy oddział składał się przeważnie z samych zbiegów, których Sieciech wygnał z kraju prześladowaniem, a ci najzajadlejsi byli.

Ze wszystkich ziem znajdowało się ich tu po traszę, Krakowian i Szlązaków i Mazurów i Po-

znańczyków. Rycerze byli najlepsi gdyż między nimi zamożnych ziemian lik się największy znajdował.

Wysłane szpiegi donosiły że król też wojsko miał liczne i doborne, a choć sam chory, na czele pułków iść miał na Wrocław i Zbigniewa. W Płocku jednak podobno jeszcze nie dobrze wiedziano kędy królewicza szukać, a szło bardziej o odzyskanie Szląska, niż o Zbigniewa. Wprost więc Władysław iść miał na Magnusa naprzód, aby go przywieść do posłuszeństwa.

Nie pewnego nie było, ani gdzie, ani kiedy, ni z kim do czynienia mieć mogli Zbigniewowi. Każdy wysłany na zwiady inaczej prawil, inak liczył, co innego rozpowiadał.

Jedni wojsko króla czynili ogromném bez miary, drudzy słabém i nie liczném, więcęj o nim baśni przynoszono niż wieści.

Dobek, który do rady stał przy Zbigniewie, acz ten nie zawsze sobie doradzać dawał, ledwie wymógł na nim aby na zamku się nie rozsiadał ze dworem swym, a przy obozie w namiotach się położył, rycerza udając, choć jawném było że nań nie został stworzony.

Królewiczowi chciało się z drużyną wygodny zamek zajmować, bo pysznić się lubił, panującego udawać i zażywać dobrej myśli.

Dopiero gdy mu zagrożono że znienacka przyszędlszy nieprzyjaciel łacniej go weźmie, z nie-

wielką drużyną odłączonego, zgodził się pod namioty pójść ze swojami.

Tu gęźbą, śpiewami, hukaniem i jasnemi sukniami a dworem więcej się zajmował niżeli wojskiem i wojną. Śmiechów było pełno i przechwalek, bo siedm pułków owych zdawały się niezwyceżonemi.

Jesień już nadechodziła, noce były chłodne, ranki z przymrozkami, pod płótnem, choć ognie palono blisko, zaczynało być nie bardzo zaciszno. Wicher podrywał ściany, wdzierał się do wnętrza i nocami potrząsał namiotami, jakby je wywracać próbował. Dwór królewicza znacznie był urósł bez potrzeby, dla wystawy tylko. Kręciło się około niego dużo pustej młodzieży, a wieści chodziły że pod mezkami sukniami i biała pleć do usług była używana. Królewicz nie bardzo rad ze starszemi obcował, lubił błaznów, pochlebców, śmiechy i ludzi co od niego wszystko znosić byli gotowi.

Obóz był gwarny, bezładny, do którego ludzie się nie bardzo zbliżać śmieli. Na pagórku nad jeziorem, między kilką starymi drzewami rozpięty był namiot pański z wiechą na wierzchu, a przy nim na wysokości tyce zatknięta powiewała chorągiew czerwona bez żadnego znaku.

Obok niego pomniejsze dla Dobka z Morawicy, Marka i starszyny, stały nieopodal osobną gromadą. Dalej drużyna miała porozpinane

na kołach płótna, które się też namiotami nazywały. Dla oddziałów więcej szałasów i bud było z chrustu niżeli namiotów, ale za to dołów w ziemi pokopanych co nie miara i ognisk wiele nad którymi kociołki się grzały, a tuż dla koni rzędami stały żłoby pochwytnane z miasta jako tako na kołach poumocowywane.

Ani około Zbigniewa, ni u Czechów i Pomorców, porządku wielkiego nie było; królewicz się we wszystkim na drugich zdawał, sam niewiele czynił. Lubił tylko czasami ze dworem i trębaczami wyjechać i przeciągnąć aby mu się ciury kłaniały.

Okolo polskiego obozu, który był najbliższy królewicza, ludu różnego niepotrzebnego włóczyło się dużo: gęślarzów, dziadów, bab, dzieci, błaznów i wszelkiego tałałajstwa.

Królewicz potrzebował aby go zabawiano i kłaniano mu się; bawiono go więc różnie, sprowadzono mu od warjatów począwszy, do chłopców co kozły przewracały.

Baby mu wróżyły, śpiewacy różne, często sprośne pieśni wyśpiewywali, kobzy, gęśle i liry brzęczały przez cały dzień i nocy kawalek.

Za to o czatach mało kto myślał, chyba Pomorcy, co w cudzej ziemi się czując, na ostrożności też mieć się musieli.

Wojsko nie było bardzo postawne ani piękne, bo na lik więcej zważano niż na dobór ludzi.

Odziewał się każdy jak miał i jak chciał, ten w opończę, tamten w kożuszyne, inny w kaftan stary, a zbroi mało gdzie widać było, tylko około księcia żelaznych ludzi zwijało się trochę. Broń też nie była osobliwą, toporów więcej niż miecza, dostatek palek nabijanych i oszczepów z ladajakim żelezem lub osmolonych tylko.

Konie mizerne mało co więcej miały nad paszę pod nogami.

Leżąc tak obozem, to Pomorcy to Czechy, rękami, nocami wrywali się na bliższe osady dla pożywienia, a co złupili tém żyli.

Brali i młodzież, wiążąc ją jak jeńców, trudno im co mówić było, musieli mieć zdobycz jakąś.

Gdyby się srożono precz mogli pójść, a byli potrzebni. Z okolicy też kto mógł w lasy się wynosił daleko, i całe osady się zasiekiwały ze stadami na uroczyskach po puszczech.

Królewicz na nie nie zważał, byle mu samemu dobrze było. Dobek pilno go mający na oku, mógł się teraz bardziej jeszcze przekonać iż pociechy z niego nie będą mieli. Trzymali go jak chorągiew w ręku przeciw Sieciechowi.

Ani do konia, ni do gonitwy, do rycerskich zapasów było go napędzić, choć Dobek, starsi a nawet Marko go wyciągał. Sobiejucha szedł najczęściej z tém aby go z namiotu dobył, siadł pió i słuchać jak bajdurzono i do nocy pozostał.

Całe tak dnie w próżnicy upływały. Zahoń

i kilku ulubieńców, zbierali śpiewaków, którzy najczęściej swawolnych umieli pieśni, gęślarzy, gawiedzi wszelakię i sami im dopomagając bawili królewicza, który na stolku skórą pokrytym siedząc, nogi pozakładawszy, śmiał się aż za boki trzymał, szydził, młodzież do psich figlów pobudzał i o wszystkiém zresztą zapominał.

Dobek chodził struty, ale go wyciągnąć, ani przemienić nie mógł. Zagadał go Zbigniew, zahuczał i z niezem odprawił, a swoje robił.

Stały beczki z piwem i miodem do koła pańskiego namiotu, kto ze starszych przyszedł, nawlekli się i Czesi i Pomorcy nawet, pił, jadł, siedział i razem się zabawiał. Wychodził potem spluwając i mrużąc. Gdy o wojnie mówić przychodziło Zbigniew ziewał.

Spojrząwszy z pagórka na swe obozowisko, że dużo miejsca nad jeziorem zajmowało, zdało mu się że świat niem zawojuje.

Marko mu pomagał gębą wyszczekaną.

— Niech no się królewscy pokażą, mówili— dopiero im ciągi damy! — Nie ujdzie ich ztąd i noga.

Potopiemy w jeziorze, reszta w łyka. Odgrazali się nawet, gdyby królewscy rychło się nie stawili, że na nich gotowi iść, szukać, a choćby na sam Plock uderzyć,

Tym czasem stali, ryby łowili w jeziorze

i u Kruszwickich mieszczan gościli nie proszeni po chatach.

Zbigniew który mnichów i klechów w czasie pobytu w klasztorze znieawidził, teraz na oczy dopuścić ich niecheiał. Do Biskupa nawet nie szedł, a do kościoła trudno go namówić było.

Dobek i Marko chodzili do miasta, bywali na mszy; on, choć się tego nie zarzekał, z dnia na dzień odkładał, ledwie się z rana przeżegnał lub gdy czarów się uląkł jakich, to je krzyżem odganiał.

Tak upływały tygodnie na próżnym leżeniu, nikt z pełna nie wiedział co dalej poczynać miano.

— Gdy zima nadejdzie — mrucał Zbigniew. gród się obwaruje, załoga osadzi.

Z Kruszwicy sobie tymczasową chciał zrobić stolicę.

Komu jak komu, Markowi, który się wojewodą nazywać kazał, wcale z tém dobrze było. Inaczéj téż wyglądał teraz, bo i pacholika onego oberwanego odział, i konie (na paszy ich nachwytawszy) zbierał, mieniał, karmił, zbroi do-bréj dostał, niewiadomo jakim sposobem, we wszelaką broń się zaopatrzył, i w oczach go przybywało.

Pomorey, którzy srodzy byli zawsze łupieżcy a handlarze, oprócz tego co z domu dla wyprawy potrzebnego zabrali, nawieźli i po drodze na-

grabili dużo różnego sprzętu, który mieniali i sprzedawali.

Targowicę trzymali na obozowisku. Marko się u nich w wiele rzeczy zaopatrywał. Tak mu tu dobrze było iż sam przed sobą i innemi kłamał, przekonywując iż trwać to może bodaj wiek wieków, bo się na nich nikt napaść nie waży.

— Wiedzą ludzie że kły mamy! — mawiał, nie będą śmieli!!

Tym czasem stać obozem w siedm takich oddziałów, wśród kraju spustoszonego, coraz trudniej było. Pomorey dalej codzien puszczać się musieli za łupieżą, i nieraz wracali z próżnemi rękami; Czechy głodem po troszę mrąć, odgrazali się, że gdy mróz przycisnie precz pójdą; Polacy niewiedzieli co poczną, końca nie widać było.

Gdy Dobek, rozsluchawszy się po obozie przyszedł o tém dać znać Zbigniewowi, zaledwie go chciał słuchać. Ruszył ramionami.

— Czarno się wam widzi — rzekł, co ja na to poradzę?

— Albo się godzić, albo się bić trzeba, albo nas tu głodna śmierć wybije, mówił Dobek.

Królewicz, który właśnie patrzył na dwu chłopców pasujących się przed namiotem, z których jeden drugiego obalił i siadł na nim — począł się śmiać mocno. Na tém się rozmowa skończyła.

Drugą razą, sam na sam z Dobkiem usiłował

go przemądrze przekonać, iż ojciec mu wojny nie wyda i sam o pokój go prosić musi. Mówił tak zręcznie, przekonywająco, napastliwie że Dobka na razie uspokoił.

Sam jednak pono nie wierzył w to czém go durzył.

Posłano na zwiady ku Wrocławowi, Marko o tém doniósł królewiczowi, bo się to stało bez jego wiadomości.

— A no, dobrze! odezwał się.

Sobiejuha, widząc że się to podobało, pochwalił się tém jako swém dziełem.

Czekano dni kilka na powrót Czecha, który się wrędec z językiem przyobiecał; nie było go jakoś długo. Jednego dnia ujrzano go nareście.

Człek przebiegły, roztropny, smutny jakoś przywłókł się pod namiot królewicza.

— Cóżes to przyniósł? zapytał Zbigniew.

— Co Bóg dał, odparł Czech — król we Wrocławiu.

— Oblegał go, wziął! — zaczęto pytać w koło.

— Gdzie zaś, mówił posłany. Dali o królu znać tylko że nadciąga, wyjechał naprzeciw biskup Żyroslaw miłosierdzia prosząc dla miasta swego; za nim Magnus wyszedł pana przyjmując.

— A Sieciech? pytano.

— Na razie go tam nie było, tylko ludzie z jego ramienia. — Nie okazywał się.

— Cóż król?

— Przyjechał nie zdrów i na zamku legł odpoczywać, mówił poseł.

— Uwięziono czy ścinano? pytali jeszcze.

Czech o niczém podobném nie słyshał. Zbigniew odwróciwszy się pytać już nawet więcej nie myślał; Dobek dopiero nacisnął przybyłego aby mu szerzej opowiedział o tém co widział i podszuchał.

Była już pewnoś że po odpoczynku, król z Wrocławia na Kruszwicę miał ciągnąć.

— To i dobrze! zawołał zuchowato Marko, prosimy ich tu, niech się raz skończy sprawa. Zagramy im do mogilnych płasów, niechaj skaczą.

— Dawać ich tu! dawać! powtarzała młodzież niech no się naszym Pomorcóm na zęby dostaną...

— Nie będą śmieli tu przyjść! — dodał Marko, chwalać się i chcą nastraszyć. Nie odważą się na nas nastąpić.

Skończyło się to na drwinach i śmiechu, Dobek z sobą Czecha do namiotu poprowadził i tu dopiero, nacisnąwszy go lepiej się o wszystko dopytał. Czech nie tał swój trwogi. Wojsko Sieciechowe było silne, dobrze zbrojne i do wojny zaprawione. Liczbę mieli większą pewnie niż wszystkie siedm pułków królewicza, poddać się Szlązaków i Wrocławia wbiło ich w pychę, — walka się zapowiadała ciężka.

Gdy nazajutrz zwierzył się z tém Sobiejucho-  
wi, ten go wyśmiał jak tchórza.

— Te Czechy! miłościwy panie, rzekł, jać ich  
na wylot znam, jam z nimi wojował, to są lu-  
dzie małego serca, zające; im się wszystko w o-  
czach dwoi. Wojsko królewskie odziane dobrze,  
co z tego! — Żołnierz dobrego kożuszka więcej  
niż skóry swój żałuje. Nasz co ma lachman po-  
darty, rzuci się na zdobyecz. Niechmo my się do  
nich weźmiemy, dopiero zobaczymy kto lepszy.

Powrót posłańca który na zwiady chodził, po-  
ruszył trochę obóz do czynności, ale nie na dłu-  
go. Patrzano na królewicza, ten trybu życia nie  
zmieniał, uspokoił się drudzy, widząc go spo-  
kojnym. Dobek tylko chodził posepniejszy coraz.

Zbigniewa do konia i do zbroi napędzić, nie  
było sposobu. Gdy mu rycerską sprawę jako  
naukę wystawiano, śmiał się.

— Wy sobie z tego wielką mądrość czynicie,  
powtarzał, co żadną nie jest. Bić się uczyć nie  
trzeba, bydle nawet to umie, każdy się z tém ro-  
dzi że tłuc potrafi.

Dobek z Morawicy który w słowie [nie był  
mocny, dawał się królewiczowi pobić językiem  
i szyderstwem, ale było mu nie mniej markotno.  
Starszyzna inna także nic dobrego nie przeczu-  
wała. Cofać się było zapóźno, rozsypać niebez-  
piecznie. Najstraszniejszym było iż się tu wszyst-  
ko coraz bardziej rozprzęgało; przewidywano że

gdy do boju przyjdzie, każdy na swą rękę pójdzie,  
uciekać.

Przemko pomorski słuchać nikogo nie myślał;  
czescy dowódczy mieli téż swój rozum, polacy  
nikomu się powodować dać nie chcieli, a każdy  
inaczej radził; Marko wojewoda dużo gadał nie  
nie robił. Dobek szepeząc, skarżąc się, mrucząc  
biegał od jednego do drugiego, niespokojny o swą  
skórę...

Po kilku dniach posłano znowu na zwiady,  
a że do tego Czesi najsprawniejsi byli, znów dru-  
giego popchnięto, który kraj znał kilka razy go  
przewędrowawszy.

Zbigniewowi się zdało iż gdy starszyznę poił,  
karmił i bawił, a co drugi, trzeci, dzień z tręba-  
czami obóz objechał, więcej uczynić nie mógł.  
Im dłużej stali tém się czuł bezpieczniejszym.

Trzeciego dnia Czech, nie bawiąc długo, po-  
wrócił, konia spędził w niwecz; biegł z tém, że  
wojsko królewskie, przy którym i Bolko króle-  
wicz był, wyciągnęło już z Wrocławia i spieszenie  
szło ku Kruszwicy.

Chociaż Dobek mu język za zębami trzymać  
kazał, nie wyszła godzina po powrocie, gdy  
w obozie wszystko się ruszyło jak w mrowisku  
gdy je kto rozgarnie. Dowiedzieli się Pomorcy,  
rozbudzili Czechy, Polacy poczęli o zbroi i ko-  
niach myśleć. Marko posłuchawszy o tém, zadu-  
mał się ale otuchy na razie nie stracił. Star-

szyszna cała poszła na radę do królewicza. Zastali go wedle obyczaju z młodzieżą, blaznami, gąsłarzem u drzwi i ślepym wróżbitą; zobaczywszy ich pochodem takim dążących namarszczył się strasznie.

— A no! znowu! — zawołał do Dobka kroczącego przodem — pokoju bo mi niedajecie. Jeśli przychodzicie napić się a poweselić, tom wam rad, a jak straszyc to słuchać niechcę!

— Miłość wasza odparł Dobek, rada czy nie rada musisz nas posłuchać. Sroga bieda za psem. Król na nas ciągnie już, siłę ma wielką, gotować się trzeba,

— To się gotujcie? — rozśmiał się Zbigniew albo wam bronie?

— Przecie obmyśleć trzeba czy naprzeciw nich iść, czy ich tu czekać? Jak się rozłożyć?

Możnaby zabiedz drogę, rwać ich z boku.

Królewicz zmilczał, patrzył do góry, a do Zahonia śmiał się boczkim. Gęsłarz nie zważając na przybyłych brząkał i nucił, że się rozmówić było trudno. Marko, który się dowódtwa nad Polakami napierał i zwał się zawczasu wojewodą, począł mówić, wyrażając niechętnego pana.

— A po co się nam ruszać gdy tu dobrze stojemy? zawołał. Gród warowny i jezioro mamy pod bokiem. Jest się o co oprzeć.

Czego u licha chcieć? — jakiego wiatra w po-

lu szukać? Ludzie co na zwiady idą, boją się wisieć to im się w oczach dwoi. Straszą nas słomianą kukłą.

Król ciągnie! — Myślą że samo imie nas strwoży! Pójdziemy ztąd, rozleziemy się, to nas po kątach tłuc będą. Nie! dostoim kroku, a przyjdą tu, posieczemy ich na drzazgi.

Przemko pomorski milezący a ponury wódz uśmiechnął się pogardliwie z wielomównego Marka. Czechy głowami wahały a wasy gładziły. Patrzali na Zbigniewa wszysecy, ten na nich ani spojrział.

— Skończona rzecz, rzekł w ostatku.

Będziemy stali i czekali, a gdy przyjdą, pobijemy.

Gęsłarz głośniej zanucił, drużyna po kątach chichotała, pan do rozmowy ochoty nie miał, popatrzyła na siebie drużyna.

Rozważniejszymi niepokój owładał. Przemko pomorski chciał inaczej.

Radził się rozbiedz do koła, na wojsko królewskie, na trzęsawicach, któremi przeciągać musiało, napaść ze wszech stron niespodzianie, popłoch wzbudzić, i starać się je wpędzić w moczary. Marko nigdy cudzego rozumu nie lubił.

Powtarzał swoje. Tu stać trzeba i tu na nich czekać, wpadną między nas jak w polapkę, wytopiemy ich w Gopie do nogi.

Upewniał że tym sposobum raz z nieprzyja-

cielem poczynął sobie nad Dunajem i wojsko wielkie, niewiadomo czyje, rybom i rakom da na pożarcie.

Mało kto go słuchał, z narady nie nie wyszło i od dnia tego każdy sam sobie po swojemu rzdził! Czechy, najprzebieglejsi, wysłali potajemnie szpiegów, aby wojsk królewskich ruchy śledzili i obliczyć się starali ich siłę.

Jednego wieczora, gdy w namiocie Zbigniewa jeszcze się świeciło i młodzieź z panem się zabawiła, nadbiegło dwu Czechów z oznajmieniem że królewscy już Brzeście pominęli, trzema wielkimi oddziałami sunąc wprost na Kruszwicę. Za dzień, za dwa można się ich było spodziewać.

Popłoch się stał wielki, Marko wojewoda, który dotąd sobie lekcewazył wszystko i miał za bajki co przynoszono, nagle niepokoić się zaczął bardzo.

Królewicz pozostał niewzruszonym.

— Dziś i jutro, bić się będzie potrzeba, rzekł wszystko mi jedno, czém prędzej tém lepiej.

Przywołano Sobiejuchę, bo w nim jednym książe miał wiarę i upodobanie.

— A wy, co mówicie! — zapytał.

— Czechowie przynieśli że królewscy nadciągają — odezwał się Marko. Jeżeli to prawda, niech ciągną, na zgubę swą tu przyjdą. Gdy się zbliżą, miłość wasza, każe wojsku z rana beczki wytoczyć i piwa dać obficie. Niech im się

w głowach zawieruszy, żołnierz na czezo nie nie wart. Dopiero się bić będą, aż strach.

Wybijemy do nogi!

Królewicz radę znajdował bardzo rozumną, po ramieniu go klepnął.

— Spodziewacie się zwycięstwa? — zapytał.

— Nie spodziewam się, ale jestem pewny — odparł Marko zmuszając się do uśmiechu, byle nam pomocy i czechy dotrzymywały kroku. Z hukiem, wrzaskiem jak wichur wpadniemy na nich, muszą pierzchnąć...

Zbigniewowi dosyć tego było.

— A, gdybyśmy króla ojca do niewoli wzięli — odezwał się królewicz co z nim czynić będziemy?

— Wasza miłość na zamku go tym osadzić przystojnie, żeby mu na niczem nie zbywało, niech siedzi i dożywa wieku, do rządów się nie zdał. Przy kościele mu będzie najlepiej, a wy nam będziecie panowali.

— A z Sieciechem co zrobimy? — pytał rozchocony pan.

— Tego zetniemy, bo żywić się tak szkodliwego stworzenia nie godzi — mówił śmiało Marko. Ja Waszój miłości prosić będę o łup po nim żeby do mnie należał.

— Daję ci go — odparł Zbigniew.

Sobiejucha się pokłonił

— Może i brat młodszy popadnie się nam w ręce, z tym co? — mówił królewicz.



Milcząc Marko ręce obie do oczów przyłożył na źrenice ukazując.

Tak się naówczas, wyjęciem oczów pozbywano tych, którym życia odbierać nie chcąc, czyniono ich niezdatnymi do niczego. Było to tak naturalnym że Zbigniew milcząc głową potwierdził wniosek, weale się mu nie sprzeciwiając. Łaską było gdy się życie zostało.

— I królestwo zabiorę całe, dodał Zbigniew. W Płocku Dobka osadzę, was uczynię palatynem na miejscu Sieciecha, sam w Krakowie na Wawelu będę mieszkał, bo Kraków lubię.

— Weselszy jest i ładniejszy od Płocka—odezwał się Marko.

— I niewiasty piękniejsze ma, szepnął Zahon.

Wszyscy się rozśmieli, niektórzy poklaskując w dłonie, aż po namiocie się rozległo i za namiotem dobrą myśl słychać było.

Poszli na sen marząc o zwycięztwie, Marko tylko, choć tak o niem prawił, do namiotu przybywszy, koło wiązania sakiew krzątać się zaczął. Było mu jakoś nie swojo.

Nazajutrz w polskim obozie przygotowań żadnych widać nie było, Pomorcy zaczęli się ruszać i nie wiele swych namiotów zwijać zawczasu, worki a węzły, których mieli dużo, ściągali do kupy, koniom kopyta opatrywali. Czechy też mieczyki ostrzyli i zbroje przymierzali. Oni jedni nikogo już nie pytając, posłali swoich na zwiady,

przykazując im ażeby nie wracali aż wojsko królewskie będzie na mniej dnia drogi od Kruszwicy.

Puścili się wysłani, tym czasem już tego dnia zgorzelizną mocno czuć było w powietrzu, dymy się podnosiły i opadały nad lasami. Nie było wątpliwości iż się królewscy przybliżyć musieli.

Marko sakwy swoje kazał na konie przymierzać, wdział na się co miał najlepszego i miodem w sobie ochotę a męstwo podbudzając, chodził i wykrzykiwał, toporek podnosząc do góry.

— Damyż my im ciegi, damy!

Nie tak wesołej myśli był Dobek, siedział w swoim namiocie na rękach podparty i stękał a przeklinał. Zmierzchało już gdy u wchodu do namiotu postrzegł cień, który w nim stanął.

Wpatrzył się w przechodzącego, ale mrok padał, poznać nie mógł kto był. Dopiero gdy się gość zbliżył, stanawszy tak iż mu światło na twarz uderzyło od wniścica, poznał kapelana biskupiego, którego codzień prawie około obozu widywał. Niemłody człek, w grubą sutannę odziany z kijem w ręku, w czapce z futrem, pozdrowił go po cichu.

Dobek jako gościowi i duchownemu pierwsze miejsce dał w namiocie.

— Cóżecie to ojeże, rzekł, tak późno do nas przyszli w goście?

Obejrzał się duchowny.

— W goście albo i nie, odpowiedział. Zawsze z dobrą wolą, z dobrém słowem:

— A! dobrego nam trzeba, bo złego mieliśmy i mamy podostatkiem — odezwał się Dobek. Mówcie, ojcie kochany.

— Król się z wojskiem zbliża, rzekł ksiądz po cichu.

— My to wiemy — westchnął gospodarz.

— I syn przeciwko ojcu się bić będzie? spytał ksiądz.

— Gdy ojciec nań nastaje, bronić się musi.

— Sądzicież że się obronicie? — zapytał kapelan.

— Jeden Bóg wie — rzekł Dobek.

— Królowi ani na ludziach ani na wodzach nie zbywa! podółacież mu? mówił duchowny.

Westchnął Dobek.

— Cóż czynić mamy!

— Czemużby nie słać do króla z pokorą i nie próbować przejednania? pytał kapelan.

— Bo nam go nie dadzą.

— Jakże o tém wiecie? — począł duchowny. Miłoś to królowi, panu naszemu z własną krwią wojować! — pogany widzieć prowadzone przeciw sobie?

Podumał Dobek i spojrział księdzu w oczy.

— Czy wy to z siebie mówicie? — spytał.

Spuścił wzrok ksiądz.

— Ojciec nasz, pasterz radby zgodę uczynić,

rzekł. Przyjdzie li do boju miastu naszemu grozi téż niebezpieczeństwo. Idźcie do królewicza, pomówcie z nim, czego chce.

Jeśli możliwa rzecz, ojciec nasz przewielebny pośredniczyć będzie.

Zostawiwszy księdza pod namiotem, poszedł Dobek, choć nie z wielką nadzieją skutku do Zbigniewa. Znalazł go jak z Markiem o tych krajach rozmawiał w których piasek na pół jest ze złotem.

Na pierwsze słowo o zgodzie, jakby go co zgnęło, poskoczył królewicz.

— Ho! ho krzyknął znać że się nas boją, żeśmy dla nich za silni gdy takich sztuk zażywają.

A no — niech i tak będzie; jam nie od tego. Ojciec mnie synem pierworodnym niech uzna, pół królestwa mi da i zwierzechnią władzę, Sieciechowi łeb da uciąć lub oczy wylupić, zapłaci moich sprzymierzeńców! Mniej nie mogę chcieć ani przyjąć!

— Wasza miłość za mało żądasz! — zakrzyczał Marko, więcej należy nam. Niech król pot nasz krwawy opłaci grzywnami złotemi a nie — to nas pozna!

Próżno Dobek chciał rozprawiać, zahukano go poszedł z tém do księdza, który słowa już nie rzekłszy na gród z tém do biskupa powrócił.

Nazajutrz nowych wieści nie było, tylko zgo-

rzelizna coraz się mocniej czuć dawała w powietrzu, dymy przylatywały gorzkie.

Około południa przyszedł znów kapelan biskupi.

— Co mi przynosicie, ojeze! radośnie począł Dobek, wesół że go powracającego zobaczył, nie spodziewając się weale.

— Przychodzę ze słowem ojca naszego, biskupa, rzekł stary ksiądz. Dziecku na łaskę ojca zdać się potrzeba a nie z rodzicem targować, w ten sposób dział jakiś otrzymać może i przebaczenie. Opatrzcie się [dopóki czas, aby jutro nie było zapóźno.

Dobek mu popatrzył w oczy.

— Żartujecie! rzekł.

— Mówię jak mnie nauczono — odezwał się duchowny.

Poszedł z tém Dobek do Zbigniewa, ale tam zakrzyczano go i sponiewierano straszliwie.

— Nie nam przystało prosić i kłaniać się! — zawołał Marko, ale królowi Władysławowi, który syna swojego pierworodnego pokrzywdził.

Zaczęto wywoływać srodze, odgrażać się straszliwie. Beczki tego dnia stały gęsto, pootwierane, wszyscy byli podochoceni, w głowach mocno szumiało.

Nie było co mówić z niemi, Dobek się wysliznął i księdza z niczém odprawił.

Sobiejucha dowodził że nie darmo tak do nich o zgodę słano.

— Czują oni żeśmy silniejsi, więc sromu unikając, zabiegają i proszą się.

Odgrażała się młodzież, radowali się starzy, rwało się wszystko do oręża, Zbigniew widział się już królem i zwycięzcą.

Mrok padał gęsty, a wesołość największa panowała w namiotach książęcych na pagórku, gdy Zahoń wpadł trochę nie swój i jak przepłoszony.

— Niechno miłość wasza wyjść raczy i popatrzeć, zawołał, bodaj czy nie królewscy to już obozują na skraju lasu, toć jutro chyba przyjdzie do rozprawy.

Nietylko królewicz, ale co żyło z pod namiotów się wyrwało.

Noc już była prawie, a że księżycyca na niebie nie stała i gwiazdy okryły obłoki, ciemność wielka zalegała do koła. W tej stronie od której puszcze stały, jak zajrzeć okiem, rzędami ognie się jakieś paliły. Było ich tyle i tak gęstych że gorzały prawie jako niezmierne, jedno wielkie ognisko.

Nie mogło to być nic innego tylko obóz królewski, który puszcza wyrzuciła z siebie nagle, zatoczył się przed niemi znienacka ognistym wałem i groźbą.

Nadbiegły w téjże chwili i czeskie szpiegi

wystraszone, zwiastując że óma okrutna ludu ciągnęła na Kruszwicę, że jakby z ziemi wyrastały oddziały coraz nowe, bo dopiero pod lasem tyle się ich razem zebrało.

Marko, który dotąd rad się przechwalał i odgrażał, głową trzął i trzymając się pod boki, wąsy zagryzał.

Zbigniew, jako niedoświadczony wojak nie w tém jeszcze niebezpiecznego nie widział, gdy drudzy z liczby rozłożonych ognisk wnosili o sile królewskiego wojska.

Królewicz powtórzył tylko słyszane nieraz z ust Marka słowa.

— Jutro ich w puch rozbijemy.

Ani Dobek, ani nawet Sobiejucha nie potwierdzili tój zuchwałój wróżby. W obozie Czechów i Pomorców powstał ruch wielki, kupy się zbierały, Przemko na koniu oklep przybiegł ukazując rozpalone ogniska. Najmężniejszy z nich wszystkich nie był bez trwogi.

— Jeżeli umyślnie dla postrachu nie pozapalali ogni, ciężka będzie przeprawa rzekł. Jak na brzask pewnie nas napadną, stać trzeba pogotowiu.

Marko, do którego się zwrócił Zbigniew, innój rady nie miał, tylko po staremu aby ludzi nakarmić i napoić do syta.

Gdzie kto miał stanąć, jak poczynać, nie naradzano się nawet. Dobek nie położył się spać,

drudzy téż ze starszyny jęli objeżdżać pulki, ludzi przygotowując przez noc całą.

Napatrzywszy się na ogniska, Zbigniew spokojnie do namiotu powrócił i spać się układał, kazawszy rozbudzić o świcie.

Noc była czarna ale cicha, chmury zawisłe na niebie nawet się nie zdawały poruszać, odbijały się na nich błado czerwone łuny, a dym przyciśnięty do ziemi rozchodził się i rozkładał aż ku jezioru. Wśród groźnej ciszy to psy zaszczekały i zawyły, odpowiadając sobie zdala, to konie zarżały, to jakiś gwar dziwny, niby szmer tysiąca głosów cichych przesunął się w powietrzu i skończył na wodach jeziora.

W kościele na tumie na jutrznię dzwoniło gdy świtać zaczęło, zdala tentent powolny usłyszano, który się zdawał przybliżać nieznacznie.

Zahoń obudził królewicza, bo czas było wdziewać zbroję...

Ołowiane światło dnia jesiennego, przeziérało przez szare obłoki.

IX.

Jakby na głos tego dzwonka co się ozwał z kruszwickiego kościoła czekano w królewskim obozie, wnet około namiotów ruch się rozpoczął znaczniejszy.

Stały namioty pańskie pod samym lasem u starych dębów, które już znaczniejszą część żółtych liści straciły. Rozbitych było ich kilka wielkich i ozdobnych dla Władysława, który wygodę potrzebywał, bo chory wyruszył z Płocka na rozkaz Sieciecha; dla królewicza Bolka i Wojśława, dworu, kapelanów i starszyzny.

Z wieczora już zapowiedział król Władysław że nazajutrz nie pocznie nic, dopoki się niepomodli i mszy świętej nie wysłucha, a błogosławieństwa Bożego nie otrzyma.

Sieciecha widać nie było na czele, nie mianowano go ażeby on dowodził, z ręki jego szli inni on sam prawie się kryjąc, stał na uboczu, nie chcąc aby o nim wiedziano.

Na oko dowództwo było przy młodym Skarbimierzu, który się w szkole Sieciechowej wyćwiczył. Na pulki królewskie dosyć spojrzeć było, by poznać że z niemi sprawa nie pójdzie łatwo. Żołnierz odziany, zbrojny należycie, nakarmiony, nawykły iść na skinienie, poruszał się wszystek jako jeden człek, w cichości i posłuszeństwie. Na zbroi i żelazie nie zbywało, rychlej za dużo go było, niż za mało; bo ci zwłaszcza co z końmi szli, blach mieli poczepianych na kaftanach do zbytku; tarczy, toporków, dzid, nagolenników i hełmów żelaznych było pełno.

Świtać ledwie poczynało gdy Bolko królewicz już się zerwał, budząc swoich około namiotu spoczywających i wołając że czas był się sposobić do pochodu. Nocy niedospał, tak w nim wrzało do tego boju, który się na jutro zapowiadał.

Wojśław trzymać go musiał i hamować coraz lecz podolać temu było trudno. Królewicz za wczasu począł się odziewać w bojowe suknie, nim drudzy się z posłania ruszyli. On i młoda jego służba, wesoło mieczami pobrzękiwała, przemyślając jakiby oręż więcej przypasać mogła.

Bolko coraz to z namiotu wyjrzał.

— Dniejeli już? — nie dnieje? Czas czy nie?

Ranek był cichy, z góry nie padało nic, msza święta pod dębem odprawiać się miała. Przysposabiano już do niej wszystko, ołtarz przykrywano, aby gdy król się ukaże, o. Lambert już ubrany, mógł zaraz stanąć u ołtarza. Od samego Wrocławia przez drogę całą król był wielce milejący i smutny, napróżno się starano natchnąć go otuchą lepszą.

Modlił się, przeczucia miał złe i płakał; wstyd mu było iść na dziecko własne. Do ostatniej chwili czekał aż się ono nie upokorzy i o łaskę prosić nie będzie.

Przybyli potajemnie z Kruszwicy od biskupa posłani i nic nie przywieźli.

Sieciech, który niepostrzeżony pilnował króla, możeby też był niedopuszczył do zgody, pewnym będąc przewagi i zwycięstwa.

Gdy król już się odziewać miał i kożuch mu podawano, wszedł wojewoda do namiotu, ubrany jak prosty człek, szarą na zbroję oponczą, aby pana uspokoił.

Drżący modlił się ciągle Władysław, spojrzeli na siebie, Sieciech już zwycięzcy miał postać.

— Niech się Miłość wasza, rzekł z uśmiechem, o bitwę tą nie troszczy. Nigdyśmy dzięki Bogu nie szli na nieprzyjaciela, pewniejsi zwycięstwa. W obozie ich nieład i niedostatek panuje. Ludzie

zbierani z różnych kątów, wodza brak. Jeżeli dostoja pierwszej napaści, rzeź sprawimy okrutną.

Król strwożony ręce zacisnął.

— A! zabijać go nie każcie, rzekł po cichu, nie godzi się aby od moich ginął. Ojcem jestem.

Wojewoda nie nie odpowiedział, tylko mu się twarz pomarszczyła i ściągnęła.

Dniało, król zobaczywszy przez namiot z przodu odstoniony że o. Lambert ze mszą wychodził był gotów, prędko się ku ołtarzowi poruszył.

Do starego dębu niesiono za nim wezglowie, na którym pokłękł. Z odkrytymi głowami stało rycerstwo do koła, stał i Bolko, cały już żelazem okryty, więcej oczyma biegając ku Kruszwicy i nieprzyjaciół obozowi, niżeli pilnując modlitwy.

Msza upłynęła wśród uroczystego milezenia, jak kłosa od wiatru, uchylały się i podnosiły głowy, klękali i powstawali pobożni, po mszy zanucono hymn do Bogarodzicy, cicho zrazu, lecz zaledwie odezwał od ołtarza, coraz większej liczby połączyły się głosy i uroczysta pieśń rozległa po całym obozie.

O gospodzie uwielbiona.

Mogli go ztąd posłyszeć stojący naprzeciw Polacy i zrozumieć że tą modlitwą przysposabiano się do walki.

Król nie powstał i nie ruszył się do ostatniego pieśni słowa, do pośledniego — Amen, które

silniej jeszcze niż śpiew, zagrzmiało echem wielkim po szeregach, kilkakroć powtarzane.

Niebo ciągle chmurne było, dzień wilgotny bezdżysty, w powietrzu panowała cisza. Niekiedy tylko po nad skrajem lasu przeleciał wiatr niewiedzieć z kąd, liśćmi poruszył suchemi, podniósł je w górę i rzucił nieopodal drżące na ziemię.

Rozjaśniło się zupełnie. Pancernicy koni dosiadali i szykowali się tak, by wielkim kołem objąć obóz Zbigniewa i sam gród Kruszwicki.

Skarbimierz przez szpiegi swe wiedział kędy stały Pomorcy, gdzie byli Czechi, gdzie zbiegowie polscy, Zbigniewa zaś, wśród walki, która się gotowała, łatwo się znaleźć spodziewano, wiedząc jaką się drużyną i hałasem otaczał.

Podano królowi konia okrytego, ale mu nie dopuścił Sieciech inaczej jechać jak za pułkami, otoczonemu strażą dobrze zbrojną i najmężniejszą.

Siadać już mieli, gdy król stojący w gotowości, a zdający się wahać jeszcze, skinał na syna, który się na konia spinał i z nim razem wszedł do namiotu. Prawie niechętnie Bolko eugle musiał porzucić i iść do ojca. Władysław stał w pustym namiocie, który już pacholki opróżnili, gdy Bolko, z młodzieńcym ogniem w oku, rad ze swojego rycerskiego

rynsztunku, brzęczącego na nim wszedł do namiotu.

Król obie ręce na ramionach jego położywszy stał bezmównym długo.

— Dziecko moje, odezwał się po cichu — niech ci się dziś serce nie rwie do boju. Straszna ta walka będzie oplakana łzami mojemu. Wolałbym byś nie szedł na nią.

Królewicz zadrżał cały, aż zadźwięczały na nim żelaza i ojcu się do kolan pochylił.

— Miłościwy ojcze! a! nieżądajcież wy tego po mnie — nie żądajcie, nie strzymam się.

Wskazał ręką na wojsko szykujące się do ruszenia, na pułki które już wesole wyciągały w pole.

— Moje miejsce tam! tam! — zawołał.

— Nie, obok mnie — Bolku! Boję się o ciebie i niechęć abys się spotykał z tamtym. — Bratem ci jest.

— Przeciwno ojcu idący wróg nie jest mi bratem! — zawołał Bolko. Znać go niechęć. Serce twoje zasmucił, stał się nieposłusznym.

Król ręce wyciągnawszy znowu mu je położył na ramionach i zlekka ku sobie przycisnął.

— Bolku, dziecko moje, rzekł, jeśli chcesz iść bić się koniecznie, rycerskie słowo mi daj że j ego będziesz unikać.

Bolko zamilkł trochę.

— Nieznam go, rzekł.

— Poznasz, pokażą ludzie — odparł król — ocal go raczej, nie walcz z nim, nie podnoś nań ręki, dla miłości mej.

Widząc łzy w oczach ojca stojące, Bolko zamilkł i rękę jego pocałował. Nie mówili więcej, za namiotem odzywały się rogi i ziemia tętniała.

W milczeniu wziąwszy błogosławieństwo ojcowskie, Bolko skoczył na gniadego konia, do którego był nawykły. Kilkunastu z drużyny, młodych, jak on zapalonych do boju, zbrojnych od stóp do głów towarzyszyli mu nie odstępnie.

Ani Wojśław ani żadna siła w świecie, gdy okrzyk bojowy się dał słyszeć, powstrzymać ich i jego nie mogła. Strzedz go już tylko było potrzeba, a odcinać, bo zapamiętały biegł za siebie nie patrząc, choćby się sam jeden miał pozostać.

Zawczasu się w nim burzyło przeciw Zbigniewowi, który ojca niechęciał szanować, gdy Bolko go kochał najczulej. Zapowiadał od dawna że gotów go własną ubić ręką, byle mu się nastrezczył w boju, odgrażał się nań i zaklinał że mu nie daruje życia. Nie żeby z natury tak okrutnym był, lecz obrażonego ojca pragnął pomścić a w boju rozeznania nie miał, i wstrzymałby się niepotrafił. Rozkazanie i prośby ojcowskie nie na wiele służyły.

Gdy się już rozstawione pułki ruszyły, król i Sieciech musiał zaraz posłać po Bolka, który się zbytnio naprzód wrywał. Nakazywano mu

ić w pośrodku ufa i pierwszemu na harc nie wybiegać. Wojśław ociężały, ze swym koniem równie jak on sam grubym i nieobrotnym, zaledwie się do wychowawca przysunął, już za nim pozostawał w tyle. Nie pomagała ostroga ni popędzanie.

Wedle rozkazu Skarbimierza powolnym krokiem pułki się posuwały, opasując kołem szerokim Zbigniewa obóz i miasto. W przeciwnem wojsku widać było pośpiech wielki i zamieszanie, pułki się dopiero ściągaly i szykowały na stanowiskach. Rogi odzywały się nawołując rozpierzchłych, którzy jeszcze konie poili; i od jeziora się ściągali opieszale.

Sam widok wojsk królewskich mógł ustraszyc przeciwników, tak groźnym zastępem sunęły się jako mur, gęsto zbite, najeżone dzidami i miłczące...

Na staję przybliżywszy się królewscy, jakby przystanęli; każdy za oręż brał, łuk naciągał tarczę mocował, oszczep zwieszony podnosił, aby mu przy uderzeniu nie brakło.

Z drugiej strony miotano się w nieładzie, jakby niewiedząc co poczynać. Już z miejsca na którym królewscy stali widać było gdzie Zbigniewa i starszyny szukać. Wiewał tam porporce na długiej żerdzi i żelazo pobłyskiwało na pierśiach ludzi, którego gdzieindziej mało było.

Rozkazał Skarbimierz naprzód całą siłą rzucić



się na dowodzących, aby głowę odciać nieprzyjacielowi. Zatrąbiono w rogi i ów mur, który się posuwał tak zwolna, teraz jakby nim wichur i burza rzuciła, padł wprost pędem wielkim na polskie pułki otaczające Zbigniewa.

Tu stał też najdzielniejszy żołnierz bo zbiegowie pamiętali że głów własnych bronić muszą, a Sieciech im, gdyby się w jego ręce dostali, nie daruje życia.

Bolko jak tylko rogi posłyszał i ruch poczuł około siebie, już go nie powstrzymać nie mogło. Niósł się jak jastrząb na stado spłoszone, młodzież wiodąc za sobą, gotów swoich własnych bić, gdyby mu śmieli zapierać drogę.

W jednej chwili zmięszalo się wszystko, oba wojska w jeden kłęb drgający się zbiły, w jedno ciało miotające się jak smok ogromny; prac się wzajem, siekąc, rąbiąc i koląc.

Na prawo Pomorecy, ledwie dostawszy kroku, że tyłu zajętego nie mieli, z wrzaskiem pierzchać zaczęli tłumnie. Ci co na przeciw nich stali, puścili się w pogoń za niemi. Czechy rzucili się pierwsi przeciw królewskim mężnie a rozpaczliwie bijąc się i tu bój zawiał się srogi.

Dobek i Marko, którzy przy Zbigniewie stali a ten niewiedząc co poczynać, błądy na koniu siedząc w miejscu się okręcał, zrozumieli łącznie że nie dotrzymają królewskim.

Checieli się więc cofnąć ku miastu, bo tam za

domami i ścianami obrona była łatwiejsza, a w razie ostatnim i ucieczka mniej niebezpieczna. Lecz zaledwie się ku grodowi posunęli, gdy królewscy odeieli im do niego drogę, i na karki wsiadłszy, rozpoczęli zajadłą walkę. Bolko był w pierwszym rzędzie, zapomniawszy na prośby ojcowskie i o całym świecie, bo, gdy w nim krew zawrzała młoda, ślepym i głuchym się stawał.

Zbiegowie polscy z Dobkiem z Morawicy stali mężnie naprzeciw królewskim, broniąc się tak zacięcie iż kilkakroć szeregi ich złamali, ale coraz większemi kupami opasywano ich do koła, i garść ta rycerzy, padać poczęła jak drzewa w puszczy, gdy wichur się w nią włamie.

Marko, ów wojewoda, który tak się obiecywał do walki, kędy teraz był nikt nie wiedział. Znikł nagle, a stało się to tak iż powiedzieć nie umiał żaden gdzie się podział, czy padł, czy go osaczono, ujęto, czy go ziemia pochłonięła.

Dosyć że go już nie było.

Z małą gromadką Zbigniew parł się ku miastu i zamkowi; błądy, nieumiejący mieczem ni oszczepem się bronić, zmuszony więcej za swą młodzież się ukrywać niż na własną liczyć siłę.

Nagle naprzeciw niego stanął Bolko; który po chorągwi i otoczeniu, albo raczej przecuciem jakimś brata się w nim domyślał.

Zbigniew przyciśnięty przez niego, gdy inni mu w pomoc nie przybywali, pierwszy raz za

oręż pochwycił ręką drżącą i zamierzył się na niego.

Oczyrna starli się bracia — Bolkowi dłoń zadrzała. Gdyby był słuchał zapaleczywości swojej ubiłby go pewnie, mając przed sobą niezręcznego do obrony i strwożonego; lzy ojcowskie stanęły mu na pamięci i pominawszy go, z zajadłością rzucił się w bok, niechęć patrząc nawet na Zbigniewa. Towarzysze porwali go między siebie i co żywiej z nim na wzgórze ku zamkowi pobiegli.

Pierwszy co pod miecz Bolka się dostał, padł ubity, gdy w tém koń jego pehnięty z boku oszczepem, na przednie upadł nogi, łbem na ziemię. Lecz Bolko już stał, a towarzysz wierny, drugiego mu poddał wierzchowca. Nim go dosiadł i obejrzał się, oddział otaczający Zbigniewa i część Polaków na gród się już wdarła.

Tyle tylko ujęć ich zdołało od miecza wojsk królewskich, które zwyciężkiego boju dokonywały, osaczywszy w koło resztę nieprzyjaciół broniących się z wściekłością, bo jeńców brać nie chciano. Bój wkrótce w rzeź się zamienił. Z jednej strony wojska były Władysławowe, z drugiej jezioro; śmierci wybór tylko od żelaza lub wody. Ci, którzy z rozpaczny wplaw się rzucili, mając na sobie kaftany ciężkie i żelazo, nie mogąc się utrzymać na wodzie, tonęli natychmiast prawie. Niektórzy dobywali się bezsilnie, i zale-

dwie ukazawszy głowy, szli znowu na dno. Do innych strzelano i dobijano kamieniami.

Na falach widać było pływające ciała i potopione konie.

Dzikim rykiem i jękami rozlegała się okolica, Jakaś część Czechów okrwawionych, garść ocalała zbiegów polskich, po stosach trupów usiłowała się dostać do miasteczka, z którego ludność przerażona z krzykiem uciekała na pole, domy, dzieci, mienie zostawując na pastwę rozjuszonego żołnierstwa. W tém z rozkazu czy z przypadku, podłożony czy zażegnany przez nieostrożność ogień buchnął ze strzech słomianych, gęste kłęby dymu poczęły się podnosić w powietrze. Wicher, jakby hasła czekał zerwał się nagle i poniósł iskry i płomień na sąsiednie domostwa.

Wkrótce cała osada drewniana była już jakby morzem płomieni, po nad trupów stosami, bo wojsko biło i mordowało kogo napadło, chucią krwi i zabójstwa miotane. Z pagórka gdzieś gdzie jak po deszczu strumienie, toczyły się strugi krwawe.

Ogień, miecz, woda dokonywały razem strasznego dzieła zniszczenia i śmierci.

Stało się co się dzieje gdy człowiek, własnego życia broniąc, zdziejeje i szalem się uniesie. Ludzie bili, zarzynali, mordowali bezbronych, starców i dzieci, znęcali się nad trupami, jakby

chcieli ażeby nie żywego nie pozostało na ziemi. Pomorców bijąc ścigali jedni, drudzy osaczonych Czechów żelaza im trzymając na gardle spychali do wody, inni żagwie płonące rzucali na chaty które jeszcze całe stały. Garść zbiegów z Dobkiem na czele, broniła się ze lwim mężstwem, ale z gromady stała się wkrótce kupka, później garścią, wreszcie za stosem trupów trzymało się ich kilku, trzech: jeden, ostatni.

Płynął cały krwią, chwiał się na nogach, oczy mu zalewała posoka, mieczem konwulsyjnie mიაտာł niewiedząc już nic, aż obalił się i on jak dąb na ciała pobitych braci.

Bolko z drużyną swą, na przedzie był gdzie waleczono, zbroję miał potłuczoną oszczepami, hełm pogięty, trzeciego konia pod sobą. Krwi na szatach szerokie stały plamy. Dyszał zmęczony a nie mógł i nie chciał odpocząć, dopóki bój słyszał i czuł w koło siebie.

Pod wieczór już straszliwe owe pobojowisko, jedném było smierci łozem. Jeńców nie brał nikt... Całe brzegi jeziora stały okryte trupami ludzi, ściernem koni, nad którymi sterczały połamane oszczepy i pokruszone pociski. Czeladź obozowa już plądrowała ściągając poobnażane zwłoki ku wodzie, spychając je do Gopła.

Jak zajrzeć było, na zmaconych jeziora, bieleły gęściej coraz unoszące się trupy.

Król stał na wzgórzu i oczy zakrywał aby

nie patrzeć na widok ten straszny i krwawy. Woń pobojowiska odetchnąć mu nie dawała, a odejść nie mógł i oczów na długo od grozy téj oderwać. Szukał niemi syna.

Bolko zostawszy ze swemi na pobojowisku, napróżno się oglądał z kimby jeszcze mógł walczyć, nieprzyjaciela już nie było. Nad wieczór na wrzawliwym polu panowała cisza pustynna.

Garść tylko szczupła ze Zbigniewem schroniła się do gród, ale w nim o obronie i utrzymaniu się ani myśleć nie mogła. Zamek opasany był do koła. U stóp jego dogorywało spustoszone miasteczko, wyludnione, zniszczone na wieki, gdyż co nie uszło zawczasu, padło od nielitościwego żołnierza.

Modlił się król, gdy grubą odziany opończę przyszedł Sieciech i wskazał mu na wieżycę grodu.

— Tam jest, rzekł.

Król odetchnął.

— Oddaję go opiece twój i straży, odezwał się drżącym głosem — ale o życie dla niego — o życie proszę!

I podał Sieciechowi dłoń, który dumnie się jakoś zawahał, nim ję dotknął.

— Miłościwy panie rzekł — masz tam litość gdzie się ję mieć nie godzi. Nastawał na życie twe, na królestwo, na powagę ojca, na ukochane dziecię twoje — oręż na ciebie podniósł...

— Chcę by żył! — powtórzył król z siłą wielką.

— Tak — odparł szydersko Sieciech — aby tobie panie i synowi twemu życie zatruwał. — Cheesz? stanie się po woli twój, każę go oszczędzić.

— Życie! tylko życie! — zawołał król. — Zamkniesz go, niech siedzi i pokutuje.

Wojewoda poruszył się prawie gniewnie. Nadbiegła gromada żołnierzy ze Skarbimierzem, który bojem rozpalony i zagorzały, na zamek wskazywał, bo tehać i mówić nie mógł.

— Zabrać tych co tam są! — zawołał Sieciech, oczy ku wieży skierowawszy.

A król — dodał żywo — życie mu kazał zachować!

Gdy tych słów domawiał, zbliżył się Bolko na koniu również jak i on okrwawionym, ale z twarzą jasną i wesołą. Dumnie wskazał ojcu ręką na pobojuwisko i jezioro.

Namioty rozbijano, zsiadł z konia i ledwie rękę ojca ucałowawszy, który za nim gonił oczyma, padł znudzony na ziemię. Chłopey mu przynieśli w kubku wina, bo wody nie było żadnej, którejby użyć można. Studnie w mieście, jezioro trupy zaległy.

Przez długi potem czas jeszcze w opustoszałej Kruszwicy nikt nie zaczerpnął z zatrutego Gopła wody, nikt ryb z niego nie dobywał, ludzkiem mięsem utuczonych.

Skarbimierz lękając się, aby mu garść ludzi z królewiczem na zamek zbiegłych nie uszła, pospieszył na gród, który już miano na oku. Wrota były zaparte, ale o obronie nikt nie myślał...

Gdy królewscy przybyli do bramy, kazał Skarbimierz zatrzeć, ale na odgłos ten, długo się nikt nie zjawił. Już miano zacząć tłuc i rozbijać wrota gdy w furcie człowiek się pokazał.

Do rozmów zwycięzcy nie mieli czasu ni ochoty.

— Wrota otwierać! — krzyknął Skarbimierz, gdy ja je wyłamię, nie wyjdzie nikt cało, wybić każę wszystkich tak, jakieśmy wybili tych co tam leżą.

Wskazał na brzegi jeziora.

— Wrota otwierać! — krzyknęli drudzy — bramę na oścież!

Po krótkiej chwili wahania, poczęto drągi odwalać, zwolna odchyliły się ciężkie wrota, kilkudziesięciu ciurów stojących za niemi, padło na kolana przed Skarbimierzem, czoła chyląc ku ziemi. Nikt i nie spojrział na nich. Królewscy poczęli zajmować wnijście i rozgaszczać się na zamku. Pochwyconych jeńców łykami wiązać zaczęto.

— Gdzie Zbigniew? — zapytał Skarbimierz. Nie mówiąc nic ludzie pokazali dworzec pod wieżą. Wódz z kilku ludźmi poszedł do drzwi, w które oszczepami bić zaczęto.

Niedługo czekali, gdy im je bez oporu naociecz otwarto. Pacholę, które stało w progu drżące, na zapytanie o Zbigniewa, okazało drzwi na prawo.

Skarbimierz wodzem i żołnierzem był dzielny, człowiekiem zimnym i dumnym, w boju się nie rozgrzewał zbyt, jękami nie rozczulał. Jakim szedł na walkę, takim powracał; ciało się zużyło tylko, dusza była spokojna. Patrząc na twarz jego niktby nie odgadł zwyciężył czy przegrał; — cieszyć się jawnie ani smuć się nie umiał. Kamiennym go zwano, bo i w boju, choćby najsilniej rannym był, nie stęknął. Obawiał się go żołnierz, ale poszanowanie mieli wszyscy. Okrutnym nie był ani miękkim. Patrzył na śmierć zimnym okiem, męczarni niechcąc przyczyniać nikomu.

Izby stały otworem, puste, jedna za drugą. W ostatniej u ściany na ławie spostrzegł Skarbimierz siedzącego człowieka, nad którym drugi stał z boku z rękami spuszczonemi.

Zbigniew blady, oparty był na łokciu, usta miał zaciśnięte, w oczach wyraz zarazem dziki i strwożony.

Nim Skarbimierz wszedł i mógł doń przemówić, zmierzył go wzrokiem królewicz, jakby chciał nieprzyjaciela poznać i los swój przyszły z niego odgadnąć, — niósł mu śmierć, oślepienie czy życie i łaskę?

Ostatniej mało się mógł spodziewać, jeńcem był krwią drogą okupionym, krnąbrnym przeciw ojcu i królowi. Ujrawszy przystępującego Skarbimierza wahał się czy ma wstać i upokorzyć się przed nim, czy resztką dumy i przebiegłości z nim waleczyć. Poruszył się i pozostał w miejscu, podniósł znowu i padł, nie pewien siebie, czoło tarł ręką, oczy spuszczał. Wreszcie jakby siłą jakąś rzucony — wstał. Skarbimierz długo nań patrzył nim się odezwał.

— Królewski rozkaz jest, abyście więźniami byli — odezwał się krótko. Zechcecie zbiedz lub z zamku się wyzwolić, życia waszego nie będą szczedzić.

Z pod brwi nawistych popatrzył Zbigniew.

— Wiem że jeńcem — odezwał się ośmielony — ale jestem królewskim synem, o tém ja nie mogę, a wy zapominać nie powinniście.

— Syn co się na ojca porwał, dzieckiem być przestaje — surowo odparł Skarbimierz. Miłosierdziu króla winniście życie; znajcie się do tego.

W pierwszej izbie zbrojni ludzie, którzy przyszli ze Skarbimierzem, stali pogotowiu niewiedząc co im przykażą. Ten, nieczekając już odpowiedzi, zwrócił się ku nim i pokazał na Zbigniewa.

— Więzień jest wasz — rzekł — strzedz go macie pilno, abyście zań głowami nie odpowiadali.

Kilku się natychmiast zbliżyło.

— Strzedz go dzień i noc, taki jest rozkaz króla, pana naszego — powtórzył Skarbimierz.

Namysłił się Zbigniew i gdy dowódzca miał już odchodzić, zbliżył się doń z niezgrabną mięszaniną dumy i pokóry, krokiem niepewnym.

— Chciałbym mówić z wami — odezwał się głosem niżonym.

— Ja nie z wami do mówienia nie mam — odparł zimno Skarbimierz.

— Jesteście chrześcijańskim człowiekiem — rzekł królewicz — możecie nieszczęśliwego przez miłosierdzie posłuchać.

Wódz skinął na ludzi aby się oddalili i zatrzymał się w progu.

— Ja — odezwał się zwolna wzrokiem badając przeciwnika Zbigniew — nie tak winnym jestem przeciw królowi i ojcu memu jak się zdaje. Szedłem nie po własnej woli. Z klasztoru mnie wzięto gwałtem, prowadzono tak samo. Nie chciałem bić się przeciwko ojcu, zmuszono mnie. Byłem w rękę tych ludzi zakładnikiem. Mamże za to odpowiadać, czując się niewinnym?

Popatrzał nań trochę zdziwiony Skarbimierz.

— Prawicie dziś tak — rzekł — bo was zwyciężono i złamano. We Wrocławiu sprawialiście się inaczej, ludzie świadczą o waszych słowach i uczynkach.

— Ludzie winę własną składają na mnie, oszczercy są! niegodziwi! — zaczął nabierając

coraz odwagi królewicz. — Bądźcie mi orędownikiem, miłośnicy panie, a jeśli nie chcecie więcej nie uczynić, odnieście słowa te królowi ojcu memu — niewinny jestem.

Skarbimierz popatrzał nań z góry, nie odpowiedział nic i wyszedł z izby powoli. Zbigniew wrócił na siedzenie swe i padł na nie zamysłony. Strażnicy nowi cisnęli się do izby ciekawie. Zahoń więc pobiegł ku drzwiom i zamknął je przed niemi.

Sami zostali we dwu. Zbigniew obejrzał się bojaźliwie, odetchnął, jakby mu wolniej było i podniósł głowę ku stojącemu Zahoniowi, z wyrazem sztycherstwa i złości razem.

— Słyszałeś Zahoń — rzekł po cichu — słyszałeś jak mówiłem do niego? nieprawdaż? mógł pomyśleć i uwierzyć, że jestem niewinny? Dobrze mówiłem. Albo nie było płaczu w głosie i żalu w oczach? Widziałeś?

Chłopak głową skinął.

— Ha! złego jeszcze tak bardzo nie ma nie gdy życie jest! — mówił królewicz. Ci co poginęli głupi byli! Z klasztoru się wyzwoliłem, a w więzieniu wiecznie siedzieć nie będę. Gdyby mi oczy chcieli wykluc przysłali by zaraz z żelazem czleka... Jeszcze nie ma nie straconego!

Rozśmiał się cicho sam do siebie. Zahoń wyłękły stał nieśmiejąc wyrzec słowa.

— Król mi życia nie weźmie — zaczął po

krótkim namyśle — nie, dzieckiem jego jestem. Sieciech nie będzie śmiał. Nie! Pokorę udawać trzeba i kajać się przed niemi! Co robić!

Dziwna jakaś otucha wstąpiła w niego nagle; zapomniawszy rzezi, trupów, pożogi, radował się tylko temu, że sam z nich wyszedł cały, powtarzając dziecinnie.

— Nie ma nic straconego, gdy życie jest!

Obojętność ta królewicza, nawet Zahonia zdawała się strachem przejmować i podziwieniem. Chłopak który po raz pierwszy śmierć widział zblizka, słyszał jęki konających, krzyki męczonych, płacz uchodzących kobiet, które padały po drodze tuląc dzieci; patrzył na krew spływającą strumieniami i stojącą kałużami — wzdrygał się na te straszliwe wspomnienia; Zbigniew myślał już tylko o sobie. Nie spytał o wiernego Dobka, nie dowiadywał się o ulubionego Marka, nie zabolał nad stratą ludzi których postradał.

On sam rannym nawet nie był, miecz jego nie obmył się we krwi; czuł tylko głód dokuczliwy i pragnienie, które mu usta paliło.

Koniec tomu Igo.

## KROLEWSCY SYNOWIE.

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VI.

KRÓLEWSCY SYNOWIE.

Powieść

z czasów Władysława Hermana  
i Krzywoustego.

Tom II.

Boleslae, Boleslae Dux gloriosissime  
... defendis tuam terram quam studiosissime...  
Pieśń obozowa niemiecka.  
Gallus.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



I.

Zamknięty więzieniem w tych izbach Kruszwickiego zamku, w których szukał po bitwie schronienia, nie wiedział Zbigniew nawet co się działo dookoła; oprócz swój straży milczącej nie widując nikogo.

Przygotowywał się, rozmyślał nad obroną swój sprawy, gdyby go badano, ale od króla nikt do niego nie przyszedł, głucha cisza go otaczała. Za hoń towarzyszący mu, trochę miał więcej swobody, bo go przynajmniej na podwórce wypuszczano, mógł też czasem coś posłyszeć i przynieść. Lecz wieści te skąpe były. Wojska królewskie od zatrutych brzegów Gopła odciągnęły, obóz zwinęto, na grodzie tyłu tylko ludzi pozostało, ile do strzeżenia go było potrzeba. Na pobojowisku nad jeziorem dla niedostatku wody i wielkiej ilo-

ści niepogrzebionego trupa królewscy długo nie mogli pozostać. Zgnilizna z ciał tylu śmiertelnymi wyziewy napelniała powietrze, z miasta nie pozostało nic, oprócz węglów niedopalonych i zamku, który ocalał; biskup nawet wyniósł się z tego pustkowiecia, jednego kapłana tylko zostawując przy kościele.

Zbigniewa jak prostego więźnia opatrywano w pierwsze do życia potrzeby, nie troszcząc się o nic więcej, jak by nie umarł z głodu. Strawę mu dawano też samą co straży, nikt ani spytał, czy czego nie potrzebuje. Dumnego królewicza więcej bolała ta wzgarda i zapomnienie, niżby może zemsta i męczarnie wymyślne dręczyły. Cierpiał milcząco, lecz w duszy zbierało się zemsty pragnienie. Od wszystkich w świecie, nawet przez ojca był zapomniany. Zahoń pytany przynosił mu zawsze prawie jednostajne wieści z ust straży pochwytane, osobiście go nieobchodzące — nikt ani się zgłosił, ani spytał ni dowiedział o niego. Zdawał się przeznaczonym na powolne gnienie w tych murach, razem z trupami na Gople...

Upłynęło tak tygodni parę, gdy dnia jednego wpadł Zahoń z wiadomością, że na kruszwickim zamku dla wody zepsutej i chorób między ludźmi, załoga wytrwać nie może, zatem ją i ich gdzieś zapewne indziej przesadzą.

Dokąd? Zahoń się nie mógł dowiedzieć.

Jednego mroźnego ranku jesieni, ujrzał Zbi-

gniew przez drewniane okien kraty, że konie z szop wyprowadzano i ludzie się krzatali żywo. Ruch na pustym zwykle i cichym zamczysku był nadzwyczajny, radość jakaś nieznaną brzmiała w głosach ludzi, bo wszystkim szczęściem się wydawało uciec z tej pustki, w której oddychać było ciężko, żyć straszno i powolnie konać musiał każdy, czując jak zeń życie ucieka.

Wysłany Zahoń potwierdził, iż z Kruszwicy wyciągać mają. Zimny był dzień, a królewicz odzieży innej nie miał nad tę, którą w dzień bitwy wdział na siebie. Gdy Sotnik co mu miał towarzyszyć wszedł do izby, zażądał Zbigniewa kożucha na drogę.

Dano mu prosty niepowleczonej nieczem, barani, zdjęty z któregoś z ludzi, bo innego dłań nie było. Koń też, na którym miał podróż odbywać, z szerścią najeżoną, obrosty, dziki, nie pańsko wyglądał. Podesłano kawał sukna grubego, a sznury za wodze służyły. W podwórce gęsta straż otoczyła Zbigniewa z oszczepami w rękę, i tak ruszyli za wrota. Pierwszy raz od pamiętnego dnia bitwy Zbigniew miał spojrzeć na dzieło swoje. Z Kruszwicy nie prawie nie zostało. Tam gdzie było miasteczko, ani jednej całej chałupy ogień nie oszczędził, w kilku tylko miejscach powracające zbiegi sklecili ubogie szałaszy. Czarne zgliszczą szeroko zalegały stopy wzgórze, gdzie-

niegdzie sterczały na nich niedogorzałe belki i ściany.

Od jeziora wiatr przynosił woń jakąś straszna, która upajała i truła. Wody stały gęste i mętne, gdzieniegdzie brudną pleśnią okryte. Nad niemi ptacy podlatywali krzyżąc żałośnie. Nigdzie człowieka, bydłęcia, znaku życia — śmierć dokoła i zniszczenie.

Na zrytém końskimi kopytami pobojuwisku, trawa porosnąć nie miała czasu, czerniało nierówne, poszarpane, świecąc gdzieniegdzie kośćmi już przez kruki i dzikiego zwierza odartemi.

Zbigniew, choć nie wiele czucia miał, wzdygnął się patrząc. Jakby naumyślnie straż go powiodła kawał drogi wzdłuż tego pobojuwiska, mogiłami zasianego, na którym czaszki pod kopyty końskimi chrupały zgniecione, ponad zagniętymi wody jeziora, pluszczącemi skargą umarłych. Wiatr jakiś nagle zerwał się od Gopła i świstał, jęczał, szumiał głosami dzikimi. Zahoń spuścił głowę, spojrzeć nie śmiał, uszy sobie zatulił kołnierzem, drżał cały, zdało mu się, że duchy zabitych widzi przed sobą, rad był popędzić konia, ale straż wolno jechały, pospieszać nie dając.

Do Zbigniewa nikt nie mówił słowa, jechał sam z Zahoniem, jak opuszczony, wzgardzony winowajca, którego na stracenie prowadzono. Sotnik Mrówiec, człek prosty, raz czy dwa z ukosa

na królewicza spojrzawszy, nie okazywał dłań dobrej woli, ani się myślał zbliżyć do niego. Zahoń go zagadywał kilka razy, dokąd jechali, nie odpowiedział mu nic, tylko ramionami potrząsał.

Zbigniew trwożyć się zaczynał.

Drugiego dnia, gdy Zahoń próbował znów sotnika badać z pokorą, prosty chłop odrzekł szydersko.

— Nie bójta się — będzie wam dobrze! Kto się dostał w ręce naszego pana miłościwego, Wojewody Sieciecha, z rąk się jego żyw nie wydobędzie. Wy jemuście pod straż oddani, — czego więcej chcieć?

Przykazanie jest, gdyby który uciekać chciał, oszczepem go!!

Słyszał to Zbigniew, dreszcz poszedł po nim. Ani on, ani Zahoń kraju otaczającego nie znali, odgadnąć więc nie mogli dokąd ich prowadzono. Na noelegu z zaściany, przysłuchując się ludzi rozmowie Zbigniew pochwycił nazwisko Gniezna, kilkakroć powtórzone. Z tego się domyślił, że zapewne ich na gród ten prowadzono. Skłonny do tłumaczenia sobie na dobre tego co go spotykało, nabrał królewicz lepszej myśli. W Gnieźnie prędzej żywą twarz zobaczyć, głos ludzki posłyszeć mogli.

Przy kościele znajdowali się księża liezni, do których Zbigniew uciec się miał nadzieję i przez nich coś może u króla uzyskać.

Myśli różne snuły mu się zawczasu po głowie, roił przez drogę całą. Zahoń, który w początkach widział go ponurym i niemal zrozpaczonym, zdziwił się, gdy drugiego dnia zobaczył pana uśmiechniętym, mrugającym oczyma, dosyć żwawo i ochotnie zabierającym się do dalszej drogi.

Powolnie bardzo posuwał się ów orszak królewiczowski, wynędzniałe mając konie, słabych ludzi. Stawano ciągle na spoczynki, popasano często i długo nad miarę, na noclegi stawano zawczasu, ruszano z nich późno. Nikomu widać spieszo bardzo nie było. Wreszcie nad wieczorem dnia jednego pokazała się Lechowa góra i gnieźnieńskie zamczysko. Zdala już widać było bielejące jaśniej mury kościoła, który teraz dopiero po zniszczeniu owym za bezkrólewia po Mieszku i Łupieży czeskiej odbudowywano. Zmierzełło zupełnie, nim się powoli wlokąc, do okopów i bramy zamku dostali.

Tu dokoła grodu cale inne niż w Kruszwicy było życie, ludu mnóstwo, wozów wieśniaczych po drodze, pieszych i konnych żołnierzy na zamek i z zamku spieszących.

Podwórce obszerne, do których się dostali, pełne też były różnego tłumu. Wśród żołnierzy przesuwało się duchowieństwo, które w części kościoła odrestaurowanej już nabożeństwo odprawiało; robotnicy też obey, jak z odzieży poznać

było łatwo, do budowy i ozdoby świątyni sprowadzeni, w znacznej się liczbie kręcili.

I języki słychać było rozmaite wśród tłumu.

Gdy gromadka przybyła, stanęła w dziedzińcu, wyszedł zaraz starosta grodowy (castellan), człek stary, szubą okryty, w czapce ogromnej, za nim klucznik i inna czeladź, aby przyjąć królewicza z rąk straży.

Nikt mu jednak i głową nie skinął. Z konia z siadlszy pod strażą iść musiał pieszo na tylną część zamku, gdzie dlań izba stała gotowa jedna, a przed nią druga, w której stróże pilnować go mieli.

W oknach téj izby pustej, w której ledwie ławy brudne, stół prosty, a w rogu tarczan był sianem przyrzucony — w oknach błon nawet na zimę nie wprawiono, tylko kraty gęste i okiennice zasuwane.

Zawiedziono go tu nie mówiąc doń, nie spytawszy o nic, ledwie nań patrząc, jak prostego winowajcę, którego jutro tracić mają.

Starosta drzwi i okien mocy próbował, stróżom wydał rozkazy i poszedł precz jakby Zbigniewa unikał.

Zahoń się musiał upominać o skórę na posłanie, o jadło po drodze głodnej, o ogrzanie izby zimnej. Zbigniew milczał. Naniecono ognia trochę z mokrych gałęzi, który więcej dał dymu, niż ciepła. Noc zaszła ich słuchających świstu wichru,

który szalał do rana, bijąc o ściany, weiskając się do środka, mimo pozasuwanych okiennic.

Choć przyjęcie to złą wróżbą było dla królewicza, Zbigniew nie stracił nadziei. Zahon patrzył mu w oczy zdziwiony, przybity, nierozumiejąc go, zbywany szyderstwami i łajaniem. Jemu tu nie lepiej było, cudzo jeszcze i z ludźmi obcymi ciężko, bo się obchodzili z nim ostro i surowo.

Trzeciego dnia rano, Zbigniew wstał z twarzą rozjaśnioną, jakby mu się co szczęśliwego zdarzyło, zawołał do siebie Zahonia i zburezał go za ponure wejrzenie.

— Idź mi zaraz, rzekł do starosty, powiedz mu odemnie, żem księdza nie widział oddawna, mszy nie słuchał, spowiedzi nie odbył, tego i na ścieżce idącym nie odmawiają.

To mówiąc, uśmiechnął się chlubiąc przed Zahoniem chytrą swoją, na której ten się nie poznał.

Posel spełnił co mu polecono.

Starosta wysłuchał, nie odpowiedział nic i ręką go odprawił. Powrócił z niezem, ale z południa Zbigniew, który znaczniejszą część dnia wylegał się na posłaniu, postrzegł przybywającego duchownego. Prośba została spełnioną.

Wszedł krokiem powolnym, nogami sunąc, przygarbiony staruszek w czapce z uszami, z kijem w rękę, pozdrawiając wedle obyczaju chwałą Chrystusową.

Królewicz uradowany zerwał się doń żywo i pospieszył do ręki. Zahon stojący z boku zdziwił się, widząc go nagle tak zmienionym, jakby innym był człowiekiem. Postawę przybrał pokorną, jaką miał, gdy klerykiem był jeszcze, twarz smętną i spokojną, szedł z oczami spuszczone ku ziemi. Zuchwałstwo obozowe i buta znikły, zastąpił je wyraz niedoli, pogwałcenia i poddania się nieszczęśliwemu losowi.

Ksiądz zapewne uprzedzony, spoglądał nań z ciekawością, a razem pewnym niedowierzaniem. Usiadł mruczając coś niewyraźnie i wpatrując się w człowieka, który litość musiał obudzić.

— Ojciec mój, począł Zbigniew głosem do postawy zastosowanym, najnieszczęśliwszego z ludzi widzieć przed sobą, niewinną ofiarę za grzechy cudze pokutującą, oszczerstwem obłudzaną, oczernioną złością ludzką. Aliści nie żałę się za grzechy pokutując i skarbiąc sobie łaskę Bożą, boleję tylko nad jednym, że mi największy skarb na ziemi, miłość i serce ojcowskie wydarto, wszelkiej pociechy pozbawiony, jako prosty niewolnik do ciemnicy rzucony, cierpię w pokorze dopust i krzyż pański!

Mówił to z takim uczuciem, gorąco, serdecznie, iż księdza poruszył.

— A pocóż było dziecko moje— odezwał się staruszek— po co było Chrystusowe porzucać gniazdo, i suknię zwlekać co pokój duszy daje?

— Gwałt mi uczyniono, ojeze! — odparł Zbigniew.

Ksiądz popatrzał nań, potrząsając głową, widąc było, że pragnął uwierzyć w to co słyszał, a lękał się być łatwowiernym i oszukany.

— W klasztorze — ciągnął dalej głosem skruszonym królewicz — miałem, choć zapomniany przez ojca ziemskiego, niebieskiego ojca pociechę, wspólną modlitwę z braćmi, w ofierze codzienniej uczestnictwo — tu i tego jestem pozbawiony.

Tak się rozpoczęła rozmowa, w ciągu której Zbigniew usiłował się okazać pobożnym, stęsknionym za religijną pociechą, błagając, aby mógł kiedy niekiedy przynajmniej przypuszczonym być do wspólnej z duchowieństwem modlitwy.

Staruszek słuchał tego wylewu wyrazów, płynących z ust królewicza obficie, łatwo, przekonywująco. Z początku uszom wierzyć nie chciał, później z wolna się dając ując wymowie, której głos nawet drżący i łzawy dopomagał — uległ wrażeniu miłemu dlań. Znalazł człowieka potępionego lepszym niż się spodziewał. Począł pocieszać więźnia. Nie śmiał mu jeszcze nic obiecywać, lecz przyrzekał się starać, aby losowi jego ulżono i dozwolono mu, choć pod strażą chodzić do kaplicy i do spowiedzi przystępować.

Ucałował ręce jego Zbigniew, a gdy staruszek dłużej nad zamiar zasiedziawszy się, ruszył ku drzwiom, odprowadził go zgięty w pół do progu.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, a ów królewicz tak nieszcześliwy zmienił się w zuchwałego mlókosa, jakim był przedtém. Zahoń stojący w kącie osłupiał.

Twarz Zbigniewa rozmaszczyła się, oczy przy-mrużyły szydersko, usta otwarły uśmiechem, ukazał na drzwi i zatarł ręce.

Zahoń proste chłopię z uwielbieniem był dla swego pana, który tak sztucznie mienić się umiał, popatrzał nań i poszedł w swój kąt rozmyślać nad tą dziwną naturą pańską.

Drugiego dnia już na mszę ranną pozwolono Zbigniewowi do kościelnej kaplicy.

Czcigodny starzec arcybiskup Marcin, wedle dawnego kościelnego obyczaju, na biskupim tronie siedział za ołtarzem i teje mszy przez kapelana swego odprawianej słuchał. Zbigniew w owym brudnym kożuszku, w ladajakich chodakach, z włosami odroslemi, które mu się w nieładzie jeżyły na głowie, błądy, wymęczony, stał nieszcześliwy widokiem swym istotnie serce mogąc litościwie poruszyć.

Było to przecież królewskie dziecię! — Arcybiskup Marcin znanym był z wielkiego miłosierdzia i cnoty chrześcijańskiej. Ujrzawszy tę królewską krew w takiej poniewierce i poniżeniu, zapłakał nad losem biednego więźnia, — słyszał już o nim od staruszka O. Laurentego, który wprost doń wczora poszedł, niosąc mu obraz téj niedoli i skruchy.

Przez cały czas mszy świętej, areybiskup patrzył na królewicza, po kilkakroć ocierając oczy.

Gdy się msza skończyła, odprowadzono jeńca nazad, ale miał już opiekuna i obrońcę.

Tegoż dnia areybiskup wezwał do siebie starostę grodowego, dla którego najwyższy dostojnik duchowny królestwa, na równi był z królem. Na leżała mu też sama cześć i posłuszeństwo.

Począł go badać staruszek o więźnia, dając do zrozumienia, że choć rozkazy Sieciecha ostre i surowe były, miłość chrześcijańska ulżył losowi królewskiego syna nakazywała.

Rada areypasterza była rozkazem. Za nią wnet poszło i lepsze łoże, i odzież nowa, i strawa znowniejsza. Zwycięzko na to wszystko ukazywał Zahoniowi królewicz, ale gdy O. Laurenty przychodził, lub kto z zamkowej straży go odwiedzał, wracał do smutku i pokory, wydając się im niewinnym barankiem i ofiarą.

Gdy znowu kiedyś przybył O. Laurenty, począł mu obszernie opisywać królewicz niemal ze łzami, jaką przemocą, mimo próśb i zaklęć z klasztoru go wyrwano, jaką nad nim w obozie tyranię wywierano, zmuszając do powstania przeciwko ojcu własnemu.

Poruszył tém do głębi staruszka, który zupełnie mu uwierzywszy, starał się go pocieszyć.

Rozeszła się potem po zamku wieść, jakiegoś to bogobojnego młodziana trzymano w srogięj

kaźni z winy tych zdrajców, co za narzędzie go używszy, sami wprawdzie marnie zginęli, ale królewiczowi świat zawiazali.

Oburzał się nadewszystko areybiskup Marcin i płakał nad sponiewieraną krwią królewską, a gdy mógł potajemnie ze stołu swojego posyłał jedzenie i droższe nad nie słowa otuchy i nadziei.

Areybiskup Marcin stał na czele duchowieństwa polskiego, tak jak kościół Gnieźnieński był matką wszystkich innych w kraju całym; na równi z królewską była powaga jego i władza, a poniekąd nawet przechodziła ją, gdy szło o sprawę wiary i sumienia.

Pobożny król, chociaż ulegał ślepo Sieciechowi posłuszniejszym jeszcze kościołowi być musiał. Uczył przykład Szczodrego świeży jeszcze, uległości dla duchownej władzy.

Na tę miłość jaką sobie pozyskał, zarabiał Zbigniew nadzwyczajną pokorą i rezygnacją. Słuchając mszy świętej, najeczęściej w obec areybiskupa korzył się, padał na ziemię, wzdychał i łzy ocierał, a wróciwszy do izby, gdy nikogo nie było oprócz Zahonia, śmiał się przechwalać przed nim, jak chytrze umiał sprawę swoją prowadzić.

— Nie będziesz żałował, — mówił mu, — żeś się przy mnie został, obaczysz, że postawię na swoim. Wszedłem tu prawda, w odartym kożuszk, a wyjdę w szkarłacie, jak synowi królewskiemu

przystało. Wówczas ci się też bieda terażniejsza nagrodzi.

Zahoń w końcu już w to uwierzył.

Tak stały rzeczy, gdy jednego rana ów wierny towarzysz powróciwszy do izby z podwórca, długo przed ogniem stał w zamyśleniu jak osłupiały, potem nagle zwracając się do pana, zawołał.

— Miłościwy panie! Czy też to może być, że bym ja na moje oczy widział Marka Sobiejuchę?

— Kiedy? gdzie? spytał Zbigniew.

— Tutaj, dziś — odparł Zahoń.

— Marko przecie pod Kruszwicą zginął, biedaczysko — rzekł król.

— Albo to on, albo rodzony\* brat, albo kto do niego jak dwie krople wody podobny — rzekł chłopak.

— Gdzież i jak go widziałeś? — odezwał się obojętnie Zbigniew.

— W podwórca, tysiącnikami nad wojskiem. Nietylko twarz, ale i głos ten sam — rzekł Zahoń.

— A on? widziałże ciebie?

— Powinien był, ale czy znać nie chciał — czy... nie wiem! mówił chłopak. Patrzył się na mnie i odwrócił.

— Toć nie on chyba — rzekł Zbigniew, — mało ludzi do siebie podobnych! Zbliżyć się było.

— Krzyczał i lajał strasznie na ludzi, w gniewie był jakimś, nie śmiałem, — rzekł chłopak. — Dziw, bo i opończa na nim taka sama...

Królewicz pokiwał głową zdumiony trochę.

— Opończę widziałeś nie człowieka — odezwał się, — czy cię omyliły — w bitwie padł.

— A! nie — rzekł żywo Zahoń, — przed bitwą go nie stało. Trochę się pozostał w tyle, a potem go już nie widział nikt.

W parę dni potem zaciekawiony Zahoń, który widmo Markowe ścigał, przyniósł z podwórca wieść że Marko był ten sam, żyw i zdrow, ale ani znać ani gadać nie chciał z nim, bo był w służbie królewskiej.

Kazał go do siebie przywołać Zbigniew, ale kilka dni uganiając się za nim, Zahoń zbliżyć się doń nie mógł, a gdy wreszcie sam na sam, w cztery oczy go przydybał, Marko mu rzekł ze złością.

— Idź precz! znać was nie chcę.

Rozgniewał się król i począł odgrażać. W kilka dni jednak po tém zarzeczeniu się Marko zmiarkować musiał, że niebezpiecznie było syna królewskiego się zapierać, aby przez niego nie być wydanym. Sam przystąpił do Zahonia i zapowiedział mu, że się którego dnia na straż do nich wyprosi i z królkiem zobaczy. Tak się też stało. Po głosie poznał Zbigniew zaraz gadliwego Marka, który do niego wszedłszy, napród od tego począł, że wszystkie kąty przepatrzył. Kraty w oknach mocował, zasuwę próbował, a dopiero ludzi swych porozsyławszy, do rozmowy się stawił.



— Jakżeś ty się ocalił?— zapytał go królewicz.

— Wyraźną łaską i cudem Bożym, a patrona mojego Ewangelisty opieką,— zawołał Sobiejucha ręce składając i wywracając oczy. Do tylniej straży docierałem, aby zobaczyć co się tam dzieje, gdy pierwszy zostałem napadnięty przez cały ufić... Dwudziestu położyłem trupem broniąc się, tymczasem z tyłu ciął mnie w łeb ogromny gbur, aż mi czerep na dwoje rozplatał, padłem jak nieżywy na pobojowisku. Szczęściem krzyknąłem leć na ziemię. — Ratuju Marku święty, i dwie połowy czerepa rękami ścisnąłem, a w tej chwili natychmiast się zrosły... cudem!\* a tu jak poczęli mnie końmi tratować, trupy na mnie walić, myślałem, że ostatnia przyszła godzina. Zostało mi tylko tyle luzu, żem miał czém oddychać. Leżałem tak przyczaiwszy się do nocy; dopiero pociemku się wydobył, konia pochwyliłem ranego w miasteczku, z którego trzewa wyszły. Włożyłem mu je nazad, zawiązałem chustą i na nim bez tchu leciałem dwie doby, nie jedząc i nie pijąc.

Dopadłem w lesie chaty lihościwych ludzi i baby, która się na ziele znała, jak zaczęła mnie smarować, we dwa dni postawiła na nogi.

Sobiejucha tchnął mocno i kaszlnął.

— Co było robić!— dodał— przystałem do królewskiego wojska — człowiek musi żyć — ale to hołota!!

Opowiadał przytém Marko różne rzeczy o ko-

niu i o sobie takie, iż naprawdę cudu trzeba było, aby się one stać mogły. A pamięć mu się jakoś tak zmieszala, od owego rozplatania czerepa, że za każdą razą coraz inaczej przygody swe opisywał.

Z mowy i całego obejścia się Sobiejuchy znać było, że równie się musiał obawiać popaś u starosty w podejrzenie, jak u Zbigniewa w nielaskę.

Zabawiwszy tu krótko poczał się wymykać, obawiał się bowiem, że mu niedowierzano, i niezmiernie ostrożnym być musiał.

Nie było go potem widać długo, a gdy Zahon spotkawszy się z nim w podwórzcu zapraszał aby przyszedł, wymawiał się tēm i owēm, przysięgając, iż nań oko mają, że mu nie wierzą, i że dla wielu nieprzyjaciół i zazdrosnych musi się na każdy krok swój oglądać.

Niewdzięczność ta Marka nie wiele obchodziła królewicza, nagradzała się ona sowiec coraz większą łaską arcybiskupa Marcina, który nad dzieckiem królewskim lży ronił, widząc je ciągle tak pobożnie modlącem się pokornem i cichem.

Powoli za jego wstawieniem się do starosty, los Zbigniewa polepszał się ciągle. Nie broniono mu chodzić do kościoła, a niekiedy przy dozorze po podwórcach ku wałom się przechadzać.

Arcybiskup posłał mu krzyżyk przez siebie poświęcony i o święte relikwje otarty; nareszcie

gdy raz z kościoła wychodził, spotkał królewicz niespodzianie sędziwego starca na drodze.

Zatrzymał się O. Marcin i zbliżył ku więźniowi, nad którym tak wielką miał litość. Zbigniew przyszedł rękę jego ucałować, prosząc o błogosławieństwo przybrał postawę tak uniożoną i zboląłą, że arcybiskup bardziej jeszcze uczuł się przejęty losem jego.

— Nie trać nadziei dziecko moje — odezwał się doń pocichu zakreślając krzyż nad głową jego — Bóg próbuje człowieka, przez cierpienie go prowadząc do doskonałości, a gdy widzi serce czyste, odejmuje brzemię i łaskę swą spuszcza na niego. Nie trać nadziei dziecko moje!

Powtórzywszy te słowa, oddalił się starzec świątobliwy. Zbigniew uradowany powrócił do izb swoich, ledwie w sobie mogąc radość utrzymać. Ulubienca Zahonia poklepał po ramieniu i szepnął mu.

— Terazem pewien, że wyjdę z tego zwyczajko! Arcybiskup nie darmo nadzieję mieć każe. Ma on ucho królewskie. Choćby Sieciech stokroć do surowości namawiał, przemoże arcybiskup skłaniając do przebaczenia.

Ha! — krzyknął unosząc się — naówczas dopiero zagramy z Sieciechem, zagramy z Bolkiem o lepszą. Ten co siedział w więzieniu, drugich też do niego sadzać potrafi, — niech wiedzą jak to słodko żyć spętanemu.

W miarę jak arcybiskup coraz jawniej okazywał Zbigniewowi łaskę swoją, Marko też ośmielał się przybliżać, postać niekiedy w izbie, przynieść jaki mały podarek lub posiłek. Czynił to jednak zawsze tak ostrożnie, że go prędzej o srogość niż o słabość dla więźnia posądzić było można.

Zbigniew jak przyczajone zwierzę, które się w kłęb zwija, chowając zęby i pazury, samą pokorą i niewinnością okazywać się umiał. Wiedząc że się tém przypodoba staruszkowi, w nabożeństwie szczególną okazywał gorliwość, a ilekroć przy wyjściu z kościoła, mógł się do niego odezwać, opowiadał o swjej miłości dla ojca, dla rodziny, o sieroctwie swém, zaręczając, iż nie nie pragnął oprócz spokoju, aby dziełami miłosierdzia Boga mógł chwalić i za ocalenie swe dziękować.

Po każdym takim wystąpieniu powróciwszy do izby, królewicz śmiał się do Zahonia, który mu uśmiechem odpowiadał i zwierzał się przyszytych myśli.

— Zapłacą oni za moją niewolę! mówił do wiernego sługi, liczę i zbieram co mi się od nich należy! — Jak w piśmie stoi, odbiorę od nich ząb za ząb, oko za oko, nie daruję nikomu!

Zamiast wdzięczności dla sędziwego arcybiskupa, Zbigniew szydził z jego łatwowierności, wyśmiewał dobrodusność, naśladował ruchy i głos

jego, rozczulenie i płacz, co głupkowatego Zahonia niewymownie bawiło.

W takim życiu dość jednostajnym dnie w Gnieźnie upływały. Gdy Sieciech wojewoda, Skarbimierz lub kto inny ze starszyny na gród przybywał, zamykano więźnia i wychodzić mu nie dawano. Po wyjeździe ich wracał do pewnej swobody i w środku zamku obracał się jak chciał.

Lecz rok, dwa, może dłużej nawet z nadzieją przeżyć takim życiem ciężko. Rachuba na arcybiskupa zrazu pewna, zaczynała się coraz mniej prawdopodobną okazywać — bo skutku żadnego nie miały obietnice — ponawiał staruszek przyrzeczenia jakieś nieoznaczone — głuche, nie mówiące ani kiedy, ani jak się one spełnić mogą. Z wielkiej radości Zbigniew wpadał w rozpacz i zwątpienie. Snuło mu się już po głowie, nie spuszczać na żadne obietnice, wydobyć z zamku pokryjomu, zbiedz na Pomorze, gdzie się zawsze znaleźć sprzymierzeńców spodziewał — albo się schronić do Czech, które mu pomódz były powinny.

Zahoniowi już był nawet polecił ludzi sobie jednać i szukać środków do ucieczki, ale chłopię bojaźliwe i niezręczne do podobnej roboty wcale się nie zdało. Łajanie i szyderstwa z niego nie pomagały; przybity niemi stawał się jeszcze mniej obrotnym.

Z Markiem, jak się okazało z próby, ani mówić było o tém można.

W tém rozeszła się wieść, że w roku tym, dnia pierwszego Maja, w święto apostołów Filipa i Jakóba, kończąca się w Gnieźnie katedra, poświęconą być miała uroczyście. Na dzień ten zjechać miał z Płocka król Władysław, królowa, Bolko, Sieciech i wszyscy niemal biskupi z kraju całego.

Zdało się Zbigniewowi, iż arcybiskup ten właśnie dzień wybrać może, aby za nim do rodzica przemówić i przebaczenie mu wyjednać.

O. Marcin wyraźnie dnia tego nie oznaczył, ale się kazał domyślać, iż chwila stanowcza się zbliżała.

## II.

Rok to był wcześniejszego ciepła niż zwyczajne lata. W kwietniu już naprzód zielonością podszyły się lasy, zazieleniały strumieni brzegi, posrebrzyły łązy, wierzby bujno puściły, brzozy rozpękać zaczęły, słońce dogrzewać, a choć czasem jeszcze, po ciepłe przedwczesném zerwała się burza i sypnęła krupami zmarzłemi, ubielila ziemię na chwilę, słońce wnet powracało zwycięzkie, niszcząc ostatnie zimy ślady.

W końcu miesiąca już tylko dęby stały napęczniałe a ostrożne, resztką drzew młode mi listkami i zielonością żywą się ubrała.

Ozime sięwy na małych półkach, gęstą zielenią zaścielały ziemię jak kobiercem, po lasach zawodziło ptastwo pieśni wiosenne, a po kotli-

nach widzieć już było można marcowe zajączki małe, z panią matką uczące się kociego tańca.

Piękne te dni młodej wiosny wybrał właśnie arcybiskup Marcin Zabawa do poświęcenia swojego ukochanego kościoła, w którym znów, cudem ocalone zwłoki świętego Wojciecha ku czci wiernych wystawione były. Radowało się serce świątobliwego starca iż wielkie dzieło mógł dokonać, pierwszy ów kościół główny Mieczysława i Dubrawki podnieść z gruzów, przyozdobić, piękniejszym jeszcze uczynić niż był wprzód.

Mąż to był święty ów starzec, który o niczem więcej oprócz chwały Bożej a miłosiernych uczynków nie myślał, a cnotą swą wyniósł się tak wysoko, bo ta choć zazdrość obudza, w końcu złych nawet potęgą swą zwycięża.

Arcybiskupie jego dostojeństwo było prawdziwym „brzemieniem za grzechy“ (*onus pro peccatis*), bo, choć wysoko stała ona pierwsza katedra w ziemiach polskich, spokoju na niej, ani rozkoszy zażyć nie było można. W ruinach leżały kościoły, pustkami klasztory, zdziczałemu ludowi na nowo apostołować musiano, a duchowieństwo z różnych narodowości i rozmaitych ludzi złożone, surowej do utrzymania w karności potrzebowało dłoni. Gdzieniegdzie wkradalo się rozprzężenie, podnosiła głowę samowola, tak że do stolicy rzymskiej odwoływać się musiano, i z jej ramienia zesłanemi nowy wprowadzać porządek.

Oprócz starania o dusze, arcybiskup świeckich też spraw zaniedbywać nie mógł. W rozdzielonym państwie, którym Sieciech rządził, usiłując je złąć w jedno, niustannie zwaśnionych z nim nieprzyjaciół, powstających przeciw niemu podwładnych właśnie godzić przychodziło, zażegnwać burze.

Król dobry był lecz słaby, królowa płocha i na swe dostojństwo nie bacząca a rodem cesarskim dumna, w rodzinie pańskiej gotowały się zatargi lub gorszy może nad nie zamach na władzę... Sieciecha potęga rosła, wiedzieli wszyscy iż panowanie sobie przywłaszczyc pragnie i pory tylko sposobnej czeka. Wszystko to arcybiskup z wysokości powagi swój i duchownej władzy musiał hamować, powstrzymywać, przewidywać i zapobiegać złemu.

Mąż był ducha apostolskiego, wiary gorącej, prostoty obyczaju wielkiej, który nie mądrością ziemską i rachubą ludzką, ale odwieczną prawdą drogi swoje torował, Tęj on nie zrzekał się nigdy choćby na pozór z ludzkim rozumem nie była w zgodzie.

Żle czynić aby dobro dokonać nie umiał: wierzył iż enota owoc wydać musi zbawienny a światłość nad ciemnościami zwycięży.

Z uśmiechem prawie dziecinnym na ustach, bez gniewu w sercu, bo tego nie znał, mąż prawy głosił prawdę i stał przy niej wiernie. Sam żył

jako najuboższy kapłan, nie potrzebując dla siebie nic, dla kościoła wymagając wiele, dla biednych oddając, jak ów patron, którego nosił imię, nie tylko płaszcz, lecz choćby nawet koszulę. Od złych odwracał się, ale się nad nimi litował i za nich się modlił. W zło zaś nie rad wierzył i nie widział go chętnie, zawsze sobie czems dobrém, a zwichniętém tłumacząc postępkę ludzkie.

W jego sercu Zbigniew znalazł litość dla siebie i usprawiedliwienie. Bolał arcybiskup nad tem że król dziecko własne dręczył, widząc w tem raczej dzieło Sieciecha niż rodzica.

Nie mylił się w tem starzec pobożny.

Już na dni kilka przededniem SS. apostołów Filipa i Jakóba na zamku Gnieźnieńskim widać i czuć było gotującą się uroczystość wielką. Gości, duchowieństwa świeckiego i zakonnego spodziewano się wielu. Dla króla i królowej sponobiono dworzec stary, po czeskiej napaści odbudowany, dla braci biskupów, gospodarz własne domowstwa gotował. W podwórcach dla mnogich dworów i czeladzi namioty stanąć miały. Drogię z zamku do kościoła wysadzono młodą brzezina, ozieleniono nią budowlę, posieczoną jedliną i kosaciem wysypywano drogi dokoła.

Wszystko się cieszyło i radowało uroczystości a szczególnie duchowieństwo, które ze wszystkich ziem, klasztorów, grodów przyplęwało na wesole świętki.

Staruszek nieustannie prawie siedział w kościele, albo go obchodził, czuwając nad tą swą oblubienicą, coraz jeszcze coś starając się przyczynić ku jej ozdobie i blaskowi.

Niestety! — nie były to już czasy owe Bolesława Wielkiego, gdy złoto stosami brył leżało po skarbcach, gdy się go tysiące grzywien rozdawało kościołom na olbrzymie krzyże, na grube blachy do obicia oltarzów, na naczynia do ofiar świętych. Mimo pobożności króla, nie przynosiły mu wojny jego takich łupów, aby z nich dziesięcina mogła ozłocić świątynie. Owych porwanych przez Czechów krućyfigsów złotych, zasłon oltarzowych, pod których brzemieniem łamały się wozy, nie było z czego ulać na nowo. Swieciła jednak nowa katedra i kruszcem i kunsztem przybrana, zawieszona oponami, kobiercami wysłana: obrazy ozdobnemi jaśniejąca.

Wielki oltarz, nad którym w powietrzu unosił się zawieszony gołąb, godło ducha świętego, niebieską szklistą emalją okryty, stał nieco od chóru odsunięty. Poza nim ławy były dla duchownych, tron dla biskupa, pulpit ozdobny dla śpiewaka. Tu spoczywała olbrzymia księga, skarb drogi, z której czytano pieśni.

Przodem odgradzała oltarz galeria ciężka srebrnemi obita blachami, presbiterium od kościoła dzieląca, na której ogromne sterczały świeczniki. Nad nią w górze na tęczy widać było, jakby

w niebiosach rozpięty krzyż z obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela, pod którym dwie boleściwe stały postacie ze załamanemi rękami, matka niepokieszona i uczeń najmilejszy.

W pośrodku kościoła widać było, na niskich a grubych słupkach leżący grobowy kamień Dubrawki. Święte relikwje Wojciecha, leżały, wedle prastarego obyczaju, w Krypcie podziemnej pod wielkim oltarzem.

Swieczniki srebrne, na których jakby splecione węże i zwyciężone poczwary wily się zmuszone służyć światłu, obrusy śnieżne, kapy szyte perlami, okryte złotem, miała już katedra, a zakryta była bogato zasposobiona. Składali się na nią wszyscy, świeccy i kapłani. Dzwony z blachy ukuto na nowo i głosy ich znowu wołały do modlitwy, budząc u pospolitego gminu gdy się ozwały poważne grozę, poszanowanie i przestрах.

Pogańskich jeszcze na pół obyczajów ludzie, słysząc to powietrzne wołanie, szli posłuszni do kościoła, czując się jakby ciągnięni czarodziejską siłą. W głosie tym było zarazem błogosławieństwo i groźba.

W przededniu wielkiej uroczystości arcybiskup mszę odprawiając zapłakał łzami radości wielkiej: iż Bóg mu dał doczekać chwili tej a odchodząc od oltarza usta jego mimowolnie wymówiły przypomniane słowa Symeonowe.

— *Nunc dimitte animam meam.* (Teraz odpuść panie, duszę moją).

Gdy to mówił oczy jego padły na klęczącego z boku, w przyodziewku ubogim, z głową spuszczoną, z rękami złożonemi, królewicza Zbigniewa który się zarazem zdawał modlić i płakać. Przechodząc około niego stanął biskup, położył mu rękę na głowie, i szepnął.

— Nie trać nadziei, dziecko moje, chwila jest blizką.

Rzekłszy to odszedł. Zbigniew niedługo już potrwawszy na modlitwie, wstał i do izby powrócił. Z tej już mu teraz wychodzić nie miało być wolno, dopóki król, dwór jego, Bolko i Sieciech znajdowali się w Gnieźnie. Okna jej zakratowane wychodziły na boczne podwórze, widać z nich tylko było wrota zamkowe i drogę do dworca w części, tak że z zakrat swych mógł więzień policzyć przybywających. Na chwilę też nie oddalał się od okna.

Okolo południa już mnożyć się zaczęły orszaki, biskupie naprzód, gdyż Wrocławski, Kruszwicki, Poznański i Krakowski na uroczystość przybywali, rycerskie potem, wojewody Sieciecha, równający się królewskiemu, Skarbimierza, młodego Zelisława Beliny i wielu innych panów dostojnych.

Nad wieczór wreszcie poznał, albo się raczej domyślił Zbigniew dworu króla ojca swego, na

przeciw którego duchowieństwo wyszło z krzyżem i pieśnią, rycerstwo z okrzykami, i dzwony kościelne ozwały się witając go radośnie.

Zdała postrzegł postać przygarbioną na koniu i świetny orszak królowej, około której młodzieży najpiękniejsza i najwykwintniej strojna ziemiecka się zwijała i Bolkową drużynę młodą, zbrojną, rycersko wyglądającą, na której widok wstrząsł się cały zazdrością i gniewem.

A miał zaprawdę czego mu zazdrościć, bo nie piękniejszym być nie mogło nad ten świetny orszak młodego pana, w którego oczach płonęło wesołe męstwo. Miał już naówczas Bolko, wozem Bolesława W. dwunastu towarzyszków dobrych wiekiem, postawą, dzielnością, którzy składali nieodstępny dwór jego, towarzyszyli mu wszędzie. Mieczyk pański wiozł ulubiony-Pruszyńka, dawno już wyleczony, tarczę drugą, proporczyk trzeci; za niemi jechała służba, wszystko rażna, młoda i ochocza.

Bolko nad niemi wszystkiemi królował, jeśli nie urodą to blaskiem jakimś, który bił od niego, siłą, która w nim mieszkała.

Przed jego ognistem, niemal dziecięcym wejrzaniem, nieraz starsi, sam Sieciech nawet, oczy spuszczała, bo zdawał się im w duszy czytać tym czystym wzrokiem niewinnego wieku i dobywać z jej głębin, ukryte w nich tajemnice.

Wojśław Ochmistrz królewicza, ciężki człek,

ledwie za tą lekką jazdą poskakującą nadażał, choć konia pod sobą miał dzielnego, a sam też sprawiał się na nim jak na rycerza przystało. Wiek i tusza już go nieobrotnym czyniły, dlatego królewicza zawsze za zbyt ni pośpiech strofował, nietylko w obrotach, ale w myślach i postanowieniach. Był bowiem w istocie Bolko pochopny pierwszym wrażeniom, rączy do zbytku i niepohamowany, a często się zapędzał za daleko, nie patrząc za siebie. I wierzył ludziom do zbytku łatwo, a słowo padało nań jak iskra na wysuszone pruchno, wnet je zmieniając w żarzewie.

Wojśław hamował go, lecz ognistej natury tej nie zmienić już nie mogło; życie ją coraz namiętniejszą czyniło, bo w nim spoczynku nie miał nigdy i nigdy do rozwoju czasu.

Sieciech, gdy zdala nań patrzył brew mu się jeżyła; nie w smak mu była ta krew kipiąca, która i na niego wylać się mogła.

Z szyderskim uśmiechem, gdy Wojśław się uskarżał na popędliwość królewicza, Sieciech odpowiadał półgębkiem.

— Nie będzie winy niczyjój, gdy się gdzie na oszczep Pomorea natknie i zginie! — Tak zwykle kończą ci zapamiętali.

Sieciechowi może, koniec taki byłby na rękę wypadł i niebardzo nastawał, aby go hamować. Jedno dziecię królewskie skazane było i zamknię-

te, drugie samo na zgubę się mogło nastreńczyć, naówczas Sieciech całe owo królestwo miał w dłoni. Król dogorywał i w oczach gasnął, królowa miłowała pięknego wojewodę, nieprzyjaciół miał mnogich ale bezsilnych, wojsko liczne, wszystkie grody poobsadzone bratankami, stryjeczniemi, ciotecznemi, powinowatemi, ludźmi których on wyprowadził z niczego, dla których górą trzymał przynętę, jak ptakowi myśliwemu mięso, gdy ma z berła lecieć na upatrzone ptasze.

Gdy przy dźwięku dzwonów, granii rogów i okrzykach król na zamek wciągnął, naprzód zsiadł przed kościołem, aby się w nim pomodlić. Wprędce potem pieszo go na zamek wiedziono: dwu komorników słabego pana podręce podtrzymało.

Ci co króla Władysława nie widzieli dawno, litowali mu się spojrzawszy nań; blady był jakby krwi w nim już nie stało, a mimo otaczającego wesela smutny i przybity. Tylko gdy na Sieciecha swego spojrzął, na tę otuchę i podporę, twarz mu się nieco rozpogadzała.

Sieciech dnia tego podobniejszym był sam do króla, niż do wodza stojącego pod rozkazami pańskimi; on tu rozrządzał, on władał, jemu w oczy patrzano, i skinienia słuchano. W pośród wszystkich górował i postawą i twarzą i ubiorem wspaniałym, bo nawet płaszcz na ramiona wdział, nie mogąc szkarlatu podbity nim, a zbroję miał



świecąca srebrnymi gwoździami i łańcuch na szyi z wizerunkiem króla taki sam, jaki jeden tylko Bolko, syn królewski nosił.

W pięknej, męskiej jego twarzy widać było zarazem rycerza, silnej woli dostojnika i zalotnego czelaka, który sobie serca chciał jednać. Gdy nań nikt nie patrzył, przybierała ona wyraz przebiegłości i szyderstwa. Śmiechem rad pokrywał mądrość swą, z którą się nie zdradzał, chętniej udając nie wiele o co dbającego człowieka.

Na zamku gotowe już czekały stoły, służba z pochodniami dokoła. Dla króla i królowej osobne siedzenia szkarlatem obite na podwyższeniu stały. Bolko ze swemi u wielkiego stołu miał zasiadać, duchowieństwo starsze przy królu i królowej, jako im równe, miejsca zabrało: młodszy kler przodował u drugich stołów. Zwyczaj to był od Mieszka jeszcze zaprowadzony, że z książętą ich równano.

Przytomność króla i biskupów, nie bardzo się głośno dała biesiadującym weselić, skromnie i z cicha rozmawiano. Uczta też, z powodu obchodzonej wigilii, postna, wkrótce się zakończyła.

Wnet i znużeni drogą rozchodząc się poczęli każdy do izby sobie wyznaczonej, a Bolko z towarzyszymi w podworcie i na zamczysko, dokąd piękna, spokojna noc wiosenna wyzywała.

Sieciech, który królowi służył razem z podkomorzemi i podczaszym, oko miał na wsze stro-

ny. Znał wszystkich, patrzył wszędzie bystro, jakby z twarzy myśli odgadywać chciał i czytać,

W chwili, gdy króla wiedziono na spoczynek, skinał nań arcybiskup, Sieciech z poszanowaniem zbliżył się do niego.

— Dajcie mi ucho na chwilę, odezwał się staruszek — potrzebuję mówić z wami.

— Dzisiaj? — spytał wojewoda.

— Tak jest, dziś jeszcze, jest tego wielka potrzeba.

Spojrzał nań Sieciech ciekawie, skłonił się i odprowadziwszy królestwo oboje, wrócił do arcybiskupa, który sam już z kapelanem w pustej izbie nań oczekiwał.

Gdy się wojewoda ukazał, skinał na towarzysza swego biskup aby się oddalił. Sieciech stał przed nim, — piękne starca oblicze ubłogosławione było radością tej uroczystej życia godziny.

— Wojewodo — zawołał — od was zależy abym jutro szczęśliwym był jako nigdy.

— Odemnie? — zapytał Sieciech.

— Tak, bo wy władzę macie wielką nad sercem pana naszego, a potrzeba mi je skłonić do miłosierdzia.

Sieciech niespokojnie się poruszył, twarz zmarszczył, skłonił się.

— Król dla was, Ojeze przewielebny, uczyni i bezemnie, czego żądać będziecie.

— Bez was lub przeciw wam król albo nieuczyni nic, lub uczynionem gryźć się będzie, gdyż szlusznie w was szanuje podpórę tronu swojego, rzekł starzec.

— Pierwszym sługą jestem — odparł Sieciech.

— Bądźcież doradczą—dobrym, mówił O. Marcin. — Kto miłosierdzie czyni, temu ono będzie uczynionem.

Popatrzał sędziwy biskup na Sieciecha, lecz wejrzawszy nań, pogoda jego twarzy ustąpiła, rozlał się po niej frasunek. Zawahał się ze stanowczym słowem.

Po chwili mileżenia, począł powoli.

— Niesłusznym jest, że król jedno dziecko swoje drugiemu poświęca i srogo karze niewinnego, którego źli ludzie popchnęli do błędu: Dla Zbigniewa potrzeba prosić miłosierdzia i przebaczenia.

Wojewoda brwi ściągając groźnie, cofnął się krokiem.

— Ojcie przewielebny—odezwał się,— kapłanem jesteście, pasterzem naszym duchownym, życie w Bogu a naszego złego świata mało znacie. Zbigniewa rozdrażniwszy wypuścić jest to zwierzęciu dzikiemu dać wolność. Będzie godził na ojca, na brata, na mnie, byle siłę pozyskał mścić się zechce, państwo zakłóci.

Być to nie może! — nie może!

— A ja wam powiadam, wojewodo, — rzekł

starzec spokojnie,— iż to się stać powinno. Niech król nasz bogobojny nie ma na sumieniu krzywdy dziecka własnego. Więzień przez długi czas był pod oczyma mojemi, patrzałem nań; pobożny jest, cichy, biedny, i będzie wdzięcznym i posłusznym. Nietylko ja, ale wielu duchownych i świeckich prosić chcą o to króla, aby dziecku nie dał ginąć i pomsty Bożej nie ściągał na głowę swą i królestwo całe. Niewinnego iza waży wiele na szali sprawiedliwości.

— Lecz on winowajcą jest i wichrycieniem! — odparł Sieciech oburzony.

— Gdyby nawet nim był, młodość, niedoświadczenie i kara jaką poniósł starczyłyby już do obmycia go z winy — zawołał arcybiskup.

Na wojewodzie prośby te i dowodzenia, nie zdążył się żadnego czynić wrażenia.

— Ojcie przewielebny — rzekł Sieciech skłaniając głowę przed starcem — czyńcie jako chcecie, ja mojego słowa nie dorzucę, nie zgodzę się na to, aby gadzinę puszczać, gdy się ją zdusić może i ma w rękę, królestwo się rozpadnie, a nieprzyjaciele moi i króla, przystaną doń jak do chorągwi.

— Próżne to są obawy,—przerwał O. Marcin.— Mowicie o nim nie znając go. Pokorne chłopię jest.

— A na swobodzie zuchwałem się stanie — dodał Sieciech.

— Pomocy więc swój odmawiacie mi,—zapytał staruszek łagodnie, wojewodo, panie miły, pomnijcie słowa Chrystusowe, które miłosierdzie, przebaczenie i litość nakazują, to prawo nasze.

Sieciech milczał długo smutny.

— Nietylko prosić za nim niemogę,—odezwał się,—ale mówić będę przeciw niemu. Wyznaję to otwarcie. Sprawą duchownych jest rozgrzeszać, my miecz trzymamy, abyśmy karali.

Błada twarz staruszka zarumieniła się, podniósł się nieco, drgnął i hamując się mówić począł.

— Mądrość wasza jest z tego świata, fałszywa, zgubna i omylna. Przeto mówię wam, zawiadaj was rachuby i gdzie zbawienia szukacie, znajdziecie upadek. Nie jest danym człowiekowi widzieć naprzód, a kto myśli że widzi przyszłość myli się, i kto sądzi że zapanuje losowi, ludzi się, a ten tylko kto słucha głosu prawdy i idzie za nim, dojdzie do celu.

Jesteście wojownikami i wodzami wielkimi, macie w ręku wojska i skarby, władzę i siłę, nie myślcie przeto ażebyście wszechmocnymi byli. Bóg jeden wszechmocny. Gdy on rzecze w prochu się obróci wszystko.

— Ojczyźnie przewielebny—przerwał wojewoda—przebaczenie mi. Nie sprzeciwiałbym się woli waszej, gdybym nie widział niebezpieczeństwa. Kró-

la uspokajać potrzeba a nie poruszać — chory jest, znekany.

— Najlepiej go uspokoi, gdy sumieniowi uczyni zadość — odparł arcybiskup.

Sieciech potrząsnął głową.

— Pokoju mieć nie będziemy—rzekł,—zawrzesz wszystko i zamąci się, Ojczyźnie, zlitujcie się.

— Mylisz się, dziecko moje—przerwał O. Marcin—ukoi się wszystko gdy sprawiedliwości zadość się uczyni.

— Ojczyźnie! nie czynicie tego! — nie czynicie! — odezwał się gorąco Sieciech, schylając się do ręki jego.

Arcybiskup zlekka rękę usunął.

— Uczynię co mi mój obowiązek kapłański nakazuje, co każe sumienie,—rzekł spokojnie, niech będzie co chce, a niech się stanie sprawiedliwość!

To mówiąc powstał starzec podrażniony mocno, skinąwszy na stojącego w dali kapelana i niezwróciwszy się już ku Sieciechowi, który stał błydy i gniewny, hamując się tylko poszanowaniem dla duchownego należnym — wyszedł z izby.

Wojewoda postawszy chwilę, zawrócił się, niepewien zrazu dokąd ma iść. Podeszedł ku sypialni króla, ale tam O. Lambert głośno pacierze odmawiał, czasu których wchodzić nie było można.

Gdy się to działo w wielkiej izbie gościnnój, Bolko ze swą drużyną szedł w dziedzińce zamkowe, ciekaw wszystkiego co spotykał.

Śmiejąc się szli opatrując każdy kąć, zaglądając we drzwi wszystkie, mierzyli place na których wyścigi odbywać było można, liczyli ileby ludu mógł objąć gród obleżony. Wojna i wojenne sprawy były im ciągle na myśli.

Ktoś z towarzyszków opowiadał stare Gniezna dzieje i co między ludźmi o założeniu grodu chodziło. Postępowali tak rozpatrując się w starych domostwach, w przybudówkach nowych. Wieczornemu mrokowi przyświecająca luna zachodnia dość dobrze jeszcze rozpatrywać się dawała, a księżyc już z drugiej strony białymi promieniami rozbijał ciemności.

Idąc tak Bolko podniósł oczy i ujrzał przed sobą nagle z zakrat okna drewnianych wyglądającą twarz.

Raz tylko w życiu przemknęła mu się ona przed oczyma na pobojuwisku Kruszwickiem, spotkał się z nią na chwilę, i zamienił spojrzenie, które było jakby wyzwaniem do wiekuistego boju. Utkwiły mu jednak w pamięci te złe oczy, Bolko miał je teraz znów przed sobą. Przeczynał brata.

Zbigniew domyślił się go także, pobladł i drgnął, chciał się cofnąć, duma nie pozwoliła, pozostał w miejscu, aby nie okazać obawy.

Bolko wlepił w niego oczy błyszczące, patrzali tak długo oko w oko, wejrzeniem mówiąc do siebie; naostatek Zbigniew osłabł, zadrżał i spuścił powieki. Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia jasnego, gorącego, które nie tailo się z niczym, wybuchało myślą swą całą, czuciem całym.

Ci co otaczali królewicza, zrozumieć nie mogli tego wpatrzenia się w postać jakąś bladą, nieznaną, która dla nich powszednią, nিকেzmeną zdawała się istotą, niegodną pańskiego wzroku.

Spoglądali na Bolka pytając go co w niej znalazł iż go zatrzymała, to przypatrywali się więźniowi chcąc dojść co w nim było tak dziwnego, by godzien był ciekawości.

Mileżąc stali za królewiczem, szepejąc między sobą i rozpytując się, ktoby to mógł być? Nikt go nie znał.

Bolko prawie pewien był że spotkał brata, choć znaleźć go tu się nie spodziewał. Zapomniano o nim na dworze.

Sam nie wiedział jakie się w nim obudziło uczucie na widok tej istoty wynędzniałej, wyblądłej, z włosom najeżonem, zamkniętej za kratą—co, dla miłującego swobodę Bolka, sroższą się zdało kaźnią nad śmierć samą.

Budziła się w nim naprzemiany litość i wstręt. Radby go był widzieć wolnym, równym, zbrojnym, nie żeby go kochać może, ale by z nim

walczyć; to znowu miłosierdzie czuł nad nie-  
szczęśliwym, który życie męczeńskie wiódł w zam-  
knięciu.

Oba tak nieustępując wpatrywali się w siebie,  
Zbigniew nie cofnął się do izby; Bolko nie szedł  
dalej. Mimowolnie wyrwało mu się z ust.

— Ktoś ty taki?

Milczenie trwało chwilę długą, ciężki oddech  
tylko słychać było i ochryply głos odpowiedział.

— A ty?

— Nie znasz mnie?

— Nie.

— Króla syn jestem, rzekł Bolko.

Zbigniew rozśmiał się złośliwie, nie był pa-  
nem siebie, krew i żółć uderzyły mu do głowy.

— Byłem i ja synem króla — zawołał, a wi-  
dzicie żem dziś niewolnikiem za kratą. Patrzaj-  
cie, abyscie i wy tak nie skończyli.

Bolko rozśmiał się głośno.

— Ja? — zawołał ruszając ramionami, niebój  
się o mnie!

I dodał. — Widzieliśmy się już raz w życiu!

— Podobno — mruknął Zbigniew.

— I ty mi winienesz życie — mówił Bolko —  
bom ci je mógł odebrać.

— Wolalesz, bym zginął w łykach! — odparł  
Zbigniew.

— Nie wiedziałem co cię czeka, a krwią się

twą mazać nie chciałem, — rzekł królewicz postępu-  
jąc bliżej nieco ku oknu. — Żal mi ciebie.

Zbigniew widząc go zbliżającego się, cofnął  
się nieco za kratę. Walczył z sobą, twarz ukła-  
dał. Gniew, którym gorzał stłumił w sobie aby  
nie wybuchnął z niego i rzekł głosem cichym.

— Jeżeli żałujecie mnie proście za mną!

Bolesław usłyszawszy to, stał zadumany, gdy  
Zbigniew rzuciwszy słowo jakby z przymusu, co-  
fnął się od okna.

Królewicz podniósłszy oczy, nie widząc go,  
poszedł dalej, ale wesołość zastąpiło dumanie —  
towarzysze milczeli nie śmiejąc się odzywać. Kil-  
kanaście kroków dopiero odsunawszy się, zawo-  
łał Bolko.

— Gdybym mógł prosiłbym za nim.

— Ohydna twarz, szepnął Janko Doliwa, z za-  
kraty wydał mi się jak zwierzę dziki. Stworzony  
by siedzieć za kratą.

— Straszny bo jest! — potwierdził drugi.

— Któż w więzieniu pięknym być może —  
zawołał Bolko wstrząsając się całym. — Grób to  
jest!

— Raczej śmierć! — krzyknął Pruszyńka.

Chociaż na zamku było wesoło, oni smutni  
się powlekli dalej, widok tej młodej twarzy zwię-  
dlęj za kratą, zatrul im dnia wesele.

— Gdybym był królem, — odezwał się Bolko, —  
a zawinił mi człowiek, dałbym mu swobodę

i miecz i poszedłbym waleczyć z nim a ubić go, by nie więzić. Kaźń to straszna... Zbigniewa uwolnić potrzeba.

— Wicherzyć będzie — rzekł któryś z boku — zły słyszę jest.

— Będziemy mieć sposobność do dzieł rycerskich, — zawołał Bolko — i pokonamy go. Jest że co szlachetniejszego nad walkę otwartą i boje o lepszą?...

— Na tych wam i bez Zbigniewa zbywać nie będzie śmiejąc się dorzucił Janko. — Mamy Pomorze stanie go na długo, Czechów też, Ruś, a w ostatku Niemców cesarskich.

Weselsza rozmowa wszczęła się już o wojnach, Bolko z drużyną pociągnął na spoczynek do komnat, gdzie właśnie o cudownem oswobodzeniu napadniętego przez Pomorców Santoka, wieść radością przyniesiono.

### III.

Późno z południa skończyła się zawczasu poręba, długa uroczystość kościelna. Otworem stała nowa świątynia, jeszcze pełna wonności, kadzidel i jakby owiana modlitwami i pieśnią, które się w niej rozlegały. Kilku ludzi stało we drzwiach spoglądając na lśniące ołtarze. Cisza teraz uroczysta panowała w katedrze.

Wesoły gwar dolatywał tu z zamku, gdzie uczta zastawiona była ze wspaniałością na jaką wiek ów mógł się zdobyć.

Nie była ona wykwintną, dostatek wszystko zastępował. Nawet na twarzy chorego króla promieniała radość z tej chwały Bożej odnowionej, pomnożonej, ugruntowanej tu na wieki.

W otoczeniu królowej śmieszki słychać było i żarty, Bolko rozprawiał o łowach, drudzy jesz-

cze o Santoku. Od wczoraj najwięcej o nim mówiono.

Cud oswobodzenia zamku od napaści Pomorskiej przypisywano S. Wojciechowi, który nim dawał znak, iż to co uczyniono dla kościoła jego i zwłok, miłem mu było. Opowiadano o zjawionym nocą rycerzu, który Pomorzan już wdzierających się na zamek, odegnał precz mieczem ognistym i meztwem natechnął załogę.

Był to więc dzień powszechnego wesela, a jednak twarz ku której oczy króla i królowej najczęściej się zwracały, Sieciechowa twarz groźna była dnia tego i chmurna. Niepokój błyskał w źrenicach. Nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Król też trwożyć się tém poczynął.

Sieciech nie zwykł był łatwo okazywać fraunku, nie stało się nic złego, coby jawném było, wojewoda milezący, chmurny, bezmówny musiał mieć jaką zgryzotę tajemną.

Napróżno król podnosił ku niemu oczy, wyzywające myśl lepszą, próżno królowa powoływała go ku sobie i poufale mu coś szeptała, inni też otaczali poszanowaniem tém głębszem, że się doń trwoga mieszała, wojewoda pozostał jakim był, posepny wyraz twarzy wzmagał się jeszcze. Niekiedy z ukosa badający wzrok posyłał ku arcybiskupowi i odwracał go szybko.

O. Marcin promienił dnia tego, widać było jak

niewymownie. się czuł szczęśliwym; nie słyszał i niewidział co się działo wkoło niego, był jakby w niebiesiech modlitwą duszy dziękczynną.

Uczta miała się ku końcowi. Sieciech parę razy nachylił się do ucha królowi radząc mu spoczynek. Władysław posłuszny ulubieńcowi już się miał ruszyć, gdy arcybiskup podniósł się z siedzenia.

Wzrokiem powiódł po stołach, przy których zasiadali biesiadnicy, jakby ich powoływał ku sobie i ręce złożone do modlitwy podnosząc w górę, zawołał...

— Miłościwy panie, królu nasz!

Sieciech piorunującym rzucił nań wzrokiem, król usiadł zmuszając się do uśmiechu, błada twarz jego drgała obawą jakąś, oczy zwracały się ku Sieciechowi, i na arcybiskupa naprzemiany.

— Miłościwy panie i ojcze nasz, powtórzył starzec, Bóg nam dał ten dzień szczęśliwy, wielki, a ty, panie uczyni nam go dniem podwójnie drogim, dniem pokoju i łaski!

Ja i ze mną, młodzi słudzy twoi, miłujący cię, przychodzą do kolan twoich z prośbą.

Na skinienie arcybiskupa od stołów znaczna część biesiadników podniosła się tłumnie i garnąc się dokola przed królem stanęła. Była to wprawdzie część tylko przytomnych, ale do niej przyłączyło się duchowienstwo całe, wielu

z najprzedniejszych ziemian, i wszyscy Sieciecha przeciwnicy.

Wojewoda, który stał blisko téj gromadki, tak iż zdawać się mogło że do niej należał, cofnął się nagle, szum uczyniwszy aby na siebie obrócić uwagę i okazać że do proszących się nie łączył.

— Wszyscy jak nas tu widzisz miłościwy panie, zawołał głos podnosząc arcybiskup — błagamy cię, prosimy, zaklinamy, uczyn miłosierdzia, zwolnij sercu własnemu, domierz sprawiedliwość i łaskę. Więźniem jest syn twój, dziecko twoje, krew twa, przypuść go do serca i łaski, przebacz mu winę, uwolnij z więzów. Daj mu swobodę i droższą nad nią miłość twoją!

Król, na którego próżno Sieciech groźnie spoglądał, z radośnym twarzy wyrazem obrócił się ku arcybiskupowi, ale drżący długo przemówić nie mógł.

Oslabły, skłonnym był do płaczu, lzy strumieniem z oczów mu się polaly.

— Przebacz mu! przebacz! — wołano dokoła — kilku przykleknęło przed królem...

Królowa blada stała, spoglądając gniewnie na Sieciecha, który rozdrażnienia nie kryjąc czekał tylko, aż się król ku niemu obróci, był bowiem pewnym, iż bez jego rady nie się stać nie może...

Im dłużej czekał na to, tém burzył się więcej.

Ci co z nim trzymali poczęli zwolna ustawiać się koło niego.

— Czyż ojca prosić o to potrzeba? — odezwał się wreszcie król, azalibym ja nie przebaczył gdyby bezpieczeństwo państwa dopuszczało? —

Mówcie wy, sędziowie! — Nie zaburzysz to i nie zakłóci nam spokoju?

To mówiąc wzrok lekliwy podniósł ku Sieciechowi, który z głową spuszczoną stał niemy, nachmurzony, gniewny, ledwie mogąc się wstrzymać od wybuchnięcia.

— Miłościwy panie, rzekł wreszcie wyzwany wojewoda, miarkując głos, nie czyńcie tego! — nie czyńcie!

Zwierzę dzikie wypuście na siebie i na prawe dziecię swoje.

Król, czując że będzie popartym, śmielej nieco zwrócił się ku Sieciechowi, stając już sam w obronie Zbigniewa.

— Ten też prawym jest synem moim, pierworodnym! — zawołał głosem drżącym.

Z oczu wojewody skry się posypały, królowa rzuciła swój stół i siedzenie, podeszła bliżej poruszona, niespokojna, król wahał się, przelękły był.

— Miłościwy panie — począł arcybiskup. W imię Chrystusa ukrzyżowanego, w imię Wojciecha świętego patrona królestwa tego, w imię świętych apostołów, których dziś uroczystość ob-



chodzimy, zaklinam cię i błagam, usłysz głosy nasze, uczyn tak miłosierdzie jako pragniesz aby ci w dniu sądu straszego uczynioném było.

W niepewności wielkiej król stał strwożony, ręce które trzymał oparte na stole trzęsły się ze wzruszenia, łzy z oczów mu płynęły, gdy przez gromadę otaczającą króla przedarł się Bolko.

Z przestraczem jakimś spojrzal nań ojciec, lękając się może wymówki, gdy szlachetne chłopię rzuciło mu się do nóg i ściskając kolana, zawołało.

— Ojeze kochany, królu miłościwy, i ja za bratem proszę a kłaniam się do stóp twoich, przebaczone mu! — przebaczone!

W tém Sieciech nie mogąc się powstrzymać, krzyknął głośno.

— Prosisz za tym który ci odbierze królestwa połowę, spokój zamąci, a jutro cię wyzwie na rękę.

I rozśmiał się dziko.

— Królestwa mu nie żałuję, — odparł młody królewicz — jest ich dosyć do zdobywania po świecie, wyzwania się jego nie lękam! — Będzieli śmiały burzyć się niewdzięczny, pójdziemy nań, złamiemy go, ukarzymy...

Sieciech niemal pogardliwie spojrzal na chłopaka, który po raz pierwszy wystąpił tak śmiało i oczyma rzucił wymówkę Wojsławowi, iż dopuścił a dozwolił na to zuchwalstwo.

— Czyń, miłościwy panie, jak wola twoja, — zawołał Sieciech, — ale rącz pomnieć, że ja tój rady nie dawałem, żem był przeciwny i będę.

Umywam ręce. Stanie się złe, zaburzy się królestwo, zamącą ci pokój dni twoich — nie mnie winujcie.

Cofnął się w tył, król blady wahał się znowu co miał począć. Czytał w oczach królowej gniew i oburzenie, w oczach Sieciecha obrazę i złość; były to dwie potęgi, które nim rządziły. Tylko w swym ukochanym Bolku, w starym arcybiskupie, w duchowieństwie znajdował poparcie. Co miał czynić, nie wiedział sam... Pot oblewał mu skronie wychudłe, ręce załamał, wzdychał ciężko, oczyma, jakby wzywając ratunku, rzucał na wszystkie strony. Wolalby był nie mieć władzy w rękach, aby nie być zmuszonym do wydania wyroku.

W tém arcybiskup skinął ku braci swój przytomnej, wiedząc jak wielka była duchowieństwa przewaga; wystąpił Lambert biskup krakowski i przemówił do króla.

— Panie miłościwy, i ja łączę głos mój z głosem brata mojego w Chrystusie, Marcina — czyń miłosierdzie aby ci ono uczynioném było. Przebaczone, uwolnij!

Za nim wystąpił poważnie Paulin Ciołek Kruszwicki pasterz, i odezwał się głosem przejętym...

— Miłościwy panie, sercu twemu ojcowskiemu folguj, a próśb naszych wysłuchaj, przebac mu!

Stał już za nim w gotowości Dyonizy Poznński biskup, mąż w sile wieku, i zawołał głosem pełnym...

— Nie grożą ani postrachem stoją królestwa, ale łaską Bożą i cnotą ludzką. Cnotą jest miłosierdzie, łaska zyskuje się uczynkiem dobrym. Przebac mu panie, choćby wrogiem był, zwyciężysz go miłością, przebac!

Naostatek mniej pewnym krokiem, na skinienie arcybiskupa wysunął się i Filip Doliwa biskup płocki, głosem cichym, powtarzając za drugimi nieśmiało.

— Przebac mu panie!

Niektórzy się do nóg schylili, król płakał i lzy ocierał.

Sieciechowi druhowie i popiecznicy, których on napróżno oczyma popychał, aby występowali z nim razem, nie mieli odwagi iść wbrew duchowieństwu całemu, wstydziła się namawiać do okrucieństwa, gdy drudzy do łaski sklaniali. Stali mileżący tem się ograniczając, że nie szli z innymi prosić króla za Zbigniewem. Na obliczu wojewody krakowskiego, gniew pałał krwią po nim rozlaną. Pierwszy to raz publicznie złamany być miał wpływ jego i potęga. Nie szło mu już tyle o los Zbigniewa, co o własne upokorzenie.

Król był mu dotąd zawsze posłusznym, teraz szedł wbrew jego rady, napomnienia i przestrogi. Jawném było już że Władysław sercu ojcowskiemu ulegnie.

Na czele duchownych idąc, przystąpił bliżej sędziwy arcybiskup i podnosząc ręce, zawołał.

— Rzeknij słowo panie! — Wysłuchaj nas!

Pomilezawszy trochę, król zdobył się na mężstwo.

— Niech się więc stanie, jako żądacie! — niech się stanie! — rzekł głosem poruszonym.

I padł osłabły na krzesło.

Bolko, który stał przed ojcem, gorejąc z niecierpliwości, przybiegł doń, ucałował go w kolana i jak piorun z izby się wyrwał.

Łacno się domyśleć było dokąd i poco. Skinał na swoich po drodze.

— Do więzienia! — ze mną!!

Zrozumiał go arcybiskup, który pobłogosławił ręką zdala, już uchodzącego, pozostali wszyscy na miejscach, Sieciech tylko, niezważając na to że go ludzie oczyma ścigali, natychmiast precz wyszedł na swoich skinąwszy, i ci się z nim oddalili.

Bolko popędził wprost do więzienia brata. W pierwszej komorze straż napita usypiała, w drugiej cicho było. Przez szpary drzwi światło przeblyskiwało.

— Pruszyńka! — krzyknął Bolko, idź do Sta-

rosty, leć do do skarbcu, biegnij gdzie i do kogo chcesz, a przynies mi odzież taką, w którąby go można odziać przystojnie.

To mówiąc drzwi otworzył do izby. Zbigniew siedział na ławie, z twarzą palającą. Zobaczywszy brata wchodzącego, powstał.

— Wolnym jesteś — odezwał się Bolko, wolnym i przebaczone. Wstawiał się za tobą arcybiskup, duchowni, panów wielu i ja. Odzienie ci przyniosą, pójdziesz do ojca ze mną.<sup>2</sup>

To mówiąc z młodzieńczą gorącością rzucił mu się na szyję.

— Bądź mi bratem! — wykrzyknął wesolo — a chcesz mi być wrogiem, znajdziesz zapasnika nie do pogardzenia.

Zbigniew w tej chwili pierwszego wzruszenia szczerze może Bolka uściskał, szczerze zaklął się, iż mu do zgonu wdzięcznym pozostanie.

— Zrzucaj tę odzież, żywo! — wołał Bolko pójdziesz ze mną.

Zbigniew się zawahał nieco, po pierwszym wybuchu uczucie już ustępowało rachubie.

— Nie, bracie, — rzekł — nie potrzebuję się przedziewać, pójde takim jakim mnie tu znalazła łaska ojca, odartym i opuszczone, aby ludzie wiedzieli com cierpiał.

Nie rad był Bolko temu, wolałby był ażeby sobą nie czynił ojcu wymówki, nie stawał jako

oskarżyciel; lecz Zbigniew trwał w swoim postanowieniu.

— Prowadź mnie do ojca takim, jakim mnie tu znalazłeś — prowadź, idę — powtarzał.

Wahając się jeszcze Bolko go chciał uprosić o przebranie, gdy Zbigniew we drzwi uderzył i wyszedł za rękę go chwyciwszy, wołając. — Chodźmy.

Wzruszenie już minęło, Zbigniew myślał jak obudzić litość i pozyskać serca.

Straż zdziwiona, nie śmiejąc strzymywać więźnia, powiodła za nim oczyma.

Wyszli razem.

W wielkiej izbie, oprócz Sieciecha, czekali wszyscy; król najmniejszy szmer słysząc, oczyma bojaźliwemi rzucał ku drzwiom, gdy nareszcie postać ta, tak różna od uroczystości i bogato postrojonych gości świątecznych, w progu się ukazała.

Zbigniew dobrze rachował. Wytarta suknia jego siermiężna podpasana prostym rzemieniem, chodaki na nogach podarte, włos na głowie rozczochrany, blada twarz wychudła, niezgrabne ruchy zasiedziałego w zamknięciu człowieka — czyniły królewskiego syna jeszcze politowaniami godniejszym. W sukni książęcej byłby może obrażającym, w więzienniej odzieży tej pokutnika budził poszanowanie.

Spostrzegłszy króla, Zbigniew, który szedł

slaniając się krokiem niepewnym, upadł na ziemię przed nim i począł nogi jego całować.

Władysław wyciągnął doń ręce i pochwycił go, lkając do piersi przycisnął.

Królowa nawet, która dotąd złośliwe żarty stroiła, przybrała twarz surową, ale pełną wstętu...

Władysław długo przemówić nie mógł.

— Upadnij do nóg ojcu naszemu duchownemu,— zawołał,— i tym wszystkim co błagali za tobą im dziękuj, bo im winienes wolność twoją. Przebaczyłem ci. Pomnij iż łaską jesteś dzwignięty i przywrócony do praw twoich, kajaj się, bądź synem posłusznym, bądź bratu druham wiernym.

Zbigniew stał i słuchał z głową spuszczoną jak winowajca.

— Ojczy miłościwy,— wyjąknął w końcu głosem złagodzonem ale niemiłym.— Nieprzyjaciele twoi użyli mnie za narzędzie. Będę ci synem wiernym, będę bratu druham, będę królestwu twojemu obroną i służebnikiem. Mówiąc całował ręce areybiskupa, który też dodał głosem drżącym.

— Pomnij, pomnij, Kneziu Zbigniewie, iż wzięliśmy cię na sumienie nasze...

Otaczający poczęli wolać niektoży — Boże, zmiłuj się nad nami! — Inni.— Długi żywot królowi!

— Królowi żywot i panowanie!

Rozległ się okrzykami zamek i podwórza.

Oczy wszystkich zwracały się teraz ciekawie

ku oswobodzonemu więźniowi; litość miał nim się okazał, widok nędzy jego poruszył, jednak nie przystały doń serca.

Strasznym bo był ów wychowanek saskiego klasztoru, nagle przerosły na rycerza i powrócony do praw królewskiego dziecięcia. Nie nie pociągało ku niemu; wzrok dziki, uśmiech fałszywy, ruchy niezręczne, postać niezgrabna odrażała; siła tylko, którą zdawały się zwiastować rozrosłe barki, kazała się po nim spodziewać dzielnego rycerza.

Ze wstętem patrząc na biedną odzież syna, król natychmiast przykazał Ochmistrzowi dworu, aby mu dostarczono wszystko co dziecku pańskiemu potrzebném być mogło, a że pora spóźnioną była, poczęli wszyscy rozchodzić się na spoczynek.

Król skinął na komorników swych, idąc prawie ze strachem, bo pewien był że w komnacie swój znajdzie Sieciecha ze srogimi wymówkami. Wojewoda krakowski tak był gniewnym iż się nawet nie pokazał dnia tego królowi. Zapytał o niego bojaźliwie Władysław, powiedziano mu, że zawczasu odszedł do dworca swojego.

Osobne izby i budowle naznaczone były na zamku dla wielkiego wojewody, jak zwano Sieciecha, a raczej dla drugiego króla. Liczny jego dwór zajmował całe domostwo przypierające do królewskiego, a przepychem nie ustępował, może

przechodził pański. Więcej tu przybywało ludzi z prośbami, podarkami, pokłonami, niż do Władysława, który sam o niczem nie stanowiąc, wszystkich do Sieciecha odsyłał. Miał dlań słabość i obawiał się go razem, czując, że bez tej silnej dłoni królestwa nie utrzyma.

Wojewoda wpadł na dworzec swój gniewny i piorunujący, ludzi poroztrącał i długo chodził zamyślony po izbach pustych. Wnet co było druhów jego, popleczników, ujętych przezeń ziemian, zaczęło się ściągać do wodza swego. Wszyscy oni wtajemniczeni byli w sprawę wojewody i na powodzeniu jego przyszłość swą budowali. Między innymi wsunął się, powołany ochmistrz Bolka, który także pod rozkazami Sieciecha zostawał, choć nie całkiem mu był po myśli.

Spostrzegłszy jego, Strzyża zausznika swego, Barwienia i Smołę Starostów, Sieciech krzyknął wybuchając.

— Cóż rzeczenie na to? Nie dość było jednego zapalczywego mlókosa, dwu teraz będziemy mieli, obu wrogów i nieposłusznych! Król zbaiał, każdemu kto chce wodzić się daje!

— Uspokójcie się, uspokójcie, — przebaknął Wojsław zwolna, ze zwykłą sobie ociężałością — nie ani tak wielkiego, ni tak straszego się nie stało.

— Sądziś że ty, żem się ja uląkł tego? —

zawołał Sieciech ze śmiechem szyderskim. — Nie, nie boję się ale gniewam.

Wojsław jakby nie słyszał, dodał obojętnie.

— Król się o was w sypialni dopytywał pilno, rad był widzieć.

— Niech się obejdzcie bezemnie — rzekł dumnie Sieciech, — jak się obszedł bez rady mojej.

— Miłościwy Janie, — szepnął Strzyż, podchodząc doń bliżej, — azali tego nie widzicie iż ich dwu sami się rychlej pożrą niż tobie zaszkodzą? Na twoje koło woda.

Ramionami ruszył obojętnie Sieciech.

— Nie lękam się ich obu — rzekł, ale król nieposłuszny gniewa mnie. Gdyby nie ja, w coby już się dotąd obróciło królestwo jego? — alboby je koronowany król czeski zagarnął, albo Pomorcy złupili, a stary tułaby się gdzieś na Cesarskiej łasce. Mnie winien wszystko, a słuchać nie chce.

— Arcybiskup winien wszystkiemu, — dodał Smoła, — miękkie serce ma.

— A twardy upór, — rzekł wojewoda — pytał mnie wczora, oparłem się, przeczyłem, prosiłem, nie dał się złamać i na swoim postawił, ażeby mi pokazać, że Sieciech tu nic nie znaczy, a Sieciech im pokaże, iż czem był tém być nie przestał.

Pięścią uderzył w stół. Wszyscy stali milezący, Sieciech się rzucił na ławę.

— Odroczy się przez to co się ma stać, ale nie minie — rzekł ponuro.

Królestwo to nie ostoi się bezemnie.

— Co nam Zbigniew! klecha ten! — wtrącił mały, opasły Barwień gładząc bródkę rudą. — Co Zbigniew? — do parobka niż do królewskiego dziecka podobniejszy, a z oczów mu patrzy jak dzikiemu zbikowi.

Nie Sieciech nie odpowiadał, burzył się w sobie. W tém młody chłopak ze dworu królowej, przyszedł mu coś szepejąc do ucha. Odprawił go ruchem ręki, nie mówiąc, gniewny jeszcze na wszystko co go otaczało, lecz po krótkim namyśle wstał i wyszedł, zostawując swych przyjaciół bez opowiedzenia się im dokąd i na jak długo... Ci pozostali rozprawiając nad wypadkiem niespodzianym dnia dzisiejszego. Dworzannin królowej prowadził wojewodę bocznemi drzwiami do mieszkania Judyty.

Cesarska siostra właśnie poczęła była zdejmować z siebie klejnoty, w które się na uroczystość przystroiła, w sukni rozpiętej chodziła po komnacie gdy Sieciech się zjawił w progu. Po twarzy jego poznała gniew, z którego nie ochłonął jeszcze, ona też niemniej była oburzona i rozdrażniona.

— Być że to może, wojewodo, zawołała stając naprzeciw wchodzącego, ażebyście wy nie mieli siły zapobiedz temu, dopuścić to królewskie

szaleństwo? (W głosie jej przebijała się namiętność gwałtowna). Dopuściliście dla mnie srom, dla wszystkich niebezpieczeństwo! Ten nikezenny bękart będzie mnie śmiać nazywać matką? Ten parobek... ten niewolnik...

Słów brakło królowej, targała rękawy swjej sukni.

— Nie mogliście go kazać umorzyć w więzieniu, mając go w swych rękach? — czekaliście aż na wolność go puszczaą!! Dobrze, pięknie, wybornie się stało!!

— Któż się mógł tego spodziewać? — odparł Sieciech.

— Nie wiedzieliścież, wołała niemka brwi marszcząc, — że nieprzyjaciół póki w nim tehu staje zawsze niebezpieczny. Mogli mu oczy wyjąć ludzie, niktby nie rzekł nie, pozorby się znalazł. Wy! wy nie zdaliście się do rządzenia, wy, jak król słabi jesteście!!

Wojewoda patrzył na nią cierpliwie wymówek słuchając, czynił je pono i sam sobie.

— Miłościwa pani, — odparł gdy gniew jej głos zatamował, — zasłużyłem na te wyrzuty!. Bez tego mam dosyć wrogów, dosć na mnie rzucają czerwidel i potwarzy, nie chciałem dać powodu do nowych zaskarżeń i zemsty.

Śmiech królowej zły i szyderski przerwał mu mowę.

— Dbacie o ludzkie języki! niech szczekają

kiedy chcą,—zawołała.—Było je tylko posmarować złotem a przestali by lajać i poczęli głosić chwałę twoją. Teraz szydzić z was będą, boście słabi, a król nawet was nie słucha!

Ruszyła się żywo, rzucając na stół z brzękiem ciężki łańcuch złoty, który z szyi zerwała.

— Zaprawdę—dodała, wątpię już o waszym rozumie. Dopuszczać do tego!! to do was niepodobne! I cóż myślicie dalej? — co?

Sieciech się zbliżył i szeptać począł.

— Stało się. Teraz, ich dwu trzeba spuścić na siebie. Bolko gorący jest, zewrą się; był jedynakiem, teraz i pierworodnym być przestał, młodszym jest, za nim iść musi. Skłócać się, zjedzą się królewicze,

Potrząsając głową królowa niedowierzająco patrzyła, usta się jej krzywiły dumą jakąś i wzgardą.

— Tak, a nim się zewrą z sobą, wprzód na was, na mnie, na króla sobie ręce podadzą, pójda przeciwko nam. Was obalą...

Sieciech się uśmiechnął.

— Do tego nie dopuścimy, rzekł. Wojsko wszystkie ja mam w ręku. Grody obsadzone mojami, oni, ani garstki nie mają własnej. Starszyzna moja skinienia mego słuchać będzie.

Judyta poruszyła ramionami.

— I wyście już zesłabli, rzekła, puszczacie zwierza aby polować na niego, gdyście w klatce

mieli. To nierozum! — Myślicie że pójdzie na drugiego nie na was!

Zaczęła się przechadzać po izbie królowa, Sieciech stał i czekał aż się uspokoi.

— Źle się stało,—rzekł, lecz starego biskupa nikt zawczasu nie zbadał, wystąpił nagle, nie pora było hamować. Jeden taki nieokrzesany klecha, choć go odzieją za książećcia, nie nam nie uczyni. Nie lękam się go, a pozbyć potrafię. W Kruszwickiej bitwie ludzie go widzieli, rycerzem nie jest. Klerykiem lat osiem był i na całe życie nim zostanie, męstwa nie ma, rozumu niewiele, cała siła w języku. Puści się na swawolę teraz gdy swobodę poczuje... i zginie.

— Wszystko wam teraz dobre!—szydersko dodała Judyta.

Drzwi uchylono, pachole króla domagało się Sieciecha, król po modlitwach żądał koniecznie wojewody, nie mógł usnąć nie widząc się z nim, zbieżano cały zamek szukając; sługa pański dopominał się gwałtownie, by Sieciech szedł z nim do króla.

— Nie pójde dziś do króla! — zawołał rozkazująco wojewoda.—Powiedziecie iż mnie niema na zamku, zem odjechał. Mówcie co chcecie, nie pójde. Niech się frasuje król i niepokoi,—dodał, oparł się radzie mojej, niechże swych lepszych niż ja doradców się trzyma.

Królowa, której oczy zaświeciły, potakiwała mu, bijąc w ręce.

— Niech pokutuje stary — zawołała, — niech się gryzie. — I pacholeńcu na drzwi wskazała.

Nastąpiła cicha narada poufna, tak zgodna jak był gniew co ją poprzedził gwałtowny. Na twarzy królowej zjawił się wkrótce uśmiech, czoło się wyjaśniło, słuchając opowiadania Sieciecha. Podała mu rękę na przejeżdżanie, odprowadziła do drzwi i w prógu jeszcze zęgnęła szeptami długimi.

Wojewoda uwolnił się wreszcie, parę razy przywoływany do drzwi, odprowadzany i powracający. Judyta zasłonę drzwi podtrzymując nad sobą, patrzyła za odchodzącym, aż zniknął jęj z oczów. Sieciech potrzebował być sam z sobą, aby myśli zebrać i ukoić ducha.

Noe majowa cicha była i spokojna, zamek się cały do snu układał, gdzieniegdzie tylko z izb oświetlonych gwary spóźnione słyszeć się dawały. Na walach i u bram strażę chodziły ospale.

W drugim końcu podwórca, gdzie stało wojsko królewskie i czeladzie, gęśle brzęczały i półgłośnie śpiewy. Na mieście zdala psy poszczekiwały i pierwsze kury piałą ranną pobudkę.

Wojewoda mijając okna, w których świeciło, podniósł głowę.

Zdało mu się że widzi w nich cienie Bolka i Zbigniewa, z rękami zarzuconemi na ramiona,

jakby naradzali się z sobą, przechadzających się po izbie.

Stał i patrzył długo. Czuł w nich wrogów swych przysłych, a potrzebował uczynić nieprzyjaciół nie druhów, jakimi się być zdawali. Władza którą dzierżał, do tęg pory pocieszała go i ośmielała, nie mógł jęj postradać w jednę godzinie.

— Wam li to ma się zamarzyć porywać się na mnie! — mówił w duchu. — Wam! Niedoleżnemu temu królowi bez korony, dwu młokosom i kilku starym klechem?

Gdybym skinał tylko, jutro! obalę wszystko!

Myśl wzbiła się wysoko i gniew ustawać poczynał.

— Nie jestem że ja tu panem? — a oni na moję łasec? — do czasu!

Chodził tak długo, podpatrując co się na zamku działo, zbierając myśli, osnuwając na przyszłość plany. Gdy powrócił do izb swych zmęczony, już w nich nikogo, oprócz służby rozspanej nie było. Rzucił się na posłanie, pewien że jutro nagrodzi sownie za doznane upokorzenie.



#### IV.

Nie było w słowiańskich krajach ziemi, coby uporniej stała przy dawnym swoim pogańskim obyczaju nad Pomorze i plemiona, co je zaludniały. Jedno z nich noszące imię Wilków, nie nadaremnie je wzięło, jak wilecy bowiem czatowali na pastwę, jak oni drapieżni byli i łupu cheiwi, okrutni, przebiegli, niepokonani, choć często kłeski ponosili. Po każdej bitwie przegranej, cheiwi zemsty, gotowali się do odwetu. Pomiedzy resztami pogan pozostałych nad granicami, mieli potajemnych sprzymierzeńców, nie tajno im było co się u Polan działo, gdzie się obracały wojska, kiedy na nieopatrznych wpaść było można zniecka; korzystali często ze święcenia kościołów, z uroczystości, z najmniejszego odpoczynku i ubezpieczenia, aby się rzucić na rozbrojonych.

Gotowi też byli ze wszystkiemi się wiązać, służyć każdemu, kto ich wyzywał do pomocy, podać rękę chrześcianinowi, nawet każde zawichrenie wyzyskać, ale niezależności swój nie poświęcali nikomu. Jednego dnia Niemcom, drugiego Polanom biegli w pomoc dla łupieży.

W bogatych miastach ich nadmorskich handel, skupiał wielkie zasoby, wojna przynosiła łupy, zamożność dawała zuchwalstwo; naród był bitny, ochoczy do wojny i grabieży, zbrojny dobrze, a im dłużej niepodległości swój zdołał obronić, tém pewniej spodziewał się ją utrzymać.

Napróżno starano się go nawrócić, jedni po drugich szli doń apostołowie, niosąc wiarę chrześciańską, a kończyli wszyscy posłannictwo swe męczeństwem, uragowiskiem i wygnaniem. Ubodzy księża, opowiadający Boga ubogich, nie znajdowali posłuchu u pomorców, rabusiów, handlarzy, którzy bogactwa nad wszystko cenili. Poklónić się tylko mogli blaskiem okrytą potędze...

Wiara też pogańska ostatni tu znalazłszy przytułek, rozkwitła sił ostatkiem; stały świątynie stare na nowo przybrane, rozlegały się w nich pieśni odwieczne, wędrowali pielgrzymi z ziem nawróconych, pokryjomu przynosząc ofiary, a niosąc ztąd nowego ducha.

To gniazdo bałwochwalstwa i rozbojów zniszczyć potrzeba było i nieustannego wroga pohamować.

Władysław Herman walczył ciągle z tymi niewygodnymi sąsiadami, niedającymi spokoju, Sieciech chadzał na nich zwycięzko, wyprawiano oddziały rycerskie, które wpadały w głąb ich puszczy, plądrowały osady i miasta, ale podbić nie mogły. Poddawali się pozornie, gdy ich złamano, zdradzali wprędce, trzymali po grodach i miastach, najmniejszą zrzęczość wyzyskać umiając na korzyść swoją.

Od ujścia Wisły do Odry i aż do Łaby, zalegała wybrzeża ta dziec pogańska, niespokojąc ciągle ziemie sąsiednie.

Dość było wieści, że król i starszyzna gromadzą się do Gniezna na wielkie świętki, aby już pomorcy na zameczek graniczny, przez Polaków osadzone, Santok godzili. Rzucili się nań i tylko cudem a popłochem nocnym wyrugowani zeń zostali.

Napaść tę zuchwała pomścić zaraz było potrzeba, nie mogła ująć bezkarnie.

Jeszcze w Gnieźnie, gdy Sieciech dał się wreszcie przebłagać królowi i znowu opiekę swą nad nim rozciągać zaczął, uradzono wyprawę na Pomorzan. Bolesław jak tylko zasłyszał o tém, gorąco się do niej gotować zaczął.

Zbigniew byłby się może złożył tém, iż dworu ani czeladzi nie zebrał jeszcze, nie był gotowym, ale obok Bolka tak pochopnego do boju, wstyd mu było gnuśnym się okazać. Nowy króliewicz,

którego na równi z młodszym postawiono, łatwo mógł zgromadzić około siebie znaczną liczbę druzyny. Garnęli się ludzie do nowego pana. Nazajutrz zaraz po owym wieczorze, gdy z więzienia wyszedł na dworzec, zjawił się do niego stary sługa Marko Sobiejucha.

— Miłościwy króliewczu — odezwał się, śmiejąc i pomrukiwając, a ręką sunąc ku kolanom — miłościwy króliewczu, bodejbyś żył sto lat! Nie ma się z tém co taić, mogę to wyznać, że jeżeli komu, to słudze swemu winniście swobodę!!

Tu w piersi mocno się pięścią grzmotnął.

— Tak jest, tak jest — niech się miłość wasza ani śmieje ani dziwi temu — dodał Marko... — Ja to chodziłem tak około najprzewielebniejszego arcybiskupa, a kładłem mu to przez różne osoby do uszów, aż nareszcie wziął do serca. Niech to zostanie tajemnicą, chwalić się nie chcę, lecz w istocie winniście swobodę słudze swemu.

Zdumiał się Zbigniew i zadał, ale bezwstydnym człek kłął się i przysięgał, że mówił prawdę, a dochodzić kłamstwa było trudno.

Mówili drudzy że jako żyw, nigdy do ojca Marcina się nie zbliżał i słowa doń przemówić nie mógł.

— Teraz spodziewam się — dokończył Sobiejucha — że gdy wasza miłość odzyskaliście wszystko, o człowieku który za was życie dawał nie zapomnicie. Com wylał krwi pod Kruszwicą!

a tu — życie ważyłem. Gdyby nie cud a laska patrona mojego, jużby mnie dawno kruey za dziubali.

Czyby się czuł do wdzięczności Zbigniew, rzecz wątpliwa, ale gnuśnemu nieco i przebiegłemu panu, który się rad wyręczał drugimi, dogadzał Marko i służyć mu umiał.

Nikt lepiej nad niego nie dostał wszelkiego języka, nie podsłuchał zręczniej, nie wcisnął się śmieliej w kąć każdy i z bogatszym łupem nie przychodził wieczorem, umiejąc go kłamstwy przypawić. Nikt też lepiej i bezwstydniej pochlebiać nie potrafił.

W pierwszych dniach zaraz, gdy się poczęły rycerskie zapasy, gonitwy, bójki w których Bolko celował, a na które Zbigniew tylko zdala patrzeć musiał, bo do nich zręczności nie miał żadnej, zrodziła się sroga zazdrość w ekkleryku.

Brał przed nim wszędzie Bolko prym, ubiegał go, a choć o lat kilka młodszy, szedł przodem, u ludzi mir jednal; chwalono go, wynoszono, kochano.

Zbigniew się nastawiał, sztydzić próbował, iść z nim o lepszą nie zdołał. Dumny był, obraźliwy, mowę często złośliwą miał i nieopatrzną, ludzie od niego stronili. Na koniu, z łukiem, z oszczepem, z mieczem próżno próbował coś poczynać, na wstyd i śmiech tylko się narażał.

Sily miał dosyć, użyć jęj nie umiał, ani ochotę

okazał. Niecierpliwił się wnet i rzucał o ziemię co trzymał, klnąc a lając.

Gdy jechali razem, Bolko wyglądał królewsko, tamten na przystrojonego parobka, choć się obwieszał łańcuchami i świecidłami wszelkimi, w których się kochał bardzo. Dwór też jego co miał świetnie wyglądać, wydawał się cudacko.

Niepowodzenie to jątrzyło Zbigniewa; powoli poczał się coraz głośniej dopominać o swe pierworodztwo i gdzie tylko mógł zasiadać pierwsze miejsce.

Dwór jego nie ustępował kroku Bolkowej družynie, ztąd się rodziły właśnie i spory nieustanne.

Bolko mniej dbał o miejsce i śmiał się. Dwunastu towarzyszków jego patrząc na współzawodnika swojego pana niezgrabnego, nie szykownego, przezywali go Klechą, śmieli się po cichu z niezręczności jego, z dumy, a czasem drwiny przez usłużnych usta dochodziły, do chętnie nastawiającego na wszystko ucho Zbigniewa.

Między tymi dwoma obozami młodych synów królewskich, naprzód się objawiło współzawodnictwo, zrodziła zawiść i nienawiść. Dwór Zbigniewa na prędee zbierany, złożył się z niezbyt dorodnej młodzieży, ściaganiej ze wszystkich kątów, która odzież tylko jaskrawą się odznaczała. Marko Sobiejucha zajął tu miejsce przedniejsze, niby ochmistrza czy dowódcy. Gdyby największe

było nawet usposobienie do zgody, człowiek ten byłby ją potrafił zakłócić, tak umiejętnie brał się do tego.

Podzegał ciągle. Wieczorem zawsze przynosił panu do łóża, co się we dnie przyzbierało: jak to dworzanie Bolkowi wysmiewali niezgrabność pana, jak go przezywali Klechą, jak wyzywano go naumyślnie do rzucania oszczepem, aby upokorzyć, jak ten i ów to i owo powiedział, a Bolko się wszystkiemu cieszył itp.

Zbigniew widząc, że królewiczowi rycerzem trzeba było być koniecznie, odziewał się po rycersku, miecz sobie ogromny przywieszał, na konia siadał, toczyć nim próbował, ale ani ze szkapą, ni z mieczem, ni z oszczepem, ani z łukiem rady sobie dać nie umiał.

Rankami pokryjomu uczył się owych rycerskich sztuk od Sobiejuchy; ten gadał o nich dużo, wiedział wszystko, chwalił się bezmiernie, a na razie mu się zawsze coś psuło. Łuk niedopasował, strzały były nie dobre, oszczep nie przychodził do ręki itp. Zbigniewowi się również nie wiodło, konie go tłukły, zbroja mułała, miecz mu zawadzał, a choć siłę w ręku miał wielką, gdy oszczep cisnął, pewnie poszedł nie tam, gdzie chciał, a gdzie się go nikt nie spodziewał. Kaleszył konie i ludzi.

Sieciech w kilka dni popatrzwszy na to, co się działo, zrozumiał wszystko, i gdy znów kró-

lem kierować począł, narzucając mu wolę swoją jeszcze silniej — natychmiast doradził Władysławowi, aby braci obu razem na pomorców wyprawił.

Na pozór słusznem to było.

Król dla przejednania posłuszeństwem faworyta i na gorszeby się był zgodził, tém bardziej na myśl tak zbawienną, która braci pobratać miała. Naprzód Bolkowi o tém oznajmił, Bolko pobiegł z nią do Zbigniewa.

Dwa silne pulki konne pancerników stały w pogotowiu, najdoborniejszy lud, najdoświadczeńszy żołnierz, najupodobańsi Bolkowi rycerze, którzy już z nim nie jeden raz robili wycieczki. Jeden oddział jeszcze stojący pod Santokiem zabrać z sobą mieli i ztamtąd wyruszyć. Bolko pragnął dotrzeć bodajby do morza, do któregoś z bogatych grodów, do ubiegnięcia łatwych, bo ludność ich dla handlu, częściej na morzu w łódkach, niż na wałach siedziała. Miasta były warowne, bogate, lecz letnią porą nie ludne.

Pierwszy ze swą drużyną gotów był Bolko i ruszył zaraz do Santoka. Zbigniewowi zabrakło ludzi do orszaku, jaki z sobą chciał prowadzić, ale brat nań dwa dni czekać przyrzekał, dając czas do zebrania koni i czeladzi. Marko po swojemu się ruszał, krzyczał, biegał, kłął, a zawsze mu się nie wiodło nie z jego winy, przez ludzi. Ostatniego dnia Zbigniew opóźniony, puścił się brata doganiać.

Marko nie odstępował go na chwilę, on i po-

słuszny a głupawy Zahon, jechali przy królewiczu. Zahon wioził mu hełm, gdy zaciężył, to miecz, gdy się plątał i po koniu tłukł, to tarcz małą malowaną, z którą Zbigniew nie wiedział, co robić.

Nie nawykłemu do żelaza ciężyły i tak blachy, które na sobie mieć musiał, wadziła ostroga u nogi, rozpinały się na nim sprzączki, napierśnik dusił, pas nacierał, a i konia było mu dobrać trudno.

Szczęście owo wielkie, które spotkało Zbigniewa, na chwilę prawie nie odmalowało się w jego twarzy. Posepny był, gniewny, szyderski, mrużący na wszystko, nikt mu dogodzić nie umiał. Jeden Marko ze swym językiem najlepiej mu do smaku przypadał. Nie żałował też dla pana przypraw smakowitej i bluzgał na wszystkich. Dworu tajemnie od niego się dowiadywał królewicz, w jakich łaskach był u królowej Judyty Sieciecha, który niekiedy do późnej nocy sam na sam z nią przesiadywał, jak znowu król słabym był i posłusznym dla wojewody, który czynił z nim, co chciał; jak się wychowywały królowny, co poczynały niewiasty, otaczające królowę, któremi się ona posługiwać umiała, kto z wojewodów wojewodą trzymał i był mu zaprzędany, a kto z nim zadzierał.

— Miłościwy królewiczu — odezwał się w drodze Marko Sobiejucha do pana, gdy nieco za

sobą orszak swój zostawili, ciągnąc lasem piaszczystym — miłościwy panie, gdy da Bóg, staniemy w tym Santoku, a przyjdzie ciągnąć dalej, jak miłość wasza postanowi co do dowództwa?

Zbigniew wprawdzie sam czuł, że na dowódcę się nie zdał, ale słuchać też nikogo nie był rad. Pomyślał nieco.

— Juściż mnie jako starszemu — odezwał się — należy dowództwo, nie komu. Inaczéj nie powinno być. A coż mam począć?? co?

— Co? jak? — wyrwał się Marko. — Jeżeli miłość wasza wprawy nie ma, toć mnie na swém miejscu może uczynić namiestnikiem. A ja! ja, już sobie radę dam...

Nie na takie się to rzeczy patrzyło. Nosa mam, ludzi w garść potrafię wziąć. Starszemu królewiczowi dowództwo przynależy. Jak się miłość wasza raz dasz wziąć pod rozkazy, wszystko przedadło. Starszeństwo najpierwsze prawo na świecie.

— To też spodziewam się, że ten gołowas mi przeczyć go nie może! — odezwał się Zbigniew.

— A jakby się oparł? — spytał Sobiejucha.

— Nie poddam mu się — rzekł Zbigniew.

— Nie potrzeba, nie można, nie godzi się poddawać — wołał Marko — przy waszej miłości musi być dowództwo. Bolka trzeba nauczyć

posłuszeństwa. Kiedyś juści wy nie kto, weźmiecie całe to królestwo, będzie musiał się poddać i słuchać, a siedzieć na swym udziale cicho i powołany iść pod chorągiew!

Myśl ta wyłącznego panowania jeszcze była Zbigniewowi nie przyszła, pochlebiała mu.

— Król stary, niedołęga, do niczego, Sieciech jawny zdrajca — kończył Marko — trzeba zawczasu myśleć o sobie, bo inaczej Bolko i jego ulubieńcy was uprzedzą.

— Nie dopuszczę — mruknął Zbigniew.

— Zręczny jest i mężny, ja mu tego nie przeczę — mówił Marko — na żołnierza dobry, na wodza się nie zdał. Zapalczywy, prędki i łatwowierny.

E! e! Wasza miłość nam będziesz panować! Inaczej nie może być!

Przez całą drogę tak Sobiejucha przygotowywał swego pana.

Nad ranem stanęli w Santoku; gdzie już do wyruszenia wszystko było pogotowiu i ciągnąć trzeba było spiesźnie, aby pomocy nie dowiedzieli się zawczasu o wyprawie.

Zamczysko owe, które kluczem Polski od pomorza zwano, nad samą rzeką położone, a raczej dwoma obwarowane, mocne było tylko moczarami i błotami, które je dookoła otaczały.

Wąły i zaborole miało dosyć krzepkie, lecz

rozległą zajmując przestrzeń, gdyby nie woda, trudneby było do obrony.

Roilo się tu teraz rycerstwem, a żołnierza takiego nie widział Zbigniew jako żyw, bo i pod Kruszwicą równego mu nie było.

Pancernicy chłop w chłopa, na koniach krzepkich, zręczni, wojacy już doświadczeni, śmieli się tak do wojny, jakby do najmilszej zabawy. Bolko wcześniej tu przybywszy, już ich był opatrzył wszystkich, rozporządził, ustawił, podzielił, którzy przodem iść mieli, jacy na tyłach.

Większa część tych ludzi znała go i kochała, bo był jak bardzo młody, tak nad wiek swój dzielny i roztropny.

W dolnej izbie na zamku, niepoczesnej weale, bo tam oprócz załogi i starosty, nikt nigdy nie przemieszkował, Bolko spał, jadł i przyjmował starszyznę. Po ławach i stołach tyle było hełmów, rękawic i łuków, co misek próżnych; w kątach stały oszczepy i pociski snopami. Odzież leżała po kątach, ruch wchodzących i wychodzących drzwi nie dawał zamykać.

Bolko na ławie siedząc jak na koniu, przyjął przybywającego Zbigniewa, który zdala się rogami otrąbił i wciągnął z wielką uroczystością na zamek, miecz, jak zwykle, każąc nieść przed sobą.

Że nikt go w podwórzu nie przyjmował,

a ludzie się po troszę śmieli, wszedł do izby nadęty, z przybraną powagą wielką.

— No! bywaj! bywaj! A toć czas ruszać! Wilki te niepoczciwe, jak skoro się o nas dowiedzą, pierchną w gąszczu i nie złapiemy ich. Im dłużej tu stoimy, tém gorzej dla nas. Na koń! na koń!

Gdy Bolko tak wywoływał, a ludzie głos jego posłyszawszy, ruszać się poczynali, Zbigniew stał przed nim nadąsany.

— Ja spocząć muszę — rzekł — a no, potem, zobaczymy.

— Jakto, zobaczymy? — odparł Bolko. — A cóż tu masz patrzeć, gdy wszystko opatrzone?

Zbigniew spójrzył bystro z pod brwi zmarszczonych.

— Juściż ja opatrzyć muszę, bo przy mnie dowództwo — rzekł.

— Dowództwo! przy tobie? — wykrzyknął Bolko ze śmiechem. Nauczże się wprzód na koniu siedzieć, oszczepem władać. Tyś jeszcze nie wojak, pierwsze pole twoje, a już ci się dowództwa zachciewa? Chyba, żeby nas w puch rozbito! Nie znasz ani pomorców ani ich kraju.

— Ja starszy pod nieczyje rozkazy iść nie myślę — zawołał dumnie Zbigniew.

— No to siedź w Santoku i zostań! — rzekł

Bolko — ja też pod twoje dowództwo nie idę. Tyś nie żołnierz...

— Alem syn królewski jako i ty — i starszy — krzyknął Zbigniew.

Bolko się zmarszczył trochę.

— Ja ci nie zaprzeczam ani synowstwa, ani starszeństwa, aleś ty na wojnie klerykiem — zawołał Bolko.

Wyraz ten dotknął mocno Zbigniewa, krew mu uderzyła do głowy, padł na ławę i podparł się na stole.

— Czyż co chcesz, jakom rzekł, inaczej nie będzie — zakończył.

— No, to nie będzie nie! — krzyknął porywczczo Bolko. — Ludzi szkoda, ciebie żal. Łeb ci utną. Wprzód się trzeba wojny nauczyć, nim się wodzić zechce... Na zgubę ludzi prowadzić ja nie dam.

— Jeżeli sam wojny nie znam, znajdę takiego, co za mnie będzie znać i powiedzie, ale z mej ręki — odezwał się starszy.

Bolko się z ławy zerwał.

— Na prawdęś to rzekł? — spytał.

— Nie na żart — zamruczał Zbigniew, któregoto twarz zań odpowiadała.

— No, to ja ci też powiem na prawdę, że pod tobą ani wodzem z twojej ręki, ja nie idę. Wezmę sobie połowę ludzi, bierz ty drugą i próbujmy szczęścia.

Zbigniew milczał.

Marko Sobiejucha stojący w progu, dał znak głową, aby tego nie przyjmował...

— Ja z połową nie pociągnę, bo siła mała — odezwał się starszy.

— No, to zostań w Santoku, począł — śmiejąc się Bolko — dla mnie połowy dosyć, cały powrócę i łup jeszcze przywiozę.

Cheiał wychodzić w podwórcę, bo go już piekło i pilno mu było, gdy Zbigniew go zatrzymał.

— Ja cię ztąd nie puszcze — nie pozwolę — jam tu dowódcą nie ty.

Bolkowi krew zawrzała.

— Hej — zakrzyknął — ze mną dobrém słowem wiele można dokazać, ale rozkazywać mnie i siłą brać! Nie twoja rzecz! Wierz mi, nie próbuj się ze mną, nie zadzieraj z bratem! Gdyśmy cię z więzów uwolnili pokornym byłeś, takim zostań, lepiej ci z tém będzie. Równym cię chcę znać, wyższym nie!

Młodemu chłopcu z oczów ogień się sypał, drżał mówiąc, postawę miał mężką i rycerską, która postrach wrażała. Zbigniew pobladał i trząsał się.

— Com rzekł, to strzymam — odezwał się zniżonym głosem.

— A ja com powiedział od tego nie ustąpię — odparł Bolko śmiało.

— Ni ja.

— Ani ja!

Stali naprzeciw siebie, oczyma się mierząc wyzywającemi, Bolko uśmiechał się pogardliwie, odwrócił tyłem do Zbigniewa i powoli ku drzwiom mierzył.

Wyszedł w podwórcę, sypnęła się za nim drużyna, otaczając go, gniewna, rozsierzdzona, z rękami na mieczkach. Gdyby był słowo rzekł, skinał, rzuciliby się i siekli.

W tém Bolko dwu przedniejszych tysięczników kazał pozwać do siebie. Stawił się pierwszy, nakuliwając trochę, Groza stary żołnierz, który nogę miał dawniej oszczepem przebitą, ale na koniu tego czuć nie było.

— Moje dwa pułki, niech się sposobią do pochodu — zawołał królewicz — brat mój pono na swą rękę chce szczęścia próbować swoim dworem; połowa ludzi niech do niego odejdzie, my zapolujemy sami.

Groza brodę pogładził.

— Już ludziskom się tuży i dłuży — mruknął — czasby iść.

— Pójdziemy zaraz — rzekł Bolko.

W tém Zbigniew się oknem wychylił z izby.

— Ani się mi waście ruszyć nogą — krzyknął — ja tu dowodzę, nie kto inny — ja!

Groza spojrział nań, a potem ku Bolkowi obrócił. Ten zamilkł nieco.

— Jakże się wam zda? — spytał Grozy. — Ty sięcznik sam nie wiedział co poczynać. Marko już



wprzódę się z nimi rozmówił, ludzie wahali się kogo słuchać, za kim iść.

— Miłościwy panie — odezwał się Groza, kłaniając królewiczowi — uczynicie ład między sobą sami — to nie nasza sprawa.

— Mnie znacie — odezwał się Bolko do swoich, wskazując potem na wyglądającego oknem Zbigniewa: — A tego znacie wy? Bylli kiedy z wami? bił się? Wiecie, czy go kto nad wojakiem postanowił?

Starszyzna stojąc z odkrytymi głowami, patrzyła po sobie, spozierała na Zbigniewa, ramionami dzwigała — nikt się odzywać nie śmiał.

— My tylko was miłościwy panie znamy — rzekł Groza po namyśle.

Inni za nim śmieliej powtarzać zaczęli toż samo.

— Dwa pułki do mnie, wyjdziemy natychmiast! — powtórzył Bolko.

W tém z za Grozy wysunął się stary Wyga, który graniczne lasy najlepiej znał, a na zwiady go zawsze posyłano. Chodził on wczoraj w okolicy i dopiero co powrócił. Chłop był odziany umyślnie, że go za pomorca rychlój było można wziąć, niż za chrześcijańskiego człowieka; zarosły, spoglądający dziko. Umiał się on nawet do miast i na zamki dostawać w pomorzu, w Kołobrzegu bywał nieraz na targach, w Szczecinie i Julinie, wędrował czasem aż do ujścia Łaby, znał wszyst-

kie gościńce i ścieżki w tamtym kraju, a wierny był swym panom tak, że słowo jego nie zawiodło nigdy. Wyga stał na palce nasiękiwanój oparty, skłonił się Bolkowi i pocesał po głowie ogromnymi okrytój włosami.

— Wróciłeś przecie Wyga! — zawołał Bolko.

— Dziś dopiero — odezwał się głosem grubym posłaniec.

— Cóż słyhać?

— Siła pomorców się zebrało, bo się gdzieś napaść gotują — zaczął Wyga — nie można przeciw nim z małą garścią iść. Przemko dowodzi, ludzie najlepsi, czatują jakby się czego spodziewali. We dwa oddziały na nich mało!

— We dwa? moje? — pochwycił Bolko.

— Mało — odezwał się Wyga — kto ich wie? Może języka już dostali, obstąpią i przemogą, z dwoma iść bez odsieczy, chyba na pewną zgubę.

I głowę potrzasał stary.

Królewicz się rzucił.

— Nie liczba stanowi — wtrącił — a no ręce i serca.

— Ale siła złego, dziesięć na jednego — odezwał się Wyga — co nadto to nie można. Chyba życie niemile. Całą siłą na nich uderzyć — przełowaną nie — nie!

Stary wciąż to powtarzał — nie! nie!

Bolko rozgorączkowany nogami bił o ziemię i miotał się.

— Prawisz nam strachy! — krzyknął.

— Miłościwy królewiczu — zagadał Wyga z pokłonem poufałym starego sługi, który zna serce swego pana — nie gorącejcie się! jam nie winien, a prawdę mówię. Darmo się silić i ludzi tracić. Ja się wam na drodze położę, a nie puszcze.

Przemko zwąchał, że się coś zbiera w Santoku, czeka, z małym czym porywać się, to iść na zgubę.

Z gniewem prawie odwrócił się Bolko od niego, Zbigniew, który z okna wywieszony patrzył, rad był, że się tak składało.

Żołnierze byliby Bolka posłuchali wszystkie, gdyby na nich skinął tylko, starszyczna na rozum biorąc, wahała się i naradzała.

Oba młodzi królewiczami byli, nie wiedzieć było kogo słuchać, starszego się lękali obrazić, aby się nie mścił; młodszego kochając, nie radzi byli opuścić. Patrzali na siebie, mruzczyli, łokciami się popychali, odzywać się nie śmiał żaden. Marko do roboty językiem najwprawniejszy, chodził pomiędzy nimi po słówku sypał i podburzał.

Bolko się znalazł w położeniu, w jakim nie bywał jeszcze, z gniewu oszczep, który był w rękę wziął roztrzaskał i dwie jego połowy daleko rzucił precz od siebie.

Odszedł nazad do izby i na ławie przysiadł

chwilę. Drużyna jego, która się więcej niż on sam burzyła, do progu się cisnęła, czekając rozkazów. Oczów ze swego pana nie zdejmowali, czekając tylko, a nuż się odezwie, aby porządek po swojemu uczynili. Zbigniew sam nie ostalby się był cały przed nimi. Leczył Bolko zadumawszy się, nie dał żadnego znaku.

Wykarmiony na rycerskich pojęciach szlachetności, na powieściach o wielkich czynach męstwa i poświęcenia, oburzał się niewdzięcznością Zbigniewa. Rachował, ratując go na uczucia braterskie, na serce jego, a znajdował dumnym, zawistnym i niechętnym, godzącym już na krzywdę tego, któremu miłość był winien. Serce jego wzbierało zgrozą, na widok człowieka, który w samym początku już godził nań i sypchał z drogi.

Boleśniej dotknąć go nie mógł Zbigniew, jak odbierając mu zręczność zapolowania na tę dziec, nad którą zwycięstwo zdawało mu się pewnym.

Przebojem iść, z małą garścią ludzi, gdy Wyga i inni odradzali, nie chciał Bolko. Wstał z ławy, skinawszy na swoich.

Zbigniew sparty jeszcze w oknie, patrzył na zwolna szykujące się oddziały.

— Ostatnie słowo — zawołał Bolko, wyszedłszy w podwórce — nie ustapicie mi dowództwa?

— Nie — rzekł Zbigniew gniewnie — nie — stokroć nie.

— Pruszyńska! — odezwał się, odwracając

Bolko — konie moje dawać. Drużyna do mnie! Wracamy do Płocka. Chcecie iść, z Bogiem, zostawiam was, wszystkich ludzi i dowództwo. Szczęścia życzę! ruszajcie!

Skinął na swoich, którzy żywo pobiegli chwycić rozrzucony oręż, wdziewać hełmy, narzucać łuki na plecy i wynosić się z izby.

Niektórzy śmieli się szydersko, wszyscy radzi byli, że się pan ich pod rozkazy brata nie oddał...

— Groza! — odezwał się Bolko do starego tysiącznika, zostawuję wam dowódcę, idźcie z nim. Ja nie nawykłem iść pod cudze rozkazy, wracam do ojca!

Podprowadzono mu już konia, który się rwał niecierpliwie. Kropierz z niego kazał zdjąć Bolko, sam część zbroi odpiął i rzucił, rozkazawszy wieść za sobą czeladzi, lekki oręż zostawił tylko przy sobie i skoczył na konia. Dwunastu jego towarzyszków, dwór i czeladź śmiejąc się wesoło, opuścili zameczysko, wprost jadąc w lasy, aby po drodze się łowami zabawiać.

Zbigniew z Markiem i starszyzną został na zamku sam.

Sprawa szła nie po myśli, choć na pozór zwyciężył. Marko, który poduszczał do sporu, gdy przyszło ruszać samemu na dzikich pomorców, stał się dziwnie ostrożnym i ociągającym. Starszyzna zniechęcona odjazdem królewicza, szemrała,

że jój Klechę za dowódcę dano, który wojny nie rozumiał. Tém nazwiskiem już go niemal wszyscy nauczyli się mianować. Ci, co zwykli byli chadzać z Bolkiem tylko, wprost odmawiali posłuszeństwa i warczeli. Z pozostałą resztą iść nie było można. Zbigniew miał przed sobą, że i ojca gniew ściągnie na siebie i starszyznę wojskową zrazi. Zawołał do kęta Marka na radę.

— Co poczynać! — spytał — iść? nie?

Ów rycerz tak śmiały nie dawno, znacznie był ostygl, marszczył się i rozmyślał.

— Miłościwy panie, gdybyśmy ludzi podostatkim mieli? czemuż nie? Poszlibyśmy i pobili. Nie takie my rzeczy na Węgrzech i z cesarzem dokazywali! Padlibyśmy na nich i stratowali pogan — a no, z kim tu iść? ludzie jacyś niechętni, podejrzani, nuż zdradzą? Ja o moje gardło nie stoję, ale o waszą miłość, przyszłego króla naszego? Nuż nieszczęście jakie? nuż zasadzka? Pomorey są rozbójniki chytre i przebiegłe. Sam ten Wyga wyznaje, że bodaj czekają, gotowi zasadzkę uczynić w lesie! Ja tych lasów nie znam, ludzi nie znam, gorzej, bo im z oczów patrzy zdrada!

Rozstawił ręce szeroko i zamilkł. Pomimo ochoty ogromnej, zdawał się zrezygnowany na powstrzymanie się od wyprawy. Zbigniewowi odpadła téż chęć do walki. Powołano starego

Grozę, który przyszedł, oszczepem się podpie-  
rając.

— Mówcie stary, co radzicie? iść, nie iść?

— Miłościwy panie — odezwał się tysiącznik —  
gdyby królewicz Bolko z nami był, rzekłbym  
iść. Jak go nie stało powiem, iść mała rzecz,  
myśleć trzeba, jak powracać.

Obraził się królewicz i strząsnął.

— Że nam jednego młokosa nie stało, dla  
tego się już ważyć nie możemy? — zawołał Zbi-  
gniew.

— Prawda, że on jeden i młody — rzekł  
Groza — ale za dwudziestu stanie; ludzie za nim  
idą inaczéj, ciągnie ich za sobą... Bez niego,  
jak bez ręki.

Zbigniew wargi zakąsił. Drudzy ze starszyny  
także niezbyt wielką ufność w swą siłę okazy-  
wali. Jeden z nich popatrzawszy na niebo, zapo-  
wiadał srogą burzę, drugi nastawał, że pomorcy  
pewnie wiedzą o wyprawie, inni mówić nie chcieli.  
Rozprzegąło się wszystko.

Zbigniew usiadł zniechęcony na ławie, prze-  
siedział do wieczora, dotrwał na zamku do rana,  
i namyśliwszy się, że winę całą zrzuci na Bolka,  
pułkom z sobą kazał nazad do Płocka powracać.  
Wyprawa spelzła na niczém.

## V.

Na płockim zamku wieczorem dnia jednego  
letniego, cicho było jak zwykle; śpiewy tylko  
niewieście rozlegały się około komnat królowej,  
gdzie Judyta, trzy jej córki, liczny dwór żeński  
i mężki, prawie zawsze zabawiał się dosyć wesoło.

Dwa otoczenia, króla Władysława i królowej  
dzieliły się od siebie najczęściej, jak dwa obozy  
nieprzyjacielskie. U królowej liczba cudzoziemców,  
niemców i niemiek szczególniej przeważała, mło-  
dzieży węgierskiej, sasów i frankonów kręciło się  
dużo, a była to drużyna pusta i próżniacza, dla  
której gędźba, śpiewy, pląsy i umizgi całe stano-  
wiły życie. Po królewsku, wspaniale, dostatnio,  
świetnie odbywały się zabawy wieczorne, ciągną-  
ce często do późnej nocy; gdy na smutnym kró-

lewskim dworze panowała cisza, a Władysław modlił się, trwożył i chorzał.

Całe dni schodziły mu na myślach tęsknych, w których przewidywał przyszłe zawikłania i kłęski. Wróżył zawsze co najgorsze.

Dopóki Zbigniew był zamknięty, płakał nad tém dziecięciem swém pokrzywdzoném; gdy go uwolnił, lękać się począł, ażeby z Bolkiem nie waśnili się i nie spierali, lękał się aby nie zniechęcili Sieciecha, lękał aby wojewoda zrażony nie odstąpił od niego. Obawiał się dzieci własnych, bał wojny, niezgody, niepokoju; ze wszystkimi radby był żyć w zgodzie, nikogo nie zniechęcać, okupić ciszę dla dni starości swój.

Widma chorobliwej wyobraźni, przeczucia straszne go prześladowały. Nocami sny miewał przerażające, po całych dniach gryzł się podejrzeniami i przywidzeniami. Strapionego ducha ledwie na chwilę ukoila modlitwa, troska powracała znowu. Dręczył się sam.

Sieciech wezwany do rady zawsze miał jedno na ustach, użycie siły i grozy, król właśnie wstręt do obojga. Obawiał się skutków.

Wieczora tego zostawiony sam sobie z milezającymi urzędnikami przybocznymi, król opanowany był przez te widma straszliwe kłęk i zawichrzeń; gdy komornik wbiegł oznajmując o Bolka powrocie. Nie wiedział więc nic nad to, że król wczoraj sam przybył z drużyną, a wojska przy nim nie było.

W pierwszej chwili przeraził się król, myśląc że pomorey ich pobili, a Bolko ledwie uszedł z życiem. Cały drżący posłał po syna, aby mu się natychmiast stawił.

Prosto więc z konia, jak stał, wpadł Bolko do królewskiej komnaty, i przybiegł do ojca, który, nim się doń odezwał, długo w objęciach go trzymał.

— Ocalony jesteś! — zawołał — Bogu niech będzie chwala! a Zbigniew?

— Nie byliśmy na żadnej wyprawie — odezwał się Bolko. — Co Zbigniew uczyni, ja nie wiem.

Nie rycerz z niego, a uparł się zwierzchnie dowództwo brać, z prawa starszeństwa. Ja pod jego rozkazy iść nie mogłem i nie pójdę — wrócić musiałem z próżnymi rękami.

Pobladł król, jedno niebezpieczeństwo znikło, drugie gorsze groziło — to czego się lękał, co przewidywał, waśń braterska już gorzała w sercach.

— Powaśniliście się więc! — zawołał — bracia! wy! coście się miłować powinni!

— Nie poczynalem sporu — odpowiedział Bolko — a uleż mi się nie godziło. Rości sobie prawa nademną!

To mówiąc dumnie spoglądał,

— Miły ojeze — dodał — nie przeciwilem się jego uwolnieniu, ani uposażeniu, byłem mu

bratem dobrym, ale się zgnieść i w służę obrócić nie dam!

Władysław oczy zakrywszy siedział przy stole. Słowa te i głos trochę gniewny syna ścisnęły mu serce. Straszne sny nočne, czarna owa przyszłość, o którą drżał, stały przed nim. Grzech jego mścił się nad nim.

— Cóż później będzie — odezwał się zciecha — gdy już dziś tak jest? Dziś o dowództwo, jutro się zagryzać poczniecie o ziemie królestwa tego i panowanie nad nimi!!

— Nie — odezwał się Bolko. — Komu naznaczysz zwierzchność, temu posłusznym być musi drugi. — każesz mi słuchać, będę. Dziś myśmy równi, w jednych prawach, synowie twoi. Ja młodszy jestem, ale matka moja starszą była! On starszy nie prawem, ale tylko łaską twoją.

— Dość! dość! — przerwał król — ukój się, uspokój, uczynię wedle sumienia, aby zgoda panowała między wami. Jam stary, chory, niedołężny, puszczać wam rządy, patrzeć chcę jak je sprawiać będziecie.

— Ojczy miłościwy — przerwał Bolko — rządźcie wy sami, królujcie! Ja nie chcę nie — ino na wojnę gdy idę sam być muszę — nie pod nim.

Po krótkiej rozmowie odszedł król. Od drużyny jego cały już dwór wiedział co się stało, pobiegli zausznicy z językiem do królowej, do Sie-

ciecha, który na zamku właśnie był i u Judyty siedział.

Gdy wieść tę przyniesiono, królowa natychmiast córki i służebne wysłała precz, aby sama pozostać z wojewodą.

W twarzy Sieciecha widać było zwycięstwo i radość złośliwą.

— Jest jakom przewidział — zawołał — poczyna się rozwiązywać sprawa. Nie stało się tak jakim zapowiadał? że gdy Zbigniewa na wolę puszcza, jeść się będą, i zajedzą.

Królowa uśmiechnięta zbliżyła się doń i dotknęła jego ręki.

— A co dalej? — zapytała cicho.

— Co dalej? sądzę że nawet ich i podlegać nie trzeba, bo się nie pogodzą — mówił Sieciech — źleby było, gdyby się pojednali, a nawet pojednawszy się długo w zgodzie nie wytrwają.

Jeden z nich uwolni nas od drugiego, pozostałemu damy rady!

Sieciech ożywiony był i ciągnął dalej.

— Oba są otoczeni ludźmi mojemu, żaden ich krok mi nie tajny, żadne słowo nie wyjdzie z ust aby mi go nie powtórzone. Przy Zbigniewie mam zausznika, dla którego on nie ma tajemnic, z Bolkiem trudniej, ale i na tego oko mają. Ten głośno prawi co myśli.

W pierwszej wyprawie na pomorców czy na czechów, zapalczywość dziecinna go zgubi.

Uśmiechnął się chytrze, oczy mu pałały, królowa była uradowana i patrzyła nań z czułością wielką.

— Nie lękasz się swoich by cię zdradzili? — szepnęła.

— Nie, mojem złotem żyją — rzekł Sieciech — tamci ich za co kupić nie mają.

Mieniały się uśmiechy i wejrzenia; Judyta zdała szczęśliwą.

— Wszystko dobre — rzekła głos zniżając — lecz pospieszać trzeba. Król dogorywa widocznie mówię wam, powtarzam, dni jego policzone, ociągać się nie godzi.

— Wszystko teraz spieszonym pójdzie krokiem — rzekł Sieciech.

Zasłona we drzwiach poruszyła się i zaszeleściła, wszedł podkomorzy królewski.

Uklonił się nisko wojewodzie i ręką wskazał, że król go wzywa do siebie. Zrozumiał to łatwo Sieciech, bo się spodziewał, że poń przysła. Gdy podkomorzy się oddalał, wojewoda w ślad za nim pośpieszył, spojrział tylko ku królowej, która ściagała go oczyma, i odchodzącemu od ust pożegnania posłała poufale.

Nieraz tak i przy ludziach, okazywała czułość swą ulubieńcowi.

Sieciech zastał króla na zwykłym miejscu, pogrążonego w myślach tak, że choć wszedł i sta-

nał przed nim wojewoda, nierycho głowę ciężką podniósł i zagryzione usta otworzył.

Mileząc potem wyciągnął doń ręce jakby pomocy błagał, jakby go wzywał na ratunek, pewien, że już Sieciech uwiadomiony jest o wszystkim.

Wojewoda z dobrze udaną obojętnością stał u stołu, jedną ręką w bok się ująwszy, drugą spierając na nim.

— Miły mój! druhu mój! rado moja jedyna! — płaczkliwie począł Władysław — wiecie już!!

— A! — rozśmiał się nielitościwie Sieciech — miłościwy królu, macie to czegoście pożąдали, coście sobie uczynili sami, a co ja przepowiadałem. Toć było nieuchronne. Dwu ich jest teraz, wojna między niemi musi być, póki jeden nie zostanie.

Okrutne te słowa króla razily mocno, ręką rzucił odganiając przepowiednię, oparł się o krzesło bezsilny, i mruczał pocichu, jakby się modlił.

— Ratujeicież! zapobieście — zawołał — radzicie. Jam niedołężny, jam słaby, nie podolał już temu. Z sobą bić się będą, a mnie, mnie zabiją! mnie!

Co czynić? co postawić między niemi?

Wojewoda ramionami strząsał.

— Dwu gospodarzy w jednym domu zgoda trudna — rzekł — jeden ustąpić musi.

— Dom wielki! — zawołał król.

Tak się rozpoczęła rozmowa, gdy niespo-

dzianie podkomorzy odedrzwi postąpił oznajmując arcybiskupa Marcina, któremu biskup Filip towarzyszył.

Król posłyszawszy, natychmiast z krzesła chwycił się drżący, wskazując Sieciechowi, aby mu rękę podał i spiesznym, o ile zdołał krokiem, poszedł na spotkanie dwu pasterzy.

Zarówno jak poprzedniy jego, król nawykł był starszyźnie duchownej największą cześć oddawać, aby przykładem swym drugich do poszanowania jej wdrażać. Arcybiskup Gnieźnieński szedł z królem w parze władzą i znaczeniem.

Chory Władysław aż do drzwi swych wyszedł na spotkanie sędziwego Arcybiskupa. Przybycie jego nigdy pożądanym być nie mogło. Po Sieciechu, którego się równie obawiał jak kochał, O. Marcin pierwszym był dla niego, szanował go król i wierzył weń. Wiek, dostojność, charakter nadawały mu powagę wielką.

— Bóg was tu zesłał w tej chwili! — zawołał król z uczuciem całując rękę pasterza, który go błogosławił — Bogu niech za to będą dzięki! Znajdujecie mnie w trwodze i boleści wielkiej.

Przybycie to tak pożądane dla króla, dla Sieciecha było najnieprzyjemniejszym wypadkiem.

Wojewoda zmienił się na twarzy, ustąpił z niego wyraz zwycięzki, nachmurzył się, zafrasował, pomieszał; przeczuwał że mu arcybiskup znowu

szyki pomiesza. Nie silił się nawet na udawanie spokoju i wesela.

Arcybiskup Marcin i biskup Filip usiedli u królewskiego stołu, wojewoda zatrzymał się nieco, wahał się widocznie pozostać ma czy odejść, pilnować króla czy opuścić go i zdać na doradców duchownych, gdy Władysław przyzwawszy go szepnął mu coś do ucha, wydając jakieś rozkazy. Wojewoda zwolna i z niechęcią oddalił się z komnaty,

— Ojciec mój! — począł król, który ręce miał zwyczaj mówiąc składać jak do modlitwy, gdy był poruszony — ojciec mój, Bóg was tu zesłał do mnie w chwili ucisku, jako anioła pocieszyciela!

Arcybiskup milczał, król odetchnawszy ciągnął dalej.

— Oto mści się na mnie grzech mój. Ten, dla którego wyście wolność wyprosili, powstaje już na brata. To czego się obawiał, przyszło, drzę i płaczę... Niezgoda wstąpiła w dom mój i grozi mu zgubą!

Arcybiskup zdziwił się i przeraził, wieść bowiem o wypadku jeszcze go była nie doszła. Król opowiedział mu to o czem od syna słyszał.

Starzec milczał długo zdumiony i przybity. Bolał nad tem z ojcem na równi.

— Pojednać ich musimy — rzekł — pojednamy!



Każemy u ołtarza poprzysiądz sobie miłość braterską. Krewkość to młodzieńcza!

— A! zechcaż oni posłuchać nas, przejednać się! — rzekł Władystaw głową poruszając tęsknie. — Lękam się przysięgi, aby uniesieni lub podmówieni krzywoprzysięzcami się nie stali. Raczej zapobiedz potrzeba ażeby do waśni żadnego nie mieli powodu.

— Rozum tak każe — potwierdził arcybiskup. Król spoczął nieco i ciągnął dalej.

— Bóg mnie może natchnął, lecz we łzach oto myśl powzięłam. Zwierzam się jęj wam tylko, niech ona przy was zostanie do czasu tajemnicą. Mnie sił codzienn brak więcj do rządzenia tēm państwem. Sieciech wierny sługa mój, nie podola temu. Nieprzyjacioly ma liczne. Chcę między synów podzielić królestwo za żywota, patrzeć i czuwać jak rządzić będą. Płock tylko i Mazowsze zostawię sobie, starczy to dla mnie. Uspokoi się dusza moja!

Z widocznēm politowaniem nad boleścią królewską słuchał arcybiskup.

— Rzekliście — odezwał się — miłościwy panie, że Sieciech wiernym jest waszym sługą.

Głos którym te wyrazy wymówił starzec, zdawał się wątpliwość oznaczać. Król przestraszony drgnął cały, oczyma powiódł dokoła, jakby lękał się świadków niewidzialnych rozmowy.

— Nie wątpcie o tēm — zawołał — wiernym

mi, najwierniejszym jest sługą, a służąc mnie nieprzyjaciół sobie uczynił wielu. Dla mnie on trzeciem dziecięciem, więcj może, druhem, podporą, tarczą, rozumem moim, prawicą, wszystkiēm.

Mówił coraz żywięj chory, aż tchu mu zabrakło.

Stary pasterz spojrział dokoła i z piersi mu się dobyło ciężkie westchnienie.

— Nie przystałoby mi was, panie, z błędu wywodzić — rzekł z powagą — gdyby nie było to sumienia obowiązkiem. Wy miłujecie Sieciecha, lecz on więcj pono własne korzyści swe niżeli was miłuje. Jam powinien ostrzedz was.

Zbladły i wylękły król ręce łamał i oczy zakrywał.

— Nieprzyjaciół jego głosy w piersi się waszēj odbiły, ojeze mój — zawołał. — W obronie mojęj stojąc przyczynił ich sobie, zazdroszczą mu.

Biskupi spojrzeli po sobie.

— Po cóżbym zasmucać miał duszę twą, królu a panie — odezwał się arcybiskup — gdybym pewien nie był iż mówię prawdę? Patrzcie, słuchajcie, a nie zaślepiajcie się.

Na to nie odpowiedział Władysław, i umyślnie zwracając rozmowę, szepnął zeicha.

— Powiedźcie mi ojeze, co sądzicie o zamiarze moim podziału państwa tego?

— Jeżeli spokój i zgodę nim okupić może-

cie? — odpowiedział O. Marcin — dlaczegożbyście tak uczynić nie mieli? Inni panowie chrześcijańscy niejedyn raz tak dzielili kraje swoje. Lecz, miłościwy królu, zamiast mnie jednego a przytomnego tu brata mojego, miasto Sieciecha, czemu byście panów, ziemian, starszych królestwa waszego nie zwołali, aby im przelożyć myśl waszą?

Milczeniem król przyjął radę, zdawało mu się zbyt technicznym powoływanie starszyny.

— Życzylbym — mówił arcybiskup — powołać na wiec duchownych, świeckich, władków i żupanów a ziemian. Sieciech może przeciwnym będzie temu.

Posłyszawszy to król drgnął niecierpliwie.

— Jeżeli sądzicie, że potrzebny wiec — rzekł żywo — powołajcie nań, rozkażcie niechaj się zjada. Zdaję to na przewielebność waszą.

— Uczynię jak żądacie — odpowiedział starzec patrząc na zmienioną i zafrasowaną twarz królewską. — Przyjdziemy w pomoc tobie, miłościwy panie. Niech się nie trwoży serce wasze, a strapienie duszy nie ogarnia. Miłościwy jest Bóg, w rękach Jego wszystko. Nie spadnie włos bez woli Jego.

Przywłókłem się tu — ciągnął dalej — bo mnie straszne doszły wieści o knowaniach Sieciecha. Nie pierwsze to, ani z jednych ust idą.

Ujrawszy znowu słabnącego króla, starzec go ujął za rękę.

— Zamileczę — rzekł — po co mam waszję przymnażać boleści, gdy wiary słowom dać nie chcecie.

Zamilkli, król tak był poruszony, iż w istocie litość obudzał. Spalone usta otwierał ciągle jakby mu tchu brakło, ręką uciskał piersi, oczy podnosił, oddech stawał się coraz cięższy, jakby go tłumione tamowało łkanie.

Rozmowa dłużej już przeciągnąć się nie mogła. Powstał arcybiskup przyrzekając, że imieniem króla na wiec powoła.

— Uczynicie to rychło — odezwał się król — dni moje policzone są, a w pokoju chcę umierać i rozterki nie zostawić po sobie.

— Będziecie żyć, miłościwy panie — rzekł arcybiskup, złożył ręce i zmówiwszy poeichu modlitewką łacińską, zabierał się do odejścia.

Król choć osłabiony wstał i kazawszy się pod rękę wieść komornikom swym, z tym samym obzędem jak wprzód odprowadził O. Marcina do proggu. Dopiero gdy go znów w krzesło posadzano, padłszy na nie, jakby ostatek sił postradał. Oczy zamknął i obwisł omdlały. Nie miał czasu spoczywać, gdyż w téjże chwili hałaśliwie wpadł wojewoda Sieciech.

Przestraszony król porwał się, a obaczywszy

go, lice mu się wyjaśniło, uśmiechnął się i rękę doń wyciągnął.

Przestroga areybiskupa weale nań nie podziałała, widać było, że się nawet nie myślał zwierzyc ulubieńcowi z tego, co mu o nim doniesiono, aby jemu i sobie przykrości oszczędzić.

Nie po raz to pierwszy przychodziły do króla na Sieciecha doniesienia i skargi, obwiniano go niemal jawnie, zarzucano mu czyny, stawiano ludzi na świadki, król nie chciał słuchać i widzieć nie chciał.

Pewnie tego ślepego przywiązania, wojewoda czuł się niem silnym; zdało mu się, że żadna w świecie potęga obalić go nie może; nie rachował na to, że król raczej był słabym niż stałym w przywiązaniu i nadewszystko pokoju pragnął; że dla pokoju tego, w końcu i jego mógł poświęcić.

— Najprzewielebniejszy pasterz — odezwał się Sieciech zajmując miejsce u stołu — nie przybył tu pewnie daremnie, aby nas pobłogosławić. Należy do nieprzyjaciół moich, wiem to i czuję. Czy znowu o jaką zdradę mnie pomawia?

Słowa te zmieszaly króla, którego wojewoda badał bystrym wzrokiem, zapłonil się, począł głową potrząsać, jakby zaprzeczał, choć cała postać i twarz dowodziły, że Sieciech odgadł iż mu coś zagrażało. Władysław nie odpowiadał, a wojewoda ciągnął dalej.

— Może areybiskup przywiózł znowu myśl jaką tak zbawienną, jak uwolnienie Zbigniewa? I szydersko królowi w oczy poglądał.

— Nie, nie — wyjąknął zmieszany król — o zdrowiu mém słabém i ubywających siłach mówiliśmy. Skarżyłem mu się.

Sieciech nie dopytywał więcej, zwrócono rozmowę na spór dwu braci. Wojewoda wziął stronę Zbigniewa.

— Miłościwy królu — rzekł — Bolko choć tak młody nie cierpi już żadnej nad sobą władzy. Wojsław skarży się nań, że mu się z rąk wyrwa. I teraz gdy się wybierał do Santoka, uszedł przed nim niepostrzeżony, ochmistrz gdyby z nim był, zapobiegłby pewnie swarowi.

Kr. Zbigniew starszy jest wiekiem, starszy urodzeniem, cóż dziwnego, że chce mieć pierwszeństwo?

Powolać potrzeba tutaj obu i sprawę królewską władzą rozsądzić.

Milezał ojciec, nie sprzeciwiając się w niczém. Jak gdyby chciał wynagrodzić Sieciechowi oskarżenie tajemne, które miał na sercu, był dlań tego dnia pełnym łaskawości i dobroci; zatrzymał go do późna u siebie, całował, ścisnął, a gdyby mu był już wprzód nie oddał wszystko co miał, byłby go obdarzył jeszcze, aby za obwinienie opłacić. Ta dobroć i czułość nadzwyczajna, choć do niej Sieciech był nawykłym, obudziła w nim jakieś po-

dejrzenie. Odszedł niespokojny posadzając nie bez przyczyny arcybiskupa.

Trzeciego dnia, choć niepowołany Zbigniew przybył do Płocka.

Nie stanął jednak na zamku, ale się gospodą rozłożył w miasteczku w dwu czy trzech domach, z których mieszkańców wyrzucono na podwórze. Raźniej mu tu było i swobodniej, bo na zamku czeladź jego rozpasana dokazywać tak nie mogła, a on sam wstydził się onych zabaw, które sobie wyprawiał, często po całych nocach biesiadując z drużyną.

Na gospodzie przedziawszy się, kazawszy orszakowi swemu wystąpić po książecemu, jak był zwykł, w roli trąbiąc, ze szczęką i brzękiem wciągnął na zamek do ojca. Król się przestraszył wrzawą, ale mu dano znać kto był.

Choć miłość dla tego dziecka, a bardziej poczucie obowiązku, króla ku niemu pociągało, Zbigniew nigdy mu nie był tak jak Bolko ukochanym. Wstydził się Zbigniewa, obawiał się go, zrażał się obejściem szorstkiem i prawie zuchwałem. Niepytany wchodził do izby, nie oddając królowi należnego poszanowania, narzekaniami i skargami starego zamęczał, ze słabości jego korzystał.

Dnia tego, czując się winnym, tém szumniej i bezwstydniej wystąpił przed ojcem. Bolko był już tego dnia na łowach z drużyną, mógł więc swobodnie ze skargami się rozwodzić.

Wszedłszy i zaledwie się pokłoniwszy, zaraz zaczął od nich.

— Przybywam do miłościwego ojca i pana z żalem i skargą — odezwał się. — Wyprawa na niezém spelzła, nie z mojej winy.

— Wiem — odparł król sucho.

— Jestem przecie starszy, należy mi dowództwo?

— Jako żołnierz i rycerz młodszy jesteś — odparł król surowo. — Byłeś jeszcze w klasztorze, gdy Bolko dzieckiem już bił zwierza dzikiego i gonił nieprzyjaciela. Mogliście razem iść w zgodzie braterskiej, tyś spór wszczął.

— Wiem to — dumnie zawołał Zbigniew — że mnie zawsze będzie wina przypisana. Zaprawdę nie było po co mnie tu ścigać z więzienia i mianować królewskim synem, abym młodszemu służył za igraszkę i pośmiewisko.

W żywe oczy mnie przezywają klechą, wszyscy patrzą na mnie krzywo, Bolko się wyśmiewa, jego drużyna przy każdym spotkaniu, na gościncu mnie przedrwiwa. Ja tego ścierpieć nie mogę.

Król popatrzał i nie odpowiedział nic, Zbigniew nadaremnie żal swe rozwodził.

Królowa Judyta, która już wiedziała o przybyciu Zbigniewa, a na złość Bolkowi zniechęconemu przez nią i w myśl Sieciecha rada była starszemu bratu okazywać dobrą wolę, zabrała go z sobą na wieczerzę.

Król zawsze jadał sam i niewiele. Otwarty stół dla dworu i gości trzymała Judyta, lubiąca twarze nowe, wesołość i śmiechy młodzieży. Więcej tu było swobody niż cesarskiej siostrze i żonie królewskiej przystało, zamało poszanowania dla pani. Lecz wszyscy już byli do tego nawykli. Królowa sama chętnie otwierała usta, swawolnie żarty strojąc i niepomierną wyzywając wesołość. Ona, trzy jej córki i mnogi orszak niemiek, polek i węgierek siadały przy stołach, u których też jadala młodzież dworska i starszyzna przybywająca do króla z pokłonami.

Lubiła Judyta przepych, stoły zastawione były wspaniale i zbyt kownie, lecz ładu i karności przy nich nie było. Dzbany gząc się wywracano, padały kubki, szepty i biegania poza ławami, wrzawa po kątach, zapelniały izbę jadalną.

Pod koniec każdej takiej uczty wieczorniej zwoływano grajków, nucono pieśni, a że wina, miodu i piwa podostatkiem bywało, zabawy trwały do późna i bez płasów się nie obchodziło. Niemłoda już pani zawsze strojna, wymuskana, zalotna, chodziła sama w tany z wybranymi, dając sobie mówić więcej niż się godziło, choć w owych czasach godziło się bardzo wiele, na królewskich nawet dworach.

Królewien też nie strzeżono bardzo, a dwór pani sam się chyba musiał strzedz, bo mu nie broniono nic wcale.

Zbigniewowi rozchmurzyło się czoło, gdy się znalazł w izbie, w której woń mięsiwa, napoju, kwiatów i olejków, którymi niewiasty głowy sobie namaszczały, przyjemnie polechtała jego powonienie. Dawny kleryk miał wielką do niewiast ciekawość, a niezbyt w nich przebierał; dwór królowej obfitował szczególnie w piękne i wesołe dziewczęta.

Pomiędzy Niemkami odznaczała się ulubienica i powiernica pani Greta, która, choć niezbyt już młodziuchna, bo pono do lat się trzydziestu zbliżała, miała jeszcze dobrze zachowaną świeżość jasnowłosych córek teutonów, a piękną budową, wesołemi oczyma niebieskimi, śmiałością w obejściu się z mężczyznami, przechodziła swe współzawodniczki.

Wiele tam rozpowiadano o tej Grecie i przygodach jej różnych, miała zawsze miłośników wielu, ale na kobierzec nikt jakoś prowadzić się jej nie ważył.

Niezdawało się to ją obchodzić wiele, bo twarz miała zawsze wesołą i jasną, żart na ustach i odpowiedź gotową a wydawała się szczęśliwą.

Prawa ręka królowej służyła jej do wszystkiego, do przyciągania tych, których potrzebowano, szpiegowania innych, jeśli się obawiano. Z dobrej woli czy z rozkazu Judyty, Greta starała się uwikłać w swe sieci młodziuchnego Bolka,

ogniste pacholę nad wiek dojrzałe. Zdało się to bardzo łatwém, lecz Bolko, oprócz swych koni, psów, sokołów i wojennych zabaw nie lubił nic. Na dziewczęce zaloty odpowiadał śmieszkiem obojętnym, a gdy te szły zadaleko, z dumą je odtrącał. Tak samo zbył się natrętnej Greta.

Jasnowłosa, na pozór łagodna istota, która patrzyła takimi niebieskimi oczyma, jak spokojne lazurowych wód tonie, w których się niebo przegląda, pod tym pozorem trzpiotowatym i chłodnym miała niepohamowane namiętności. Jak pod kwiatami wąż, pod jej uśmiechem dziecinnym chowało się zemsty pragnienie. Królowa, która wiedziała wszystko, domyśliła się i tego uczucia łatwo.

— A! — szepnęła do Greta dnia tego — jednego królewicza nie udało ci się pochwycić, za to drugiego weźmiesz gdy zechcesz tylko. Ten ci pomoże dopiec tamtemu, co tobą pogardził i obraził srodze. Probnij.

Greta nie miała dla pani tajemnic, jak królowa dla niej, spojrzała w oczy Judycie, zarazem pytając ją i myśl jej potwierdzając.

— O! Zbigniew — śmiejąc się mówiła królowa — parobek, niepiękny wcale, ale młody i królewicz. Gdybyś go sobie ujęła a przywiązała, zdałoby się to i dla mnie. Niebardo mu się trzeba drożyć, bo chłopak nieśmiały być musi.

Poszeptaly tak z sobą na uboczu, a przed uczną wieczorną Greta się przystroiła tak, że zdała się mieć lat piętnaście i być jeszcze dziewczątkiem niewinném.

VI.

Pijany jeszcze klótnią swą z bratem i urojonym nad nim zwycięstwem, Zbigniew był dobrej myśli. Śniło mu się teraz królowanie, zemsta i zamiast sukni mniszkiej, która go paliła jeszcze wspomnieniem, złotem bramowany płaszcz królewski.

Wszedł do izby, w której oczekiwano na królowę, ze swym zwykłym niezgrabstwem i butą, potracając ludzi, wywracając ławy i oznajmując się hałaśliwie. Wrzawa mu wszędzie towarzyszyła.

Za nim szedł niedobry dwór jego, zbierana włóczągów drużyna, którą Marko Sobiejucha dowodził. Była to gromada z różnych narodów, różnego wieku ludzi złożona, po większej części takich, co się gdzieindziej nie mogli pomieścić.

Zbigniew czasu długiego swojego pobytu w saskim klasztorze na pół się stał Niemcem, chętnie więc i Niemców brał do siebie, miał kilku Czechów; koło niego też często szwargotano tym językiem dla drugich niezrozumiałym. Marko w swych wędrówkach nabył w nim wprawy. Mówił on źle ale za to wszystkimi językami znanymi, i tak śmiało, jakby się z niemi w ustach urodził.

Bolek miał samą młodzież z Polan dobraną, synów najmężniejszych władków i rycerzy, a jednego tylko starca, co jak Marko po zachodnich krajach wędrował, a praw ówczesnego rycerstwa i turniejów tam się nauczył.

Bolkowa drużyna przy królowej dworze łamać sobie musiała języki, aby się z nim rozmówić, Zbigniewa towarzysze między Niemcami i Węgrami byli jak w domu. Bratało się to dobrze z sobą. Królewicz, którego Judyta z początku wzgardliwie odpychała, mówić prawie nie chcąc do niego, nie lubił jej wprawdzie, lecz pewne poszanowanie okazywać jej musiał.

W chwili po wnijsieiu królewicza do izby, ukazał się ochmistrz królowej Judyty z laską w ręku, poprzedzający siostrę Cesarską, strojną jak zawsze, uśmiechającą się i wdzięczącą.

Za nią tuż przy królewnach szła piękna Greta, którą Judyta sama na dzień ten przystroila.

Miała na sobie obcisłą suknię niebieską, która pełne jej kształty aż do zbytku uwydatniała, złoty

pas, na czole przepaskę zlocistą, na szyi łańcuch z wiszącymi poczepianemi do niego kółkami, pierścieniami i kutasy. Utrefione włosy jasne w części się zwijały około ślicznej twarzyczki na głowie, w części spadały na białe pulchne ramiona. Blask i świeżość tego kwiatka, który zdawał się dopiero rozwinięty, porywały oczy wszystkich, cmokali patrząc na nią starzy i młodzi, a Greta choć zdawała się niewiedzieć o tém, czuła że ją wejrzeniami ścigano.

— Eh! Marko mój — szepnął Zbigniew, patrząc na Niemkę przechodzącą powoli ze spuszczonej oczyma. — Dobrze że sutanę zrzuciłem, wolno mi teraz choć oczy napaść tą zwierzyną! patrzajno, co za łania! Człek by za nią w las pobiedz gotów!

Marko choć podżyły był też wielkim niewiast wielbicielem, szepnął na ucho królewiczowi.

— Nam to na tę zwierzynę tylko patrzeć zdala i oblizywać się, a wam ino chcieć, to ją mieć będziecie łatwo.

— O! ho! — odparł Zbigniew — nie tak łatwo jak ci się zdaje, dziewczka dumna i królowej ulubienica.

— To co? — zawołał Marko śmiejąc się. — Będzie wolała ulubienicą królewicza zostać niż królowej! Ino skinić palcem, a ja pójde w swaty...

— Przecież się z nią nie ożenię! — zaśmiał się Zbigniew.

— Któżby myślał o tém tak zawczasu — począł Marko. — Tymczasem zabawić się nikt nie broni, gdy dziewczyna hoża i nie od tego...

Królowa dla Zbigniewa była dnia tego jak nigdy laskawą. Skinęła nań uprzejmie, a złożyło się jakoś tak, że królewiczowi miejsce dano tam, gdzie się niewiast siedzenia kończyły; usadowił się tuż obok pięknej Greta.

Z rachuby zalotniczej wypadło odsuwać się od niego bardzo bojaźliwie a skromnie; królewicz wyzwany tą obawą coraz bliżej przysuwać się zaczął.

Spojrżeli sobie w oczy, ona stłumiła śmiech, z którym się lękała wybuchnąć, on mrugał ku niej tak śmiało, jakby nigdy klerykem nie był.

W owych czasach pierwotnych, całę inny był stosunek z niewiastami, swobodniejszy daleko i śmielszy. Mówiono sobie w żartach takie piękne rzeczy, jak w dramatach Shakespeara, jak nasi parobcy folwarcznym dziewczętom prawią. Choć we Francyi już *Cours d'amour* się poczynały i słodkie słowa a dowcipne igraszki w użyciu były i modzie, igrano tak grubo, że dziś zagadek, które książęta królownom zadawali, trudnoby w przedpokoju powtórzyć.

Królowa Judyta lubiła, gdy około niej o ta-



kich wesołych rzeczach mówiono; wkrótce po usiądzeniu na ławach, śmiechy się rozpoczęły.

Greta mierzyła ciekawymi oczyma tego, którego z rozkazu pani ująć sobie miała. Niepowabny był wcale z długą swą twarzą bladą i grubemi rysy, wstrętliwego coś w nim było, dzikiego, wzbudzającego obawę. Nawet namiętność ta, która łagodzi człowieka, w nim przybierała wyraz jakiś groźny i krwiożerczy. Ale i Greta była pod złotemi włosy, białą twarzyczką, lazurowemi oczyma, stworzeniem co się bronić umiało, opanować potrafiło i nie ulękło łatwo.

W tém spotkaniu szło jój tylko o to, by wiedziała, czy zmódz go potrafi, czy w nim siła jest większa nad tę, którą w sobie czuła. Każdą niewiastę instynkt tego uczy cudowny. Dwa razy oczyma zetrze się z przeciwnikiem i wie, czy mu ustąpić ma, czy go podbije i zapanuje nad nim. Dwa też razy Greta wlepiała swe na pozór spokojne wejrzenie w Zbigniewa i za drugim kłeryk oczy spuścił zmieszany.

Rozmowa poczęła się dziwnie, od usuwania na ławce i napastliwego zbliżania. Zbigniew zwyciężył, dano mu się przysiąść blisko — umyślnie. Był pewien że zdobył siłą to miejsce.

Nim przyszło do słów śmiech się rozsiadł na ustach Greta, która aż zakrywała usta i oczy, tak się jój niby niepomierne śmiać chciało, bo

potrzeba było wesołością zagać rozmowę, aby ją uczynić śmielszą i ostrzejszą.

Zbigniew śmiał się także ryhocząc szerokimi usty, nie kryjąc się, chwając przed wszystkimi z zaczepki i walki. Greta się nie wstydziła, choć na nią zewsząd patrzano. Dalszą rozmowę poczęły ręce pod stołem.

Jedna z nich nieostroźnie jakoś była zwieszona a tak śliczna, biała, pulchna, bezbronna, strojna w ogromne pierścienie leżała tuż blisko, że ją królewicz pochwycił. Wyrwała mu się natychmiast, dziewczę się odsunęło niby strasznie przelekle, niby srodze zagniewane. Zbigniew śmieliej pochwycił raz drugi tę źle uciekającą rękę, poczęła mu się wyrwać znówu, wyrwała, dogonił ją w drodze i zatrzymał ściskając mocno. Trzeba było uleść przemocy! Czuł jak drżała w jego dłoni.

Wszystko to doświadczona Greta mogła obrać chować z góry, a gdy królewicz już ją zagarnął, jęknęła po niemiecku.

— Jak to wasza miłość napastliwy jesteś i dla niewiast niebezpieczny. Prawdziwie.

— Byłoby obrażającym — rzekł kłeryk — ażebym siedząc około tak ślicznej panny, nie starał się jój sobie pozyskać!

— O! ja wcale nie jestem piękna! — odparła Greta wyzywająco.

— Jesteś najpiękniejsza — odpowiedział Zbi-

gniew. — Klnę się, żem takiej jak wy nie widział jeszcze nigdy.

— Boś miłościwy pan w klasztorze nie widział żadnej — śmiejąc się rzekła Greta.

Na wspomnienie klasztoru znenawidzonego, Zbigniew się zachmurzył nieco.

— Dajcie mi tam pokój z klasztorem — zawołał — nie wrócę do niego więcej, psie w nim było życie.

Ręka, którą pochwycił Zbigniew już mu się wecale nie wrywała, choć wysunąć się mogła gdy chciała.

Wejrzeniem pełnym politowania odpowiedziała Greta. Królewicz pił, jadł, zmuszał do kosztowania wina z jednego kubka, czemu się panna zrazu wielce bronila, spoglądali na siebie coraz poufalej i porozumienie się nastąpiło przed końcem uczty.

— Piękna, najpiękniejsza Greto — odezwał się królewicz ośmielając coraz bardziej — gdybyście mnie przyjęli za miłośnika sobie, kochałbym was jak należy.

— Alboż to wy wiecie jak miłować należy? — spytała figlarnie uśmiechając się panna. — Gdybyście posłuchali jak to tam u nas na zachodzie niewiastom cześć oddają i służbę przy nich pełnią rycerze.

— O tém ja nie wiem — przerwał Zbigniew — ale spróbujcie ze mną w przyjaźni żyć, zobaczy-

cie że nie ustąpię w tém nikomu; a miłować potrafię. Tego się pono człek uczyć nie potrzebuje.

Greta zdawała się namyślać. Nie wypadalo jęj przyjmować tak łatwo, co tak bardzo zdobyć pragnęła. Podróżyc się trochę musiała.

U stołu inni się zajmowali tak dobrze wszelaką swawolą, blazen królowej Spatz takie wygadywał słone rzeczy, iż się izba śmiechami rozlegała, a Zbigniew mógł tymczasem bez przeszkody z Gretą się zabawiać.

— No, powiedźcież mi — odezwał się w końcu — jakże to będzie z nami?

To mówiąc już ją w pół obejmował, a Niemka, choć się niby trochę wymykała, nie bronila jednak nad miarę.

— Ohydne zwierzę! — mówiła sobie w duchu w twarz mu patrząc zbliżka — ale i do takiego przyzwyczaić się można!

I zapalała go coraz mocniej niebieskiemi oczyma.

— Królowa pani bardzo dla nas surowa — mówiła zeicha do królewicza. — Wy jęj nie dworujecie, ona się gniewa na was. Cóżby było gdyby się dowiedziiała?

— Co? — rozśmiał się królewicz pochylając ku Niemce. — Co? Greta by poszła do mnie, a jabym jęj sobie odebrać nie dał. I gorzejby jęj nie było u mnie niż na królowej dworze.

Greta potrzasała główką.

— A! nie może to być! nie może! — poczęła żywo. — Wy się z ubogą dziewczyną ożenić nie możecie, a ja, ja!!

Zbigniew niedając jej dokończyć parsknął śmiechem i coś rzucił śmiesznego do ucha. Zarumieniła się mocno...

Szeptano już ciszej...

Tak w sposób bardzo prosty i pierwotny poczęły się miłości niepięknego królewicza z przesliczną Niemką, w której on strach i obrzydzenie wzbudzał.

Naprzeciw siedzący zdala jeden z tych co już miłość Greta mieli i stracili, patrząc na nią, mówił do drugiego.

— Bąku miły, patrz ino na tłustą Niemkę? Spojrzałeś ty kiedy w oczy wężowi, gdy głowę z pod liści wysunął i ślepią swe otworzył? Zda się i on jakby żądla zię miał, jakby się w tobie serdecznie miłował, jakby cię chciał całować! Tak z Gretą, a i ona kąsa.

Greta tego dnia wydawała się odmłodzoną dziewczętą niewinną. Zbigniew pożerał ją oczyma; na królową zaczarowaną z bajki mu wyglądała. On co się jeszcze nigdy w życiu do tak uroczej nie zbliżył istoty — oszalał.

Gdy potem Judyta zawołała swą dziewczkę do siebie, a ta Zbigniewowi rzuciwszy wejrzeniem pożegnania pobiegła do pani, królewicz stłumionym głosem szepnął do Marka.

— Niech się dzieje co chce, a ja ją muszę mieć. Dziewka jak jabłko złote. Choćby przyszła siłą brać.

Podpiły Sobiejucha skłonił mu się do nóg.

— Każecie? Skiniecie! Królowej ją z przed nosa pochwytniemy i na zamek który uwieziemy...

— Zaczekamy! zobaczymy — szepnął Zbigniew.

— Mnie się zda — dołał Marko — pójdzie ona i sama, gwałtu nie będzie trzeba.

Królewicz się uśmiechnął.

Judyta gładząc po twarzy ulubienicę szepnęła jej.

— Już go masz? nieprawdaż? patrzałam. Dobrześ zażyła klechę, ani tchnął...

Greta się śmiała do królowej cał inaczej teraz, z trochę szyderstwa i dumy.

— O! niewielka sztuka go było wziąć — rzekła cicho. — Tak miał długi post w klasztorze!

— A jeźliś go wzięła, trzymajże i nie odprawiaj jak innych — dodała królowa. — To się nam zda.

Gdy potem z kolei przyszły płasy i skoki, Zbigniew jak do wojny tak i do nich się nie przydał, patrzył tylko. Chciało mu się bardzo pochwytnie oburącz tę niebieską sukienkę i ponosić ją przy sobie; lecz choć się winem dobrze podchocił, choć odwagę miał, czuł żeby go w tańcu wyśmiano.

Inni więc zabierali mu Gretę i nosili się z nią,

aż z zazdrości płonął, a ona go zdala oczyma wyzywała i jątrzyła.

Tymczasem królowa, która też z młodzieżą wyprawiała płasy, zdyszana zbliżywszy się do królewicza, pogroziła mu.

— Ino mi nie probujcie bałamucić mojej Gerty — rzekła — bobym się za to gniewała srodze. Znam ja was, tych co to po klasztorach siadywali, a udało się im z nich wyrwać: nie ma nad nich straszniejszych ludzi na świecie dla biednych niewiastek.

Zbigniew się śmiał i dumniał.

— Chce się wam koniecznie zbałamucić którą — ciągnęła dalej królowa wdzięcząc twarz starą — macie innych podostatkiem, których mi nie żal. To dziewczyna jakiej drugiej nie ma. Do wszystkiego, do czego chceć doskonała, i do szycia, i do śpiewu, i do opowiadania gadek, i do tańca, i do usługi. Myślę że i do kochania wymienita być musi — dodała szydersko — ale ja jęj do tego nie dopuszczę, boby mi się sprzeniewierzyć musiała.

— O! miłościwa pani, masz dworu dosyć! — odezwał się żartobliwie Zbigniew.

— Ale Gretę tylko jedną, a drugiej takięj na świecie nie znaleźć! — odparła królowa.

W czasie tęg rozmowy umyślnie od tańca przybiegła dziewczyna do królowęj, aby się Zbigniewowi pokazać zblizka, z zarumienioném liczkim,

z rozochoconą twarzyćką. Dyszała ze zmęczenia zębki pokazując białe, pierś się jęj podnosiła, oko pałało. Królewicza dobiło wejrzenie. Królowa zaś Judyta, jakby zapomniała o niebezpieczeństwie, o którém mówiła, odeszła zaraz i zostawiła ich z sobą.

Usiadła na ławie zmęczona Greta, a Zbigniew, jak to było naówczas w obyczaju, podnózek wziął i na nim u kolan się jęj przysiadał. Znaczyło to wiele, bo cały dwór patrzył. Greta tryumfowała.

W tęg chwili jakoś ustala gędźba i śpiewy, ciszjęj się zrobiło w sali i z podwórca słyszeć się dały rogi myśliwskie, Bolko z drużyną z łowów powracał.

Greta posłyszawszy granie pobladła.

— Pewnie brat mój z lasów powraca — zawołał Zbigniew — daje znać o swoim przybyciu, aby mu się radowano. Rycerz wielki!!

— Dzieciak jeszcze! — dorzuciła Niemka.

— A już mu się chce nad starszemi panować! — rzekł Zbigniew.

— O! gdyby mu tylko dozwolono, wszystkichby pod swe rządy zagarnął — rzekła cicho Greta.

— I was? — zaśmiał się Zbigniew.

— O! nie! nie lubię tego malca — odpowiedziała Niemka — nie dałabym mu się i sukni mojęj dotknąć.

— Za to że go nie cierpicie — wtrącił kró-

lewicz — ja was jeszcze we dwójnasób lepiej kocham... Ja go też nienawidzę!

— Strzeżcie się go — szepnęła Greta — bo zapalczywy jest i niebezpieczny.

— A jam też niełatwy do wzięcia i pokonania — zawołał brew marszcząc Zbigniew — wiercie mi!

Greta się trochę zapomniała, pochyliła ku Zbigniewowi, przegięła, zwiesiła nad nim, czuł oddech jej, woń włosów, dotykał prawie zalotnicy, która z nim długą rozpoczęła rozmowę, wiedząc co w nim drażnić było potrzeba, aby miłość i nienawiść rozbudzić. Nikt nie zważać się zdawał na nich, królewicz trzymał jej rękę, a te mu się nie wrywały weale, i pierwszego dnia początek był tak dobry, że już o Grecie nie wątpił szczęśliwy...

Nazajutrz schadzka była umówiona, wiedziała o niej królowa, i Grecie się strzymać kazała, aby czekał dłużej i goręcej pragnał. Wszystkie wybiegi niewieście znano tu dobrze i posługiwano się niemi.

Zbigniew jak tylko do gospody powrócił, Marka i Niemca, którego miał na posługach, wysłał szukać na podarek dla Grety klejnotu. Z niemałym trudem napytano u żyda naszyjnik złoty, który ledwie puścił z rąk bez pieniędzy za wysoką cenę.

Królewicz przyniósł go z sobą. Zarumienionéj

Grecie wsunął w rękę ten podarek jako zadatek miłości wielkiej, a Niemka nie bronila się od przyjęcia go, co było najlepszym znakiem. Skryła go zaraz zręcznie i wejrzeniem podziękowała.

Marko, który zdala przypatrywał się obrotowi całej sprawy, rad był bardzo.

— Dobra nasza — rzekł. — Która tylko podarki przyjmuje i tego co obdarza przyjąć potem musi. Będzie ją nasz pan miał.

Bodaj tylko mu bokiem nie wylazła — dodał wielki znawca ludzi — widzi mi się, że jakieś kocie oczy ma, które zdradą strzelają,

Marko, który jak sam często opowiadał, Niemki, Węgierki, Czeszki, Włoszki i Greczynki w ciągu swych włóczęg po świecie poznać miał zręczność, a niewiasty na pierwszy rzut oka wyrozumiewał i ich naturę, w Grecie widział coś niebezpiecznego, piękną była a straszną, królewiczowi przecie nie mówił o tém ni słowa, wiedział że toby się na nic nie przydało.

Po uczcie dnia tego Zbigniew znikszy z izby znalazł się sam na sam w mieszkaniu Grety, które puste było, bo dwór jeszcze cały z królową zabawił się śpiewem i graniem. Na osobności mieli wiele spraw ważniejszych do roztrząsania. Greta chciała go przeciw Bolkowi rozjątrzyć i poburzyć, on ją myślał całkiem dla siebie pozyskać.

Skierowała też wnet rozmowę na spór i walkę z bratem.

— Sprawiedliwieście uczynili nie chcąc mu ustąpić — mówiła — to zuchwała gadzina co do oczów skacze. Wszystkich pokąsał już niemało razy, królowę, wojewodę, ochmistrza swojego. Nikt go nie lubi krom jednego króla starego, a boją się go wszyscy.

— Ja się go nie ulękę — odparł Zbigniew uśmiechając się — ja go obalę. Starszym jestem nie zechce mi być posłusznym zgniotę go. Siedziałem ja w więzieniu, będzie i on w niem zamknięty.

— Król chory jest — poczęła Niemka — królowa pani powiada, że gorzej z nim codzień. Wojewoda, o! ten wam sprzyja więcej... Możecie poczynać śmiało...

Zdziwionym był nieco Zbigniew znalazłszy oprócz miłej przyjaciółki sprzymierzeńca i pomocnika w Grecie. Zręczna dziewczyna starała się wmówić mu, że go nawet ostrzeże, jeśliby jakie od królowej niebezpieczeństwo zagrażało, choć zaprzysięgała, iż kochała bardzo królowę.

Zbigniew znalazłszy ją tak przyjazną, wyświadał się jej ze wszystkich swych zuchwałych myśli i zamiarów. Przebiegle dziewczę miało go w ręku.

Wieczorem późnym gdy z Markiem znalazł się w swój gospodarze, nie utrzymał i przed nim tajemnicy, wypowiedział mu wszystko z naiwnością człowieka, który potrzebując powiernika, nie prze-

biera w tém, co mu się nastrecza. Szczęśliwym był i pewnym, że z łatwością cel osiągnie.

Przeciw Bolesławowi spiskowano do późnej nocy, solą w oku był im wszystkim. Lubilo go rycerstwo, garnęli się do niego ziemianie, miał sławę dzielnego rycerza, potrzeba więc go było obalić. Zbigniew śmiało się kuśił o to.

Od spotkania w Santoku, zdala już byli od siebie. Bolko lekceważył brata i pokątne jego znowy, o których mu donoszono. W ojcu kochanym i kochającym go miał opiekuna, a ufał też własnej sile i druhom, których umiał pozyskać.

Zbigniewa zazdrość z dniem każdym rosła, ile razy obok siebie stawali, młodszy pięknością, postawą, zręcznością, wprawą we wszystkie rycerskie ćwiczenia brał nad nim górę. Walczyć z nim ani się mógł porywać, burzył się i odgrażał.

Ojciec po powrocie Bolka starał się ich sprowadzić razem dla przejednania; stawili się na rozkaz, podali ręce, bo król tego wymagał, ale w obu pozostała też sama gorycz i niechęć wzajemna.

Bolko o bracie mówiąc, przezywał go klechę i mrukiem.

Zbigniew mu się odwdzięczał lżąc go jako jaszczurkę jadowitą co do oczów skacze.

Greta coraz silniej poduszczala Zbigniewa; półsłówkami rzucanemi przy spotkaniu waśni się

zajątrzała, a wojewoda, choć z rozkazu króla starał się jednać, dopomagał do utrzymania niechęci. Czasem i królowa Judyta, niby przypadkiem potrafiła mówiąc ze Zbigniewem o nieznośną Bolka dumę, jego chęć wynoszenia się i panowania.

Wszystko do palącego się już ognia dolewało smoły.

Na Bolku jednak najmniej znać było, żeby go to miało wielce obchodzić; on i jego drużyna żyli trybem całę odrębnym, niewiele się łącząc z innemi. Rycerskie gonitwy, małe turnieje na wzór tych, które się na cesarskim dworze co roku prawie uroczyście odbywały, wprawa we wszystkie wojennego rzemiosła obyczaje, były głównem zajęciem i celem życia dorastającego królewicza, który przedwcześnie pasa rycerskiego się dorabiał.

Ani pohamować, ani pokierować nim nie mógł powolny i dobry Wojsław, który się ochmistrem nazywał, ale był nim więcej imieniem niż rzeczą. Bolko zwłaszcza w ostatnich czasach wymykał mu się ze swoją drużyną i nie buntując jawnie, nie słuchał go już wcale. Wojsław żołnierz mężny, wojak wprawny, nieobrotny był, ciężki, myślał nad każdą rzeczą długo, badał pilnie, gdy Bolko chwycił porywco co wiatr przynosił i pod pierwszym wrażeniem leciał na oślepie nie licząc się z żadnym niebezpieczeństwem, ani z ofiarą jaką czynił, choćby cel wart jęj nie był.

Wojsław nim się namięcił, nim coś postano-

wił, wychowanca jego już nie było, a niezawsze i dognać go potrafił. Śmiał się potém i dawał łatwo przebłagać milemu chłopięciu, do którego tak był przywiązany, że dlań Sieciechowe pokrewieństwo i łaskę poświęcał.

Bolko jeśli którego dnia na łowy nie ruszył, siadał na koń z Pruszną, Doliwą, z innemi przybocznymi harcowali po podworcach i na łąkach nad Wisłą, ścigając się, przeganiając, rzucając oszczepami do celu, strzelając z łuków i kuszy, spotykając się na tepe włócznie.

Do tych zabaw królewicz miał namiętność szaloną. Chciał się mu kto przysłużyć i łaskę jego pozyskać, to mu przynosił wiadomość, gdzie niedźwiedz miał łożysko, gdzie na żubra lub tura stanąć było można. Za psy i ptaki oddawał co tylko miał...

Zwożono mu z zagranic, z Zachodu najpiękniejszy oręż, najwykwintniejsze zbroje i wszystko co do porządku rycerskiego należało. Trafił się podróżny co wiele po dworach bywał i kraje obce przewędrował, gościł go królewicz u siebie, zatrzymywał, nie puszczał, póki się od niego nie dopytał i nie nauczył wszystkiego, co mu nieznanem było. Nie było też w Niemczech, we Włoszech, u Franków i Gallów żadnej rzeczy nowęj w rycerstwie, któręjby dla niego nie przywieziono.

Palila się młoda głowa myślą wielką, aby z innym rycerstwem chrześcijańskim iść razem

na odzyskanie grobu Zbawiciela, i ledwie go tém powstrzymać było można, iż pogan miał pod bokiem, od których niebezpieczeństwo groziło i zwalczyć ich naprzód było potrzeba. Niejeden już raz Bolko padał do nóg ojcu, błagając go, aby mu choć ze stu rycerzami dobranymi iść dozwolił z królmi i książętami chrześcijańskimi na odzyskanie Jerozolimy.

Ilekróć zadrgała ta sprawa święta na zachodzie, Bolko się nią rozgorączkował; ani wiek, ani kraju położenie puścić go na niepewne losy nie dozwalały.

Sieciech wprawdzie niezbyt był temu przeciwnym, lecz opierającego się ojca nie śmiał namawiać.

Na małym dworze królewicza tylko o podobnych rycerskich dziełach myślano i rozprawiano: o podboju Pomorców, o wojnie dla krzyża świętego, o zawojowaniu ziem nowych, ustaleniu granic, odzyskaniu krajów jednego języka, które Niemcy zagarnęli i obsadzali swoimi. Bolko miał wszystkie przymioty ówczesnego rycerza chrześcijańskiego, pobożność wielką, poszanowanie słabych, cześć dla starości, nienstraszone męstwo w boju i miłość wypraw nęcących niepodobiestwy i niebezpieczeństwami. Rzucił się najzapałczywiej tam, gdzie coś nadzwyczajnego mógł dokazać, spełnić jakiś czyn bohaterski.

Cała ta garstka młodzieży, zowiąca się jego drużyną, do niego była podobną i naśladować go usiłowała.

Tu ściśle przestrzegano aby żadna z form rycerskich, z praw przyjętych na Zachodzie, zaniedbaną nie była; nie wyruszano w pole bez modlitwy i śpiewu, nie zabijano proszącego o miłosierdzie, obraniano bezbronych. Nawet najdrobniejsze przepisy w trzymaniu włóczni, we wdziękaniu zbroi, w użyciu oręza ściśle były przestrzegane, z czego prości ludzie naśmiewali się trochę.

Nie dziw też iż drużyna Bolka Zbigniewową wysmiewała, sposób życia starszego królewicza wyszydzała, z pogardą mówiąc o kleryku, o jego hałaśliwej gromadzie, o miłośkach z niemką płochą i całym obchodzeniu się niezręcznym a dumnym.

Królowa zdawała się o Greta stosunkach ze Zbigniewem nie wiedzieć wcale, choć one nie były tajemnicą dla nikogo. Greta potroszę się z tém chwaliła, a królewicz też nie dbał o ludzi.

Bolko od dworu Judyty zdala się trzymał, albo się wcale u niej nie pokazywał, lub milczący przychodził na rozkaz ojca, niedługo pobyt i wymykał się do swoich.

Nie udało się macosze w ten sposób go opanovać jak ujęła Zbigniewa; Greta zawczasu próbowała go sobie pozyskać i została odepchniętą pogardliwie, inne też nie były szczęśliwsze. Nie



miały dlań niewiasty uroku, a wychowanie meżkie nauczyło go niemi pogardzać niemal, jako istotami słabemi, którym poddanie się uwłacza rycerzowi. Matki nie znał Bolko, wychował się od dziecka na meżkich rękach; macocha, której nikt nie szanował, wstąpił w nim i obawę obudzała.

Słyszał o tém jak na Zachodzie rycerstwo czciło piękne panie, którym wiekuiłą miłość poprzysięgało, lecz wyobrażał sobie niewiasty godne takiego przywiązania wcale innemi nad te których dwór królowej był pełen...

Wszyscy już prześladowali niemkę klerykiem, gdy jednego dnia w przedsięni dworca, Bolko idąc do ojca na drodze swój spotkał stojącą Gretę.

Nie mógł i on się powstrzymać.

— E! piękna Greto! — zawołał — zapomniałem ci powinszować zwycięstwa. Słyszałem upolowałaś dużego ptaka.

— Jakiego? gdzie? — spytała czerwieniąc się z gniewu niemka.

— Ludzie go zowią czasem królewiczem, drudzy klerykiem, a mnie kazano go bratem nazywać. Prawdaż to piękna Greto?

Dziewczyna nie nie odpowiadając, popatrzyła mu w oczy dumnie, pozwalala mu się domyślać, nawet że miłości téj na zemstę użyć potrafi.

Bolko po młodzieńczemu szydził.

— Piękny chłop! — rzekł — ale piękna Greta warta była zgrabniejszego. Nauczyłaś go tańcować i śpiewać? Do chóru w kościele nie wątpię że się przyda, ale do pieśni przy płasach, chyba wy go nałożyć potraficie.

Greta płonąła gniewem.

— Dużo innych rzeczy trzeba by go uczyć, piękna Greto! — śmiał się nielitościwy Bolko. — Nie wiem jak sobie z niewiastą poczyna, ale z koniem niedobrze, z łukiem lichy, z oszczepem niezdarne.

Nie mogła już niemka wytrzymać szyderstwa i z ust się jej wyrwało.

— Patrzcie tylko, aby ten niezgrabny człek kiedy się wam nie dał we znaki!

— A! o to się nie frasujcie, — odparł Bolko — ja się niedźwiedzi lękać nie zwykłem. Wiecie pewnie, boć to we dworze wszystkim wiadomo, że, dawno temu ubił jednego właśnie gdy się do samicy zalecał.

Grecie zdawać się mogło że w Bolku zazdrość mówiła, wesole chłopie, wcale o tém nie myślało, bo niemka była dlań niepiękniejszą od innych...

— Tak, piękna Greto, — dodał uczcie go a uczcie, bo dużo rzeczy nie umie i wiele się potrzebuje dowiedzieć, a lepszego ochmistrza nad was nie znajdzie!

Rzuciła nań oczyma zlemi niemka, jakby mu grozić chciała. Bolko się uśmiechnął.

— Nie gniewaj się, piękna Greto — rzekł zabierając się iść dalej. — Cały dwór prawi głośno żeście mu obróżę nałożyli i na podwiązce go prowadzicie, nie godziło się bym wam nie winszował! Gotowiście jeszcze królewicza poślubić i zostać mi bratową! Ho! ho! — Śmiech Bolka rozjątrzył do ostatka dziewczynę, zdąła zacisnąwszy pięść spojrzła nań wyzywająca, łagodna jej twarzyczka zmieniła się nagle w głowę Meduzy, niebieskie oczy zciemniały, twarz zbladła, usta zadrgały, zęby się ścięły...

— Poznasz ty mnie i jego! — szepnęła odchodząc, — poznasz! a ja ci te szyderstwa przypomnę. I szybkim krokiem pobięła na skargę do królowej.

VII.

Na dworcu biskupim w Gnieźnie, w wielkiej izbie przyciemnionej, jednego z tych dni, zasiadała rada duchownych.

Okolo wielkiego stołu, ciemnym okrytego kołbiercem, na krzesłach obok sędziwego arcybiskupa Marcina, widać było po prawej ręce Lamberta krakowskiego biskupa, po lewej Dyonizego poznańskiego, dalej Paulina Ciołka kruszwickiego i Filipa płockiego.

W pośrodku pomiędzy nimi stał krucyfiks srebrny, a przy nim leżała bogato oprawna księga ewangelij. Izba wyglądająca jak klasztor, ciemna, smutna, nie miała innych ozdób nad miedziane naczynie do wody święconej, a w kątku dzban i miednicę podobną.

Zasiadali w niej biskupi sami, a narada ważną

i trudną być musiała, gdyż po zagajeniu jej przez areybiskupa, długie panowało milczenie. Starzec oczekiwał głosu jednego z braci, powiodł oczyma po milezących, a widząc, że nikt się ze słowem nie spieszy, ciągnął dalej powolnie i łagodnie:

— Przelanej krwi męczennika Stanisława winniśmy, bracia mili, iż wiara chrześcijańska i powaga nasza w kraju tym się utrzymała. Zwyciężyła prawda. Chrystus Pan pognębił nieprzyjaciół krzyża świętego, szatana i czeladź jego sprośną. Zachwiana maluczko władza nasza, wróciła nam z czynszem i przybytkiem. Z władzą tą odpowiedzialność też ciąży na ramionach naszych, za wszystko, cokolwiek się dzieje i stanie.

Dlatego wem wazwał was ojcowie mili, abyście ze mną wraz myśleli i radzili o losach kraju tego, nad któremi zaprawdę czuwać potrzeba; bo nie ma, ktoby się nim opiekował, oprócz miłosierdzia Bożego.

Szatan nie śpi!

— Alboż zagraża mu niebezpieczeństwo jakie? — zapytał biskup Lambert — my o żadnym nie wiemy!

— A ja widzę je i sędzę wielkim — mówił areybiskup powoli. — Myśmy tu nadzorecy i stróże, do kogoż, jeśli nie do nas należy czuwanie?

Króla mamy bez korony; dogorywa dobry, pobożny pan bez woli i siły. Sieciech pod nim kopie zasadzki, cesarska siostra trzyma z nim,

opanować chcą królestwo to, aby je zaprzędali. Dopuszczymyż, aby państwo poszło na ręce obce, a kościół nasz pod zarząd Magdeburskiej metropolii!

— Król synów ma dwu — przerwał Dyonizy poznański — nie grozi więc z tej strony niebezpieczeństwo.

— Tak, lecz na obu ich Sieciech godzi — jawnym to jest — odezwał się o. Marcin. — Przy królu cień władzy, przy wojewodzie siła. Na grodach ma starostów ze swęj ręki, w wojsku dowódców którzy z nim trzymają, władza wszystkim, skarbami swemi sumienia kupuje. Królem chce być. Źle nam ze słabym, z tym gorzej będzie, przebiegły jest.

Milczenie długie przedzieliło pytanie to, od nierychłej odpowiedzi biskupa Paulina.

— Przewielebny ojeze — odezwał się powolnie rzucając wyrazy, które ważył ostrożnie. — Widzi mi się, że przedewszystkiem patrzeć nam potrzeba, gdzie dla wiary a dla powagi Rzymu pożytek. Ten, czy ów panować będzie, nam o to idzie, aby był posłusznym kościołowi, aby się krzewiła wiara, mnożyły dochody duchowieństwa, rosła przez nie chwala Boża.

— Tak jest — odezwał się Filip płocki — obojętna dla nas, kto panować będzie ze zrządzenia Bożego. Przyznaję, iż ja sam niedawno

jeszcze obawy nie miałem od Sieciecha, dziś stawi mi się to inaczej.

Jeżeli on zawładnie i opanuje kraj: zuchwały, silny, przebiegły, sam jeden na państwo wielkie, rycerz moenry i czujny, ażali w nim nie mamy się obawiać drugiego Szczodrego, co zechce kościołem rządzić, zamiast mu ulegać?

Zaprawdę dla nas korzystniejszém jest, aby było kilku panów, z władzą i siłą mniejszą, bo ci się łatwiej powodować dadzą, i oni nas, nie my ich potrzebować będziemy. My, pasterze zawsze z sobą zgodni i jedni, w pomoc sobie przychodzić będziemy, oni w rozterkach do nas się uciekać będą musieli. Nie o moc nam idzie ani o pychę panowania, ale o kościół i wiarę.

Kraj choćby podzielonym był, jeżeli połączenia ku obronie zapotrzebuje, przez nas je otrzyma; niech mu panuje jeden arcybiskup z biskupy, miasto króla — lepiej będzie.

— Kościołowi nie zagraża nie — począł Lambert krakowski — dzięki krwi męczennika naszego, nikt już się władzy jego opierać nie odważy. Spróbowali, jak ciężką jest ręka jego, jak straszny miecz mściwy, jak wielka potęga ogarniająca świat. Szukajmy, co dla kraju lepsze, o los kościoła, zaprawdę, spokojni być możemy, bracia mili.

— Ale przymnożyć mu bezpieczeństwa i oprzeć je na mocniejszych podstawach — odezwał się

Filip — nigdy zbytcezném nie jest. Nie padnie kościół na opoce zbudowany, ani przemogą go piekielne siły, lecz oszczędzić mu dni ciężkich, gdy w mocy naszej, należy. Nie sobie ani dla siebie staramy się, dla matki naszej. *Non nobis, non nobis sed nomini tuo da gloriam.*

Spojrzeni po sobie biskupi, arcybiskup milezał z głową spuszczoną, rękę na ewangeli złożywszy.

— Bracia mili — począł znowu — powtarzam, com rzekł: Król słabym jest, Sieciech dla królestwa i dla nas straszny. Nie utrzyma się on bez cesarza, a panowanie cesarskie kościołowi odejmie siłę, przeniesie ją gdzieindziej. Czynieć potrzeba co można, aby spadek po królu dzieciom jego pozostał.

Cóżbyście rzekli, gdyby Władysław zawczasu chciał państwo między synów swych podzielić? sobie pozostawując Płock, który pokochał, i w którym chce dokonać żywota?

Spojrzał po słuchających arcybiskup, badając wrażenie, jakie słowa jego wywierały i mówił dalej:

— Zeznał mi król, iż za żywota uczynić to pragnie. Sieciech niewątpliwie stanie na przeszkodzie przeciw myśli zbawiennéj, my, pomocą jój być powinniśmy.

Jak sądziecie bracia najmilsi?

Biskupi milezeli, rzecz to dla nich była nowa,

którą każdy chciał rozważyć, nimby wyrzekł, co o niej myśli.

— Sam król wam to zwierzył — zapytał biskup Lambert.

— Tak jest, mam to z ust jego — rzekł arcybiskup. — Radziłem, aby wiec zwołał duchowną i świecką swą radę i starszyznę. Kto wie, czy będzie śmiały i mógł to uczynić, jeżeli my mu w pomoc nie przyjdziemy. Mamyli posilkować? mówcie.

— Zaprawdę! zaprawdę! — odezwał się Filip pierwszy — powinniśmy.

— Dla mnie — począł Paulin kruszwicki — wątpliwa jeszcze, czyli podział na dwu nie jest wojny nasieniem. Widziałem pod Kruszwicą leżącego Zbigniewa, nie sędzę go panowania godnym, bo do niego jest niezdolnym, dumnym i cheiwym władzy, umysłu płytkiego. Ambicya w nim wielka przy słabości i małej odwadze. Zaburzy kraj.

— Ja, którym się przyczynił do uwolnienia Zbigniewa — odezwał się arcybiskup — lepiej o nim trzymam. Człek się z niego wyrobić powinien, a widzę w nim, czego i rycerski Bolko nie ma, naukę. Czyta pismo, rozumie słowo Boże, dzieckiem klasztorńm jest.

— Ojeze mój — wtrącił żywo Paulin — nie znam gorszych nieprzyjaciół, jeżeli nie kościoła to duchowieństwa, nad tych, co się z murów klasztoru wyrwali. Boją się go. Przykład mieliśmy

w Czechach. Wolę pobożnego rycerza, niż wywłokę, co zbiegł z pod klautury — powtórzę — boję się go. Pismo znając, obracać je będzie krzywo na usprawiedliwienie swoje. Bez nauki Bolko nas potrzebować dla niej musi — ów niedouczony, pomiatać zechce nami.

— Surowi dłań jesteście — odezwał się arcybiskup.

Zbigniew miał prawa, bo choć małżeństwo, z którego się rodził, przez kościół pobłogosławione nie było, nadówczas i po dziś dzień małżeństw jest takich wiele. Przejdźcie kraj, policzcie, ile podobnych w nim. Wszakci dopiero wdrażać poczynamy do tego lud chrześcijański tutejszy, aby się starym obyczajem nie brał i nie rzucił samowolnie, jak bydło. Władysław ową Hannę za żonę miał, Zbigniew prawym synem jest i ma pierworodztwo.

— Temu nie przeczę — rzekł Paulin — boleję tylko, że miasto jednego dwu ich jest.

— Lecz dla nas lepszym, choćby i dziesięciu ich było — odezwał się Lambert — albo tylu, ilu nas jest. Stałby przy każdym pasterz na straży. Siły zbyt wielkiej w jednym ręku dopuszczać nie możemy, by się nie stało co z cesarzem, co ze Szeszodrym. Oni, jak skoro moc poczują, panować nam chcą, a tego się cierpieć nie godzi. Kościół wiódł i kierował od czasów Konstantyna po dni dzisiejsze, bo w nim było światło, musi też po

nad korony i berła doczesne stać i z rąk wodzów nie puszczać. Cesarze niemieccy gdy zawojowali kraje wielkie, wnet przeciwko władzy kościoła wystąpili, chcąc go sobie uczynić podwładnym.

— My się tu już weale pokus podobnych obawiać nie możemy — dodał arcybiskup — górą stoimy i nie przestaniemy stać. Przeciw kościołowi nie wystąpi nikt, kościół trzyma, kościół panuje, kościół rządzi; król niezem innem nie jest, jak z Rzymu namaszczonym pełnomocnikiem i ręką jego. Pierwszym sługą.

Umilkli drudzy, nie poczynał nikt.

— Niechaj więc ten podział kraju przyjdzie do skutku — odezwał się arcybiskup. Zapobieży on uzurpacji Sieciechowój. Przyczynmy się wszyscy do dzieła tego. Zwołajmy po dyecezyach naszych przedniejszych ziemian, władyków i żupanów, włóżmy na sumienie ich, aby w tém królowi byli pomoeni.

Macieli co przeciwko temu?

Zatoczył wzrokiem arcybiskup, spoglądając po milczącej braci. Nie odzywał się nikt, nikt przeczyć nie śmiał.

— Co z tego podziału wyniknąć może — rzekł Lambert po chwili — przeniknąć trudno. Jeden z nich zechceci drugiemu być podległym? Rozłamię się li państwo i osłabnie, zwłaszcza, jeżeli nierycerskiego ducha Zbigniew, prawem starszeństwa zapanuje?

— Czuwać będziemy — odparł Paulin — tém lepiej dla nas, iż obejść się bez pasterzy swych nie będą mogli.

— Sieciech nad wszystko niebezpieczniejszy — dodał o. Marcin.

Nie było już sporu.

— Niech się więc stanie po myśli króla i wzdle jego natchnienia, jakie mu Bóg zesłał — rzekł Lambert.

Nie spierano się z sędziwą głową kościoła, choć może zdania były niejedne, a Sieciech i tu mógł mieć utajonych sprzymierzeńców. Ale ci mówić za nim nie śmieli. Groźba podległości i zależności od cesarstwa i Magdeburga, starczyła na powstrzymanie zdań przeciwnych.

— Uczynić więc należy przygotowania do wiecu — zakończył arcybiskup — a wykonać je zawczasu, ażeby Sieciech nas nie ubiegł, który chcieć go nie może.

Przeciwko niemu jedni my tylko skutecznie wystąpić możemy. Usluchają nas ziemianie i królowi w pomoc przyjdą.

Zatém rozpoczęła się narada nad środkami wykonania i przeciagnęła długo, aż obmyślane i postanowione zostały.

Wstał nareszcie sędziwy starzec, i jak przed tą naradą wiódł do kościoła dla odśpiewania hymnu do Ducha Świętego, tak po niej popro-

wadził duchowieństwo do katedry, gdzie dziękczynny hymn zanucono.

Nie był nowością zjazd biskupów, ani mógł jakkolwiek wzbudzać obawę i podejrzenie; w sprawach kościoła powoływał często arcybiskup innych pasterzy dla narady, a świecka władza ani śmiała ani mogła mięszać się do kościelnych zborów. Mogli więc bezpiecznie biskupi przedsiębrać środki, jakie się im zdały właściwe, nie doznając żadnej przeszkody. W tej chwili właśnie po upadku Szczodrego, po klątwie i interdykcie, potęga duchowieństwa była największą, a władza świecka mierzyć się z nią nie ważyła. W istocie kościół panował nad krajem.

Wieczór spędziwszy na wspólnej modlitwie i rozmowie z arcypasterzem, nazajutrz już powracali do stolic swoich. Wprost z katedry rozjechali się biskupi.

Każdy z nich od kościoła do kościoła jechał, od klasztoru do klasztoru, stawał u proboszczów, a zdążywszy do granic swęj dyecezyi, zbaczał do znacniejszych dworów, lub zwoływał ziemian do dziekanów, aby im objawić, co czynić mieli. Opierać się woli biskupiej nikt nie mógł; pamięć strasznych skutków klątwy i wyłączenia ze społeczeństwa chrześcijańskiego, była wszystkim jeszcze przytomna. Królowi prędzej ważyłby się kto nieposłusznym okazać, niż temu, co go za życia mógł uczynić obeym, nawet rodzinie, a po skonie od-

mówić mu pogrzebu na poświęconej ziemi. Legenda o Szczodrym, krwawy dramat, po którym ledwie oschły lzy i zatarły się ślady, napelniał trwogą umysły.

Król wygnany, zmarły bez wieści, w szaleństwie czy pokucie; dziecię jego wśród wesela zgładzone niewidzialną ręką, w której przeczuwano prawicę Bożą, stały przed oczyma wszystkich.

Pasterze powróciwszy z Gniezna, natychmiast rozpoczęli o wiec starania, sami lub przez podwładne sobie duchowieństwo.

I stało się, że wkrótce potem po wszystkich krajach ruszyli się ziemianie, władcy, żupanowie, starszyzna zbierając na ów wiec zwołany potajemnie. Nawet ci, co Sieciechowi sprzyjali, zmuszeni byli jechać z innemi i stawić się nań, aby postąpić potem, jak im będzie rozkazano. Nadzwyczajne te przygotowania, nie mogły ujść baczności Sieciecha.

Wojewoda, który czynnie około własnej sprawy chodził i zamki objeżdżał, znajdował się właśnie na jednym z grodów, trzymanyh przezeń z łaski króla, (choć wszystkie one prawie były w jego rękach) gdy nadbieżał do niego jeden z najwierniejszych sług, Strzepa, nocą już domagając się pilno, aby go do wojewody natychmiast wpuszczono. Zdawało mu się, że on pierwszy

przywiezie Sieciechowi wiadomość o znowie duchowienstwa i ziemian przeciw niemu.

Wojewoda widząc wbiegającego do izby, w której siedział jeszcze na naradzie ze starostą i wojuskową starszyzną Strzepę kurzem okrytego, w helmie, z twarzą przelekką i oczyma zaognionemi, zmierzył go wzrokiem niemal szyderskim.

— Za pilną sprawą jade, goniąc za miłością waszą — wykrzyknął przybyły, hełm zdejmując i z potu ocierając skronie — za sprawą pilną bardzo!

— Bóg zapłać — odpowiedział z półśmiechem wojewoda. — Siadaj na ławie, spocznij, tehu nabierz. Za dobrą wolę waszą wdzięczny jestem, choć nie wiem, z czém przybywacie. Boddaj jednak, czy wielka i pilna nowina, która was tu pędziła, wprzód niż wy, nie dobiegła do mnie.

Zdziwił się i zmieształ smutnie Strzepa.

— Wiedzieliżbyście już o wiecu? miłościwy panie? — zawołał — a możeż to być?

Wojewoda dał mu znak głową potwierdzający.

— Wiem o nim, ani się frasuję zbytnio — rzekł. — Pracują nieprzyjaciele moi i ja nie spie. Niech wiecują, radzą, niechaj dzieła jako chcą, nie to nie pomoże. Silniejsi przez to nademnie nie będą. Wiec jest sprawą arcybiskupa Marcina,

z którym do jawnej walki występować nie mogę. Obróci się ich własna robota przeciwko nim.

— Tak mówicie — odezwał się zdumiony Strzepa.

— Mówię tak i spokojnie na to poglądam — ciągnął dalej Sieciech. — Dwu czy dziesięciu ich stanie, w zgodzie z sobą nie będą. Nie lękam się tego. Młokosom podolać łatwem będzie. Król przy sobie zwierzchnią zatrzyma władzę...

— Na wiecu ozwą się przeciw wam głosy nieprzyjaciół! — zawołał Strzepa.

— Przeciw mnie jedne, za mną drugie — rzekł wojewoda. — Król, który z arcybiskupem się naradzał, który mi sprzyja, którego w rękach mam, nie powiedział mi nic. Znam go i sędzę z milczenia, że krzywdy uczynić mi nie da. Gdyby gniew miał a niewiare, wydalby się z nią. Królewicze oba podemną zostaną. Nie lękam się ich, bo wprzód nim walkę z Sieciechem, rozpoczną z sobą.

Szydersko rozśmiawszy się wojewoda, zamilkł nagle, jak gdyby kończyć nie chciał. Dopiero odprawivszy tych, co z nim siedzieli, wrócił do oczekującego Strzepy.

— Nie lękajcie się — rzekł — ani o mnie ni o siebie. Z dwu słabych, nikt jednego monego nie sklei. Pójdą na wojnę w pulkach tyśiącznicy moi, sotnicy także, po zamkach ludzie z méj ręki, powinowaci i druhowie; co oni z tą



garścią poczną, którą koło siebie mają! Nie dadzą im uczynić nic, tylko co ja zechcę i pozwolę. Królewicze w moich palcach będą siekierą i dłutem, ani się spodzieją, jak pokieruję niemi. Gdy zechcę, spuszczę ich na siebie, aby się gryzli, gdy zażadam, pójda gdzie wskażę i myśleć będą, że idą po własnej woli. Nie lękajcie się o mnie, powtarzam wam.

Strzepa człek bojaźliwy, ostrożny, a przytém gorący, nie miał zimnej krwi i zaufania w sobie Sieciecha; słuchał, ale widać było po nim, że tej wiary w bezpieczną przyszłość nie podzielał.

— Pewna to, że wasza miłość, dobrze wiecie co czynicie — rzekł, wzdychając — ale zbyt ufać ludziom i bezpiecznym się czuć, nie dobrze. Bolko ma wielką miłość u rycerstwa, u dworu, między ziemiany. Zbigniew, powiadają wymowny, przebiegły i przewrotny.

Wojewoda wzgardliwą przybrał postawę.

— Zbigniew chciwy wszystkiego, a do niczego nie zdolny — rzekł — rycerz z niego nie będzie, a u nas kto nie wojak, tym pogardzą. Bolko go nie lubi i złamie.

— A Bolka kto? — odezwał się Strzepa, z tym trudniój?

Sieciech długo nie mówił nic, naostatek wywarło mu się:

— On sam; gdyby go wierna drużyna nie trzymała na wodzy, dawnoby już oszczep Pomorca,

albo kły dzika przecięły te rycerskie zapędy. Zbyt zuchwały jest, sam się zgubi.

Strzepa się nie sprzeciwił i zamilkł. Wojewoda począł się po izbie przechadzać. Zwrócił się ku niemu:

— Cóż o wiecu prawią?

— Gotują się doń wszyscy, a najgoręcej nieprzyjaciele wasi.

Z tych, co wam są wierni, dużo jechać nie chce, aby przeciwko arcybiskupowi nie stawać i wam się nie sprzeniewierzyć. Starego się obawiają.

— Moim dawajcie znać owszém, aby się stawali wszyscy — odparł Sieciech — i mężnie stali przy mnie. Gdy ich nie stanie, sam jeden będę.

Po tej rozmowie, Strzepa ledwie spoczawszy, ruszył znowu, gońców rozesłano na wszystkie strony z hasłem nowém. Gdy duchowieństwo od siebie nagliło o zbór liczny, z drugiego Sieciech przykazywał się stawić, ruszało się, co żyło. Dawno już nie pamiętano takiego ruchu i gromad, a pocztów na gościach; niektórzy, co od lat wielu z lasów się na świat nie pokazywali, wyciągnęli do Płocka. Tu się już sposobiono na przyjęcie, choć nikt nie mówił o niém, a król zdawał się nie chcieć wiedzieć o niczém. Królowa uwiadomiona przez Sieciecha, niepokoila się mocno, ufając tylko zręczności wojewody, że potrafi te zamachy odeprzeć; Zbigniew miał wiadomość od

areybiskupa i czekał, nie odjeżdżając z Płocka, Bolkowi ojciec zakazał się na dłuższy czas oddać, aby na zawołanie był pod ręką... Niepokój był w powietrzu, a najbardziej dolegał choremu królowi, dla którego oczekiwanie stawało się nieznośną męczarnią.

Jesienny dzień wrześnieowy potajemnie na zjazd był naznaczony, pogoda mu sprzyjała, a pożądaną była wszystkim, gdyż mnogich i licznych pocztów ani zamek, ani miasteczko pomieścić nie mogło.

Gospody dla duchownych panów były u biskupa i na zamku w klasztorze Benedyktynów; panowie świeccy obozem się musieli kłaść na dolinie, namioty rozbijać i w nich z dworami swemi mieścić.

Na podzameczu już kilka dni przed zjazdem ciągnęły wozy, konie powodne, czeladzie, parobcy, którzy place zajmowali, koły bili, żłoby stawili, namioty rozkładali i dla panów swych co najlepsze starali się dostać stanowisko. Roilo się pod grodem, roilo po gościńcach, w uliczkach, na targowicy, dokoła mieściny, u studzien, nad rzeką, po łąkach.

Z okien zamku mógł te przygotowania widzieć król i królowa, a nikt się o nich odzywać nie śmiał. Naostatek w wigilię dnia św. Wawrzyńca, niektórzy z dalszych stron od Krakowa, Sandomierza, Wrocławia, co się najbardziej opóźnić lekali, ścigać się zaczęli.

Napatrzeć się było można pocztów różnych, zbroi wszelakiej i ryszunków, bo nie wszyscy się jednako zbroili i chadzali. Od granic niemieckich z nad Łaby wtargał obyczaj zachodni; władcy niemcom byli szczególniejszą zbroją podobni, którą sobie z tamtąd dostawali, z Saksonii, od Franków i z dalszych krajów. Szląc ciągle też miał stosunki z Czechami i Niemcami razem, to też obojga języka i odzieży pełno było.

Przeciągały przez Polskę karawany kupieckie z Rusi, wioząc z sobą wszelaką kupię ze wschodu, której wiele tu pozostawało.

Od Bolesława Wielkiego stawiała się ziemia Polan dostatkami wielkimi, obfitością wszystkiego, tak, że mnich, który czyny Bolesława Krzywoustego opiewał, sławił pod te czasy jej: „powietrze zdrowe, ziemię żyzną, lasy miodorodne, wody rybopłodne, rycerzy mężnych, wieśniaków pracowitych, konie wytrwałe, woły oracze, krowy mleczne, owce wełniste“<sup>1)</sup>.

Ten dostatek ziemi widać na jej synach było, a choć świetności cesarskich dworów nie znalazł tu obcy człek, ziemianie Władysławowi nie ustępowali zamożnością i okazałością pocztów panom na Zachodzie. Inaczej tylko ona się przedstawiała. Wiódł każdy z sobą po sto, po kilkadziesiąt koni dla bezpieczeństwa i wystawy, ciągnęły się wozy

<sup>1)</sup> Gallus.

ładowne i obfite zasoby wszystkiego co do życia było potrzebném. Po drodze zaciążyć osadom i szukać przeżywienia nikt nie chciał, ani też wszędzie dostać było można żywności. Dla koni i sobie musiano wozić strawę. Każdy orszak zwiększał się tém jeszcze. Jeden władyka ciągnął za sobą czeladzi i ciurów gromadę.

Z wieczora już szare i pasiaste namioty gęsto się rozsiadały na łące, a około nich ogniska zapalać zaczęły. Rżały konie i psy, które każdy prowadził z sobą ujadają wyzywając się.

Stawali ziemianie każdój części odrębnie przy sobie tak, że którzy od Krakowa szli spolem namioty rozbijali, Sandomierzanie przy sobie, Szlązacy, Mazury i Polanie, każdy obozem swoim. Opola też do jednego grodu należące łączyły się do kupy. Niektórzy ludzie rycerscy obyczajem zachodnim u namiotów na wysokich żerdziach chorągiewki i znamiona wywieszali.

Sieciech nie spiesząc wprzód, umyślnie dopiero tego wieczora nadeiagnął, i, jak gdyby chciał potęgę swą a moc okazać, wystąpił z poczem ludzi półtorój seciny liczącym pod chorągwią własną, z rogami, trębaczami w jedną barwę przybrawszy cały swój orszak, wśród którego on na koniu dzielnym, w kółpaku z piórem, w pasie rycerskim, z łańcuchem złotym na szyi, w płaszczu książęcym jechał rażno i wesolo... a dla okazania też, że on tu gospodarzem nie gościem,

na łąkę nie pociągnął z drugimi, ani gospody szukał, ale wprost na zamek się obrócił, trąbiąc rozkazując i jakby uroczysty wjazd odprawując w oczach wszystkich.

Czeladzie i władcy, którzy już byli w obozie, zbiegli się patrzeć na to widowisko, ustawując kupami po obu stronach drogi.

W nieprzyjaciolach Sieciecha to wyzywanie i jakby naigrzanie się z nich wywoływało gniewy i oburzenie: drubowie milezeli ciesząc się, iż swojego pewnym być musiał, gdy tak wspaniale występował bez żadnej obawy.

Wojewoda z konia zsiadłszy dopiero przed królewskim dworcem, naprzód do pana szedł z czolobitnością należną, chociaż wiedział, że go nie zastanie samym, bo mu po drodze oznajmiono iż arcybiskup, kilku duchownych i świeckich panów już go poprzedzili.

Gdy wojewoda w progu się ukazał, król w obec wszystkich wstał i przeciw niemu poszedł kilka kroków, a objawszy go rękami, z czułością wielką powitał, aby jawnie okazał, że serca jego i łaski nie utracił.

Z trwogą podniósł ku niemu oczy lękając się gniewu, lecz Sieciech nadto przebiegłym był, ażeby się z nim wydał przy świadkach. Owszém licem wesolém króla i przytomnych powitał, jak gdyby okazać chciał, że go niesłusznie oskarżano.

Arcybiskup nie czekając, natychmiast objawił

głośno z czém przybywali duchowni i świeccy panowie i czego współ z królem życzyli, wolał zaraz opór złamać i postąpić otwarcie.

Wojewoda nie wydał się z tém co myślał, wysłuchał wniosku, a gdy się doń zewsząd zwracano, rzekł spokojnie.

— Jeżeli najmiłościwszy pan nasz, a ojcowie duchowni współ z panami ziemiany — widzą, iż dla uspokojenia i ładu w królestwie tém, potrzebny jest podział zawczesny, — a czemużby się za dosć woli pana naszego i ziemian stać nie miało?

Dodał, iż dobrém to nawet znajdował, że król za żywota przekonać się mógł, jak się synowie jego do rządów brać będą, ciesząc ich walecznością i rozumem.

Po tém przemówieniu Sieciecha, który się niczemu nie przeciwiał, duchownym i świeckim panom nie pozostało już nazajutrz nic, tylko uroczyste dokonać, co postanowiono.

Król słuchając Sieciecha radował się niewypowiedzianie, a gdy ten mówić dokończył, wstał go uściskać odzywając się, iż na jego opiekę i pomoc dla dzieci najwięcej rachuje.

— Ten to jest, — odezwał się wskazując na wojewodę biskupom i wszystkim przytomnym, — ten jest, któremu winien królestwa utrzymanie i bezpieczeństwo; ten jest, który niem za mnie rządził, obraniał je, zbogacił i dał mu zakwitnąć; ten jest

któremu zawdzięczam pokój dni moich, sam nieudolnym będąc i schorzałym.

A jako się mną opiekował, tak mam nadzieję, że synów moich z ojcowską pieczołowitością strzedz nie przestanie.

Arcybiskup Marcin nie mógł podziwienia swego ukryć, widząc Sieciecha tak na wszystko gotowym, gdy opór się w nim znaleźć spodziewał, spojrział nań niedowierzająco i rzekł z powagą kapłańską:

— Bogu niech będą Najwyższemu dzięki, iżeśmy wszyscy zgodni a jedno dobrém widziemy.

U królowej wieczorem dawnym obyczajem stoły były zastawione dla wszystkich, którzykolwiek przybyć chcieli. Czeladzi ucztę na podwórcach zgotowano, beczki powytaczano, ustawiono kadzie i cebry, chleby, séry, mięsiwa zalegały ogromne pomosty tak, aby nikt nie odszedł głodny.

Zbigniew wśród tłumu przybywających kręcił się czynny, chcąc sobie u ludzi zaskarbić łaskę, wymową łatwą i słowa dobremi ujmując ich sobie.

Bolko na przekorę jemu dnia tego wyruszył w pobliskie lasy na łowy, jakby się wcale nie troszczył o to, co się gotowało, nie zdając dbać, jak ludzie o nim trzymać zechcą, albo nadto ich będąc pewnym. Późno wieczorem, gdy już na obozowisku do snu się zabierano, przeciągnął go-

ścińcem orszak jego wesoly, z psy i sokolami, czwałem objuczony zwierzyną, nucąc śpiew głośny, który się wśród cichej nocy dziwnie rozlegał...

Powybiegali z namiotow ludzie, wiedząc kto pędził, bo go niektórzy poznali, a chcąc przypatrzeć temu, co im miał wkrótce panować. Jednego widzieli już i słyszeli, drugiego dopiero teraz zobaczyli, jak się im mignął przed oczyma. Ten ze swą rycerską butą i młodzieńcem weselem lepiej im do serca przypadał.

Na widok młodego chłopaka z rozwianemi włosy, z podniesioną głową, ręką w bok pędzącego na koniu dzielnie, lica się im rozśmiały. Starym Szczodrego przypomniał, którego gdy nie stało, wielu po nim wzdychało. Choć po nim krwawe wspomnienia w pamięci były, wielu z tych co z nim wojowali na Węgrzech i na Rusi, miłowali go jako rycerza, a ludu prostego choć mówić nie śmiał, powszechnie było mniemanie, iż za swą miłość dla ubogich możni go zgubili.

Ludzie rycersey co za króla Władysława najczęściej nie z nim, ale z Sieciechem chodzić musieli na wyprawę, radzi byli dostać króla mężnego za wodza, a pozbyć się dumnego wojewody.

O Zbigniewie już wiadano, że rozumnym był, ale do włóczni, konia i oręza niezdarnym.

Wojśław, ochmistrz pański na spotkanie Bolka wyszedł kwaśny pomrukując.

— Drudzy tu sobie między ziemiany jednają ludzi, a wasza miłość w lesie — rzekł do zsiadającego.

— Bo ja na słowa ludzi nie łowię, a wolę się na wojnie z niemi serca dorabiać! — zawołał Bolko i rozśmiał się wesoło.

VIII.

Dzień zrazu wstał mglisty, lecz wnet srebrna owa zasłona, owe wilgotne rąbki w które był owity, opadać zaczęły i słońce podniosło się jasne, wesołe, jakby radując widowisku, które miało przed sobą.

Jak świt wszyscy poczęli przyodziewać najpiękniejsze zbroje, najkрасniejsze szaty; kładł na siebie każdy co miał najlepszego, czeladź występowała strojna, a od obozu na podzameczu do grodu na wyżynie dochodziło mruczenie wesołe jakby roju pszczół, co w ulu gospodarował.

Aż zabrzmiał kościelny dzwonek, wołając do Boga przed ołtarz po błogosławieństwo. Choć niewielka naówczas katedra płocka i trzeciej części zgromadzonych nie mogła pomieścić, szli wszyscy,

aby naprzeciw drzwi stanąwszy choć zdala nabożeństwa słuchać.

I król też chory przez dwóch podkomorzyczych wiedziony, co dawno nie bywało, w odświętnych szatach szedł do kościoła z twarzą wychudłą i bladą, ręką drżącą śląc pozdrowienia tym, co się zbiegali przypatrzeć mu i poklonić.

Po drodze parę razy stanął przemawiając do wojewodów i władyków po słów kilka — ale na dłuższą mowę tchu mu nie stawało. Poruszony był wiele.

Za nim szła w orszaku okazałym dworzani swoich królowa z córkami, z niewiasty swojemi, w przepychu wielkim, którym się lubiła pysznić, w sukni złocistej, w łańcuchach i pasie sadzonym, głowę unosząc dumnie, jakby mówić chciała — krwi jestem cesarskiej!

Patrzała z góry na kłaniających się ziemian, co najmłodszym tylko uśmiechając.

Za nią szedł wojewoda wielki, Sieciech we zbroi złoconej, sukni szkarlatem podbitej, co wielu złośliwych oczy zwracało. Witał on pogodnym czołem przyjaciół swych, innych widzieć nie chcąc.

Dalżej ciągnął Zbigniew, który też wspaniale się przyodziwał a cudacko, ogromnemi pióry ozdobniejszy kołpak i miecz sobie przywiesiwszy, który mu zawadzał. Czatował on zawczasu na pochód aby ubiedz Bolka i zająć pierwsze miejsce swe,

które starszemu należało, obawiał się bowiem, aby młodszy go nie uprzedził. — Ten o tém nie myślał, stanął za Zbigniewem z wesołą twarzą we zbroi lśniącej, po rycersku przybrany, piękny, pewien siebie i niedbający o to, jakie mu się miejsce dostało. Młodzieńcze, ogorzałe lice patrzyło wesoło, trochę dumnie, lecz dobrotliwie zarazem. Wszyscy za nim wiedli oczyma.

Gdy król, którego biskup Filip z krzyżem i wodą święconą u drzwi kościelnych przyjmował wszedł na przygotowane dla siebie siedzenie, obok którego królowa niższy tron zasiadła, gdy Zbigniew i Bolko stanęli po prawej i lewej ręce ojca, a wojewoda wielki za nim jakby na straży; dalej dokoła dwór i co najprzedniejsza starszyzna — arcybiskup Marcin wyszedł w kapie naprzód pieśń do Ducha Świętego zanucić, która mszę poprzedziła. Sam on też tego dnia w asystencji dwóch pasterzy krakowskiego i poznańskiego ofiarę świętą odprawiał, w czasie której królowi niesiono do pocałowania ewangelję, a rycerstwo mieczów dobyło wedle obyczaju, który niedawno wprowadzony był w polskim kościele.

Zatém po mszy świętej pieśń jeszcze zanucano i psalm, a po błogosławieństwie pacyfikałem, król, królowa, królewicze w tym samym porządku jak szli na gród wracali. — Nie przyjmowano u stołów na zamku rano aby czasu nie tracić, każdy wprzód u siebie zjadł co miał, i wprost do wiel-

kiej izby radnej gromadzić się poczęto, której drzwi stały otworem, bo się w niej, w sieni i pod-sieniach ledwie mogła starszyzna pomieścić.

Izba ta była tak skromna i niepoczesna, jak wszystkie w owych czasach, na ten dzień tylko zielonością ją posypano i gałęzmi przy ścianach przybrano.

Dla króla tron suknem czerwonym obity stał w głębi, a obok niego takiż sam, nieustępujący mu wielkością dla arcybiskupa gnieźnieńskiego, który z królem dzielił władzę. Szeregiem za nim zasiadali inni biskupi, od krakowskiego poczynając z jednej strony, z drugiej za królem świeccy panowie, na których czele Sieciech się mieścił.

U stopni tronu królewskiego Zbigniew i Bolko stali, rzucając na się skośne wejrzenia. Na nich wszystkie oczy były zwrócone.

Młodszy, ulubieniec ojcowski i tak jak zawsze miał serca za sobą, powierzchowność sama mówiła za nim; dumna i wstręt obudzająca postawa niezgrabnego Zbigniewa raziła ziemian. — Szeptano, przypatrując się to i owo, starszy syn królewski, władyków nabawił strachem — patrzył dziko, uśmiechał się złośliwie.

Nie wrócono po nim nic dobrego. Niezgrabna owa postać jaką miał w klasztorze pod ciasną sutanną, strojem rycerskim zmienić się nie dała. Zbroja na nim leżała jak pożyczana, trzymał się nieco przygarbiony, włos odrosły spadał mu ko-

smykami prostemi jak przylepiony na ramiona; blada i nalana twarz miała wyraz chytry i fałszywy. Na Bolku suknie i blachy były jak ulane, włos obfity w pierścieniach ciemnych wił się na ramionach, lice otwarte, jasne, pałało ogniem i świeciło weselem.

Oba jeszcze nie mieli rycerskich pasów, tylko proste do mieczów przepaski.

Ziemianie spoglądając mówili sobie, że jeden się do zbroi rozził, drugiemu lepiej księża suknia by przystała, i cicho dawano mu Klechy przewisko.

Młodsze duchowieństwo takżeby się doń nie bardzo chętnie przyznało, bo na twarzy rysów grubych, ust oddętych, wykrzywionej namiętnie, niespokojnie się poruszającej, więcej namiętności było niż łagodności i pokory.

Na króla patrząc, którego dwu komorników pod ręce w wiodło i usadowiło, litość brała, tak blady był i drżący, a ręce mu dygotały niespokojnie, gdy na sobie kozuch poprawiał. Oczyma potem powiódł po gromadzie swój, uśmiechając się i zdając się prosić, aby mu miłość wyświadczono.

Głębokie milezenie panowało w izbie natłoczonej, w której tylko najprzedniejsi miejsca zajęli i wiekiem najstarsi. Dalej poza niemi cisnęła się młodzież i domownicy niektórzy, a ze drzwi bo-

cznych wyglądały jedna nad drugą ciekawe głowy dworu królowej.

Rozpoczął arcybiskup modlitwę łacińską, wzywając błogosławieństwa Bożego, przeżegnał i wszyscy przeżegnali się schylając głowy, nastąpiło milczenie. Król mówić miał, ale mu spalone usta odmawiały posłuszeństwa i kubek z wodą za prawną podać musiano dla orzeźwienia.

Zwrócił się naprzód ku duchownym.

— Ojcowie miłościwi — począł głosem cichym, — ziemianie i władcy mili, mówcie z czém do mnie przybywacie, abym waszój prośbie uczynił za-  
dość — jeśli mogę.

Arcybiskup skłonił głowę.

— Miłościwy królu — rzekł głosem pewnym i śmiałym — przyszedliśmy do ciebie, aby schorzałemu pociechę i ulgę przynieść a spójność na najdłuższe lata: ażebyś o ziemie swe nie trwożył się, ani o przyszłe losy, ażali nie byłoby dobrém, spadek zawczasu synom wyznaczyć, sporom zapobiegając, sobie pozostawisz ziemie i grody jakie się zda miłości waszój, na młodych zdać czuwanie.

Nie dla czego innego pragniemy tego, tylko, abyś na duszy był spokojnym, siły mógł za przyczyną patronów naszych i orędowników odzyskać, a żyć nam jak najdłużej. Modlić się będziemy wszyscy do Boga miłościwego, do matki jego, orędowniczki naszój, do świętych Wojciecha, Wa-



clawa i milego patrona waszego Idziego świętego...

Szmer potakujący duchowieństwa wtórował arcybiskupowi skłonili głowy biskupi wszyscy, wielu ziemian podniosło ręce pochwalając zgodnie, król pochylił głowę i rzekł nieco ośmielonym głosem:

— Dobrém mi się widzi, co mówicie ojcze mój, ja też tak myślę i pragnę tego. — Mówcie, radzcie w imię Boże.

Wysunął się Strzepa, pokłonił królowi, oczy nań zewsząd obrócono. Nie wszyscy znali go, poczęto pytać co za jeden był i szmer się rozszedł po izbie.

— Miłościwy królu—rzekł nieco chrypliwie—dobrém to jest na oko, ale i niedobrém się stać może. Po co masz z rąk swych władzę za żywota wypuszczać? Czy to nam z tobą źle, albo ziemię nasze cierpią na tém? Nieprzyjaciel z pomocą Bożą odpierany na każdym kroku lęka się nas, w pokoju gospodarczym, niczego nam nie brak ino byś nam, miłościwy panie zdrów był i jak najdłużej panował!

Przyjdzie kres od Boga wyznaczony, powoła Bóg dzieci tve, czas naówczas będzie, aby objęły co im przypadnie. Poco sobie ręce wiązać za życia i zrzekać się tego co Bóg zlecił?

Mówię to z serca wam oddanego miłościwy

władko nasz, wszyscy którzy cię miłują, nie razi zmieniać pana.

Za Strzepą wnet niektórzy potakiwać zaczęli jak wprzód arcybiskupowi.

— Panuj nam! króluj nam!— odzywali się—dali Bóg przyjdzie czas na tve syny, wezmą co im naznaczone... Żyj nam panie! Żyj! —

Rękę do piersi przykładając poczał król dziękować. Powoli szmer i wołanie przycichły.

— Jeżeli miłujecie mnie,— rzekł Władysław,— oszczędźcież sił moich, bom nie duż, reszty dni poświęcić chcę Bogu, abym u niego na lepsze zarobił królestwo. Policzone są dni moje, myśl słabnie, ręka drży, przez litość mi zastępców dać trzeba, abym o królestwo był bezpiecznym.

Odezwał się ktoś z tłumu.

— Czuwa nad niem pan wojewoda nasz!

— I czuwać nie przestanie,— rzekł król obracając się ku niemu,— ja też patrzeć się, cieszyć i radzić będę, a młodszy niech próbują sił swoich; niech każdy z nich weźmie część mą przeznaczoną, aby więcej nie pożądał, a zgoda święta między braćmi pancwała.

Znowu w gromadzie potakiwać głośno poczęto.

— Czyni, miłościwy królu, jakoś postanowił, czyni! — odezwał się arcybiskup. Duchowieństwo całe powstało i jawnie oświadczając się za królem, przechyliło szalę.

Strzepa i ci co z nim szli, zamilknąć musieli, poglądali po sobie frasobliwi i strwożeni.

Król się do synów obrócił.

— Chcę, rzekł, abyście poprzysięgli przed Bogiem, przed kapłanami jego, ojcami naszymi duchownymi, w obec tych oto ziemian, iż we zgodzie i pokoju mieszkać będziecie.

Zbigniew i Bolko, powołani zbliżyli się do ucałowania ręki ojca i złożenia przysięgi, którą arcybiskup miał przyjąć, naprzód słowy serdecznymi do zachowania jęj pobudzając. Zaczęł począł zwolna słowa wymawiać, które za nim powtarzali, i od kapelana wzięwszy księgę ewangelij dał im ją do pocałowania. Przyklął pobożnie Bolko, pochylił się Zbigniew, na twarzy pierwszego widać było uczucie i wzruszenie, na drugim radość zwycięzka.

Znowu począł mówić król, do zgody namawiając i podnosząc świętość przysięgi, a obróciwszy się do arcybiskupa żądał, aby to w księgach zapisaniem zostało, co się dnia tego postanowi. Zbigniewowi wola króla wyznaczone było Gniezno i Poznań, a po zgonie króla Mazowsze (ziemie które składały dycęzę o. Marcina); Bolkowi przypadł Kraków, Sandomierz i Wrocław, to jest przedniejsza część królestwa.

Władysław kończył głosem drżącym, a zwróciwszy się do Bolka ze łzami w oczach, w głowę go pocałował i uściśnął.

I podział, i sama ta miłości ojcowskiej oznaka, krew poburzyły w Zbigniewie, który bladł i krasniał, oczy spuścił upokorzony, nie rzekł nic, do ręki ani do kolan ojca się nie zbliżył, — stał słupem martwym. Bolko upadł na kolana i nogi króla całował.

Milczenie dziwne panowało w izbie — ludzie spoglądali po sobie. Nie wszysey byli radzi z podziału, osobliwie ci, co się Zbigniewowi dostali. Nierycerskiemu człowiekowi przypadała obrona granic najbardziej zagrożonych; a i ów wzrok przesywający, wilczy przyszłych poddanych napępiał trwogą. Wszystko więc na oko było dokonaniem, gdy wielki wojewoda, który na pozór obojętnie słuchać się zdawał, podniósł się — oczy jego druhów zwróciły się nań ciekawie. Wiedziano, że on tu w istocie panem był, królem władał i posadzano go nawet, że w swoich widokach podział ten zgotować musiał, nie dając znać po sobie.

— Miłościwy królu, — głosem pełnym i swobodnym począł wojewoda — gdyście rozporządzili królestwem swem wedle woli swęj, słudze wiernemu słowo pozwólcie powiedzieć.

Wiele się uczyniło a nie dosyć.

Było to państwo oddawna nierozdzielne, więc choćby teraz dwu panów mieć miało, jeden z nich głową być musi, przy jednym zwierzchnia moc zostanie. Któryż z dwu ma ją mieć?

Król spojrział nań oczyma błagającymi litości.

Ciosem dłań było to pytanie, zmuszające do wybrania jednego, do upośledzenia którego z synów. Długo czekano, aby się Władysław zebrał na odpowiedź.

— Zaprawdę — rzekł król nieśmiało, wahając się. — Stary jestem, niedołężny, widzę co dziś jest, co jutro się stanie odgadnąć nie mogę. Dzielę ziemię, ale wybierając jednego z dwu, gdy oba mi równo mili, nie chcę i nie mogę. Któż wie jak Bóg z niemi postanowi? Któremu z nich da moc? — Jedno rzeknę, po mej śmierci wybierzcie sobie tego, który dzielniejszym rycerzem, obrońcą i opiekunem ziem tych będzie. Wam to zostawiam.

Złożył ręce król i zdawał się modlić.

— Gdyby się Bogu podobało skarać mnie, a obu im niepobłogosławić; gdyby się waśnili z sobą, z nieprzyjaciół się wiazali na zgubę państwa, niech odpadną od działów, niech im rządy będą odebrane, niech — król dla łez dokończyć nie mógł.

W zgromadzeniu gwar powstał cichy i szepty. Widziano, że króla siły się wyczerpały, że wszystko już postanowione było, — skończone, ruszać się poczynali ku drzwiom ziemianie. Arcybiskup laską uderzył o ziemię.

— Na świadectwo wzywam was bracia moi, jaka jest wola króla pana naszego — a teraz podziękujmy Bogu i jemu.

Zawołano — żyj a żyj! — a drudzy z czeska

się odezwali — Boże zmiłuj się nad nami! — Władysław mało co słyszał, tak był poruszony dokonaniem wielkiego dzieła.

Komornicy znowu nadejść musieli i ująć go, aby do kościoła na hymn dziękczynny prowadzić.

Wkrótce potem co żyło, cisnęło się na zamek, gdzie stoły otwarte czekały. Bolko poszedł z ojcem do jego izby, bo stary spoczynku potrzebował.

Zbigniew zniknął.

Zamiast przyjmować powinszowania i poklony ziemian, którzy do jego dzielnicy należeli, — poszedł za skinieniem Grety, która z za drzwi znak mu dała, iż mówić z nim chce pilno. Śmieliej niż kiedy przedarł się do komnaty Niemki, do której dobrze znał drogę. Czekala nań już strojna, niecierpliwa, nauczona pewnie co mówić miała.

— Winszować waszjej miłości! — rzekła z pokłonem przesadzonej pokory szydersko — a! winszować!

— Dali mi gorszy ochłap kraju — odezwał się gniewliwie Zbigniew, — tak... ale ja cały mieć będę. Bolko sobie próżno tuszy, że z Krakowem nademną przewagę otrzyma!!

— Któż to wie? — odparła żywo Greta. — Wszystko być może, jeżeli wy sobie tak poczynać będziecie jak dziś nie po królewsku, a jak dziecię co się nadała. Przez cały czas patrzyliśmy z królową na was, jawnie srożyliście się na brata,

rzucaliście nań oczyma, jakbyście go wyzywali. Toć mądra rzecz nieprzyjacielowi zawczasu oznajmywać — strzeż się a pilnuj, bo o to rzucę się na cię!!

Uśmiechnęła się biała panna i uderzyła w czoło.

— Kto chce podejść a obalić — rzekła — ten całuje i ściska, droży się i zbliża, aby tajemnice posiadał, a zemstę miał łatwą.

Zdziwiony Zbigniew spojrział na nią z pod brwi zachmurzonych.

— O! ty rozumna panno! — zawołał, — jakoś to wymądrowała!

— Widzi mi się niezgorzdej — odezwała się Greta z uśmiechem — czyńcież zgodę, a pospieszajcie póki czas, inaczéj wy mu nie sprostacie. My go z dzieciństwa lepiej znamy, mężny jest i silny, podstępem tylko a chytrością wziąć go można...

Uśmiechnął się królewicz i Niemkę ująwszy w pól pocałował w usta, które tak dobrą radę dawały.

— Nie takli! — spytała — nie mamli ja słuszności?

— Tak uczynię! — odparł Zbigniew, — rozumne słowa wasze.

Szeptać coś potem poczęli pocichu, ale już nie o Bolku i sprawach wielkich, zapewne o sobie. Greta się czerwieniła, gniewała, opierała zra-

zu, spuszczała oczy, uległa naostatku, podali sobie ręce i Zbigniewa twarz zajaśniała weselem.

Aż do komnaty ustronnej dochodził gwar i śmiechy biesiadujących. — Niemka nastawała, aby szedł na swe miejsce Zbigniew i odegnała go od siebie. Królewicz pospieszył od niéj do króla.

Tu zastał zgromadzonych arcybiskupa, wojewodę i Bolka około znużonego starca, któremu podczasy wino podawał, aby nieco siły pokrzepił. W progu już Zbigniew rozjaśnił czoło, przybrał wesołą twarz. Szedł naprzód oju dziękować, który go pocałował w głowę, potem arcybiskupowi poddając się jego opiece i zwierzchnictwu i prosząc o radę, nakoniec zbliżył się do Bolka stojącego na uboczu, wyciągnął doń rękę i uściśnął go na pozór gorąco i serdecznie.

Wszystko to wykonał królewicz zręcznie i nie dając poznać po sobie fałszu. Bolko choć wstręt miał do brata i od Santoka się doń nie zbliżał, łatwo dając się ująć sercem, zapomniał przeszłości, oddał uścisk i rad był, że do zgody wracali.

— Miłujcie się a wspomagajcie nawzajem — rzekł arcybiskup — obu wam z tém będzie bezpieczniej, i dla ziem waszych lepiej. Niech braterskiemu przymierzu Bóg błogosławi!

Sieciech spojrział zdala na te objawy czułości, twarz mu się nieco skrzywiła, lecz wprędce, gdy król nań oczy zwrócił, uśmiechał się już, zdając uradowany.

Bolko, którego równie łatwo było pozyskać jak rozdrażnić, prędko we wszystkim nad miarę, gorący, poddający się pierwszemu wrażeniu — pochwycił Zbigniewa pod rękę i razem z nim wyszedł z komnat ojcowskich.

W podwórzu pełno było ludu, tłumy wszędzie. Usiedli na ławie w przedsieniu, aby być sami.

Zbigniew pospieszył z zapewnieniami pojednania.

— Od tego dnia rzekł, będę ci druhem i bratem wiernym. Chcę się od ciebie uczyć rycerskiego rzemiosła, choć młodszym jesteś. Razem iść będziemy, razem nieprzyjaciół wojować, nie jeden bez drugiego nie czynić.

Bolko go uściśnął powtórnie i począł z uczuciem gorącym.

— Przysięgam ci, dochowam wiary, znajdziesz we mnie brata i przyjaciela. Zdrady ani serece, ni usta moje nie znają. Co czynię to otwarcie i szczerze.

Zbigniewowi na słowach i zaręczeniach wymownych nie zbywało, ponowił poręki i oświadczenia miłości. Mówili z sobą serdecznie, a Bolko, który wylewał się łatwo, po krótkiej rozmowie czuł się z nim jak ze starym druhem zaufanym.

— Pospieszyles się bracie—rzekł po chwili— i jużes sobie ładną Niemkę pozyskał z dworu królowej. Mówią o tém wszyscy!

Zbigniew się nie zapierał, śmiał się tryumfująco.

— Gładkie liczko cię uwiodło, mówił młodszy, lecz gdybyś mnie chciał posłuchać, tak rychło jakęś ją wziął, radziłbym porzucić!

— Dlaczego? spytał Zbigniew.

— Dziewczyna płocha i przewrotna — mówił Bolko.— Słyszałem od ludzi, że już miłośników miała wielu, a nikt cały od niej nie wyszedł. Zła jest jak żmija, choć jak niewinne dziecko wygląda. Najpierwsza rzecz, którą się będzie starała uczynić, że nas z sobą zwaśnić zechce, bo mnie nie cierpi i pomściłaby się rada.

— Za co? wtrącił Zbigniew.

Bolko się nie chciał tłumaczyć.

— A! babskie sprawy — odparł, — nierycerska rzecz tém się zaprzętać.

— Nie boję się też ja lada dziewczki — rzekł Zbigniew,— bo nad sobą kądzieli panować nie dam. Musi ona słuchać mnie. Mam rozum swój i radzić sobie nie dam długowłosemu stworzeniu!

A wam to niewiasty nie do smaku? zapytał.

— Nie chcę ich znać! — odparł Bolko.— Z nimi człek mięknie, a nam rycerzami być potrzeba.

Uśmiechnął się starszy.

— Ja trochę inną mam naturę — rzekł,— bawia mnie te łątki! Może dlatego, że ich przez długi czas zamknięty w klasztorze nie widywał, każda mi miłą i wonną jak kwiatusek.

Skrzywił się Bolko.

— Toćbyś sobie już świeższego kwiatu dobrać powinien— rzekł,— Greta się już z wielą znała, a przez nią królowa z wami czynić będzie co zechce, bo jój do tego zażywa jak rybak złotego robaczka na wędec.

Starszy głową potrząsnął.

— Ze mnie gruba ryba, na wędcę mnie nie wziąć — przemówił uśmiechnięty. — Ani ona, ani królowa, ani nikt nie uczyni ze mną tylko to, co ja zechcę. Nie weźmie mnie ani niewiasta, ani chłopiec, ani nawet duchowny żaden! Rycerzem jak wy nie jestem, ale się z książek trochę rozumu nauczyłem i wiem jako ludzie źli są, a jako z nimi chytrym być trzeba.

Zdradził się nieco królewicz tą mową, lecz Bolko mało zważał na nią.

— Przebaczone ci, że rycerzem nie jesteś, — rzekł,— boś w sutannie i klasztorze nie mógł nim zostać — ale, teraz! — teraz bracie rycerzem musisz być, nie chceszli wpaść w ręce jakiego wojewody i mir stracić u ziemian twoich. Siłę masz, na meztwie ci nie zbywa — poczynaj a śmiało.

Zbigniew chytrze mu dziękował.

Ujęli się więc znowu za ręce, i aby okazać wszystkim jak wielką miłość ku sobie mieli, poszli razem ku stołom, około których ziemianie i władcy zasiadali.

Na widok przybywających, niektórzy się pod-

nosić zaczęli, witając ich i pozdrawiając, inni szli cisnąć się do ręki pańskiej. Gnieźnianie i Mazury, których było najwięcej, przyszłego pana w Zbigniewie przyjmowali, zalecając mu się ze służbami swemi.— Krakowianie i Szlązacy ku Bolkowi się ściągali, uśmiechali doń, radzi wyborowi, bo sływał już jako rycerz dzielny, a tych naówczas miłowano najwięcej.

Gdy szli tak razem poza ławami i stoły, zdala niebieskie oczy Greta szydersko i zwycięzko się śmiały, widząc jak jój rozkazy posłusznie i prędko spełniano. Radowała się, nie dając tego po sobie poznać królowa.

— Bolko zawsze porywczym był i bez rozoznania, mówiła do swój ulubienicy — ten niezgrabny parobek niepozorny, chytrzejszy od niego zawojuje go i pokona.

Mijali Marka, gdy zbyt otwarty a szczery Bolko, szepnął bratu.

— I tego ulubieńca waszego radziłbym precz wygnać!

— Co macie przeciw niemu?—zapytał ciekawie starszy.

— Patrę i słucham, jak to zwyczajnie na dworze — mówił Bolko — widzę, że rycerskiej sprawy dużo ma na języku, a w ręku niewiele; słyszę, że potajemnie się z Sieciechem zna, po nocach do niego chodzi i na was donosi.

Zbigniew niedowierzająco ruszył głową.

— Zli ludzie plotą nań, — rzekł.

— A pocóżby im się to zdało, wszak na drodze nie stoi nikomu. Człek to niewiadomego rodu, przybłąda chytry, który tu miejsca nie zagrzeje, a obłowiwszy się uciecze. Tak o nim ludzie prawią, miejcie się od niego na pieczy. — Królewicz słuchał i przestroga go poruszyła.

— Bracie, odparł stając — coście się uwzięli poodpędzać odemnie co najmilsze mi i najpotrzebniejsze. Przed chwilą Gretę mi odradzaście, aż i Marka. Ten łotr służy mi jako pies wiernie.

— I jak sobaka cię potem pokąsa — dokończył Bolko. — Znajdziecie ludzi między swemi Mazurami i Gnieźniami, osiadłych ojczyków, z tych wybierzcie jednego. Dobrze wam życzę i radzę jak sobie.

— Łotr to jednak dogodny i zręczny, — dodał Zbigniew.

— A no! słyszałem o tém, — odparł młodszy. Mówią, że bez zbroiczki o podartym kaftanie i o jednym bodaj koniu się tu przybłąkał, a dziś już utył, i szat i szkap ma podostatkiem.

Na błazna go trzymać, czemu nie, ale mu ani ucha, ani władzy nie dawajcie.

Zbigniew słuchając rad tych otwartych, z serca płynących zagryzł usta. Zdało mu się, że Bolko młodszy, lekce go sobie waży i ma o nim wyobrażenie niewielkie — przerwał urażony.

— Słuchaj bracie, jeśli ci się zda, żem ja głupi

i ślepy, mylisz się. Widzę ja ludzi na wylot, a przez to, że ich znam i najgorszego się nie boję.

— Jeśliś bezpieczny i czujesz się nim, czyń jak ci lepiej! — rozśmiał się Bolko — Gretę się nie obawiasz, Sobiejucha ci na rękę — toć dobrze! przestrzedz nie wadziło. Ja moich chłopców wolę!

— Jam sobie jeszcze drużyny zebrać nie miał czasu — począł Zbigniew. — Sobiejuchę jak psa na postronku trzymać będę, a Gretę... porzucę, gdy mi się uprzykrzy, teraz mi ona miła, bo dziewczka wesola i obrotna, potem!!

Zbigniew pogardliwie ręką rzucił i rozśmiał się.

Bolko mu długo w oczy patrzył.

— Prawda to — rzekł, — żeśmy się inaczej chowali: ja na koniu i w lesie, ty w klasztorze, a no, inną mamy naturę. Ty lubisz zabawiać się choćby z dziewczką i błaznem jak Marek — ja nie. Ja w to wierzę i to kocham, co się nie przejada i nie przykrzy. Bodaj to wojna! bój! rycerstwo! łowy, konie — to życie! Gdy wrogі zagrają, serce mi ronśnie, śpiąc roję, że lecę na Pomorców z podniesionym oszczepem... Dzień w domu długi mi jak wiek! — a! bracie, chciałbym być do wielkiego Bolka podobny i granice ziem zatknąć daleko, aby je cesarze i królowie szanowali i drżeli przedemną!

Mówił Bolko z zapalem wielkim, Zbigniew pobladł, — słuchał tej mimowolnej spowiedzi młodzieńczej i uląkł się jej.

Bolko postrzegłszy zmienioną twarz Zbigniewa, wstrzymał się nagle.

— Bracie, — dodał — nie lękaj się, na twoją dzielnicę nie nastąpię, gdy zechcesz będę twym wojewodą!

Stań się ty wojownikiem wielkim, a ja za tobą pójdę posłuszny.

Spojrzyj co nam ziem powydzierano, co nam cesarze zajęchali, co zagarnęli Czesi, co odebrała Ruś, co na Pomorcach odzyskiwać potrzeba; bo ci się ani chrzczyć, ani nas panów swych prawych znać nie chcą. Na nas dwu jest dosyć do roboty, a gdyby z grobu powstał Bolko Wielki i Szczodry, oniby chyba podolali temu, co na nas uczynić przypadło!

Słuchał starszy w milczeniu, uląkł się tych myśli zdobywczych, tego zapachu rycerskiego i nie wiedział czém odpowiedzieć na nie.

— Ja, — rzekł zeicha i skromnie — nie chcę nic, jeno mój dział utrzymać i żyć w pokoju.

— W pokoju! — podchwycił Bolko — spytaj czy ci go Pomorcy dadzą? Mężny to lud, niespokojne plemię, srogie, okrutne, przebiegłe ale dobrze z niemi, bo nam zgnuszenie nie dadzą; podbić ich potrzeba, nie wiem, krzyżem czy mieczem, nawrócić i zagarnąć, abyśmy morze mieli, brzeg swój i na cały świat drogę! Bez niej tośmy jak obmurowani w więzieniu! — Jeżeli się nie nawróca, choćby ich wytępić przyszło, morze nam potrzeba

mieć lub nie żyć! Naówczas statki i czółna budować będziemy i z rycerzami puścimy się nowe ziemie zdobywać! w daleki świat!

Mówił, pałały mu oczy, drżał cały, postać jego rozogniona stała się tak piękną, wspaniałą, że Zbigniew małym i słabym uczuł się przy nim. Zazdrość ukąsiła go w serce, usta skrzywiły się niby uśmiechem, a żółć i gorycz uczuł na nich.

— Zdradziłeś się — rzekł w duchu, — chce ci się panowania nad światem... Jeden z nas dwu ustąpić musi — ty lub ja.

Bolko otwarcie mówił mu: bądź silnym, panuj, będę ci posłuszny — Zbigniew myślał w sobie: zgiń abym się ja wyniósł.



IX.

Po gwarnych dniach wiecowych, wkrótce na na płockim zamku pożądana dla króla nastąpiła cisza. Zbigniew odciągnął do Gniezna, Bolko ruszył do Krakowa i Wrocławia, przy królu jeden Sieciech pozostał, schorzałego starca piastując niemal jak dziecię, a czyniąc z nim jak z dziecięciem, co zapragnął.

Ze dworu królowej w tym czasie znikła Niemka Greta, a Judyta mocno po niej tęskniąc i ręce łamiąc okazywała, jakby wcale nie wiedziała co się z nią stało. Uskarżała się na tę stratę przed królem, a Władysław rzekł, że jako ją dosyć płochą zawsze znał, sądzi, iż w wielkiej ludzi gromadzie co na wiecu byli, któremu w oko wpaść musiała, a ten ją sobie zmówiwszy, pochwycić musiał i uwieść.

Nie było to wszakże tajemnicą dla innych, iż w zwartym orszaku, który Zbigniew z sobą nocą ujeżdżając prowadził, znajdowała się pomiędzy dworem niewiasta z twarzą oslonioną, z której młodzież żarty nieprzystojne stroiła, a ona im po niemiecku łajac, odpowiadała.

Bolko zebrawszy swą drużynę i część wojska ruszył na pusty i smutny zamek krakowski, na Wawel, który od śmierci królowej matki stał zupełnie opuszczony. Tu wspomnienia Bolka Szczędrego żywe jeszcze, niedawno przelana krew męczennika, ludzie obcy i przyjaźniejsi swojemu wojewodzie Sieciechowi, niedługo dali pobyt królewiczowi.

Pobląkawszy się ze swą drużyną około Prądnika, Mogiły, Bielniskich lasów, Stankonia, obejrzawszy pod zamkiem nad Rudawą kościół, który ojciec założył; u ludzi znajdując twarze chmurne, rycerstwo jakieś dziedzale i niepocho-pne, by się garnęło ku niemu — wołał się Bolko przesiedlić do Wrocławia i tam przesiadywać. Magnusowi i tym co się koło niego gromadzili, więcej mógł ufać, niż Krakowianom Sieciechowi oddanym.

Na dzielnice swe poszedłszy królewicze, żyli jako z nich któremu przystało. Zbigniewowi Pomorce do czasu spokój dali i granic nie napastowali, dawnymi wyprawami popłoszeni.

Nadeszła zima, wiosna, i tak znowu Sieciech

cierpliwie czekał z ręczności, aby myśli swój dokonać bezpiecznie. Nie wiodło mu się. Brakło powodów do zaczepki, do napaści, do zwaśnienia. Królowa się niecierpliwiła zwiłką, trzeba było poczynać coś, aby koniec przyspieszyć.

Pod okiem króla spiskować nie mógł tak swobodnie; duchowieństwo było mu w znacznej części nieprzyjazne, zjechał więc do dziedzicznego Sieciechowa swojego, gdzie panem był i na przyjaciół dokoła mógł liczyć. We wszystkich też ziemiach miał sojuszników wiernych dotąd, którzy mu o wszystkiém donosili i czekali rozkazów.

Był już Sieciechów naówczas grodem warownym, na którym pańskie dworce i opactwo Benedyktynów na jedném się niemal podwórce mieściły. Od Chrobrego czasów mnożyła się tu chwała Boża pod osłoną grodziska mocnego, które pokój zabezpieczało. Sieciech też dla własnego bezpieczeństwa umocował był jeszcze zamczysko nad Wisłą, wałami je silniejszymi obsypał, tynami potężnymi otoczył i trzymał tu wybraną załogę, bo choć w kraju panem był, knując sam zdradę, wrogów się lękał i pokoju nie miał.

Budowy opactwa i zamkowe graniczyły z sobą; Sieciech królewskie nadania dla Benedyktynów pomnożywszy, obdarzając klasztor ciągle, z opatem i przełożonemi będąc w związku statecznym, przez zakonników wiele mógł wiedzieć

i działać. Mnisi byli mu przychylni, żyjąc niemal chlebem jego.

Miał Sieciech jak naówczas wielu możnych panów, żonę z Rusi, kniazia córkę, która mu znaczne wniosła bogactwa. Tę na zamku swym chował i syna wyrostka, który przy matce i pod opieką księży rosł, zawczasu się przysposabiając nauką wszelką do świetnego losu, jaki ojciec miał mu zgotować.

Kształcono go na rycerza zarazem i na człowieka, coby drugim rozkazywać umiał.

Dwór prawie królewski był w Sieciechowie, szczególnież z przedniejszych ludzi wojennych złożony, których wojewoda rad sobie do boku dobierał. Topory, do których Sieciech się liczył, rozrodzeni byli i prastarzy w tym kraju, mało z którym rodem władyków i ziemian możniejszych nie spowinowaceni. Wszyscy oni, jak to naówczas obyczajem i prawem było, za ręce się trzymali, a kto się do krwi liczył, musiał ze swemi iść na zawołanie wszelkie. Sieciech swojego rodu był naówczas głową najstarszą i naczelnym wodzem; słuchali go wszyscy powinowaci, pokrewni, poddrużeni. Nie było grodu nietylko w krakowskiem, w sandomirskiem, na Szlązku, nawet w Mazowszu w gnieźnieńskiem, gdzieby z ręki Sieciecha nie siedział starosta, albo tysięcznik z pułkiem, albo ktoś znaczny, który sprawy jego pilnował i na skinienie był gotowym.

Gdzie, jak we Wrocławiu, namiestnika miał nieprzyjacielem, dziesięciu około niego kupionych druhów na straży stawil.

W Płocku siedział ten co się jeszcze królem nazywał, ale w Sieciechowie wojewoda królował na całą ziemię wyciągając ręce, niebardzo zważając na młodych panów, którym bujać dawał do czasu.

Patrzal zdala co robili. Gdy Bolko zasiedziawszy się w krakowskiem i na Szlązku, począł sobie coraz bardziej jednać ludzi i swobodniej poczynać, donoszono o tém wojewodzie, i dłużej już ścierpieć tego Sieciech nie chciał. Młody król wicz groźnym się stawał.

Król chorzał i stał coraz bardziej, trzeba było coś począć i kości rzucić, nie czekając dłużej.

Przybył w téj myśli do Sieciechowa wojewoda, przez posły tajemnie powoławszy zaufanych ku sobie.

Wieczorem dnia letniego, gdy Sieciech na zamku sam jeszcze był, a stęskniona po nim żona frasowała się przyjmując go, iż przybył jój ponury, nie przyniosłszy z sobą do domu wesela, oznajmiono Strzepę, który był prawą ręką wojewody.

Ów Strzepa wyrósł z niego, jemu winien był wszystko, lecz też szyję za niego dać był gotów. A byłto człek co się niczego nie wzdrygał, ani pokłonić i unżyć, ani porwać i zabić, ani zdradliwie zasiać. Takim zawsze był, jakim go pan

mieć chciał. Dał mu Sieciech siostrę w młazęństwo, majątności z nią, a do nich obiecywał jeszcze więcej. Siostra ta wprawdzie nie młodą już była, twarzy nie pięknej, humoru nie miłego, ale ona go wiązała z Sieciechem, a wojewoda panować miał i kraj cały pod siebie zagarnąć.

Zdawna to już obmyślaném było, jako i to, że żonę swą rzucić miał, aby wdowę po królu, siostrę cesarską poślubić.

Gdy Strzepa przybył, choć doma wszystkich Sieciech zdał się być pewnym, wnet z izby precz wyszli na wał nad Wisłę, aby się tam naradzali swobodniej.

Strzepa choć bratu, jak panu się do kolan kłaniał. Sieciech dumny już się czując niemal królem holdy te jak należne od niego przyjmował.

— Strzepa, — odezwał się na wały wyszedłszy i po okolicy się z nich rozglądając — czas nadszedł — pora co poczynać.

— Myśmy też pogotowi — odparł przybyły, — rozkazujecie co czynić mamy.

— Zbigniewa się nie lękam — począł wojewoda — Bolka się pozbyć potrzeba. Rośnie, męźnieje i strasznym stać się może. Porywczy i zapaleczywy jest, pójdzie z nim łatwo.

Zdawali się naradzać patrząc sobie w oczy, aż Strzepa się odezwał.

— Cóż! — ludzi nam nasadzić, gdy na łowach będzie — krótka sprawa...

Mówił zimno i obojętnie, jakby o małą rzecz chodziło.

—Bez ludzi się nie obejdzie,—odparł Sieciech—niełatwo mu podołać. Drużynę z sobą wodzi nieodstępna. Ludzie języki długie mają, wyda się zdrada i rzucą ją na mnie. Nie można.

— Lepiej wicie jak czynić — przerwał Strzeпа, — przykazujcie. Zrobi się, jak zechcecie.

Wojewoda obejrzawszy się, zbliżył się doń, jakby tu nawet gdzie byli sami i żadna żywa dusza dokoła się nie okazywała, nie czuł się jeszcze bezpiecznym, lękał podsłuchania i zdrady.

— Bolka na Czechów wyprawimy—rzekł. Granica tam nie spi, najeżdżają ją ciągle, król na nas czyha. Nie brak powodu do wyprawy. Puścimy posłuchy, że na nas chcą zrobić wycieczkę, Bolko pójdzie otoczony naszymi, pójdiesz i ty z nim.

— Pójdę! — rzekł krótko Strzeпа.

— Weźmiesz co najpewniejszych, Halkę, Strzeponia, Zużłę, Zaboja — kogo wybierzesz. W lasach czeskich napotkacie pewnie rabusiów gromadę jaką. Bolko się zapędzi za nią — wówczas wasza rzecz, żeby zginął. Nie powie nikt, aby z ręki naszój, na to Czechy są.

Strzeпа pomyślał nieco.

— Stanie się jako postanowicie,—rzekł. Trzeba będzie jednak oderwać go od drużyny. Chłopcy

młode, zażarte w boju, czujne i na krok go nie odstępują.

— Bolko gdy zoczy nieprzyjaciela, nie go nie strzyma—mówił Sieciech.—Wasza rzecz odwrócić drużynę i rozerwać ją... Gdy się sam jeden zapędzi — w lasach. Któż wie jak zginąć może? Czechów nasadźcie.

— Czechów nam nie trzeba — odparł chmurno Strzeпа, — zasadzkę uczynimy pewną. Pomówcie jeno i z innemi, abym sam nie był.

— Zwołałem ich wszystkich—cicho rzekł wojewoda, — z tantemi wszak ci jak z tobą mówić nie chcę. Twoja sprawa zagaić z niemi.

Choć gotów na wszystko, choć posłuszny a rad się wysłużyć szwagrowi, Strzeпа wzięwszy rozkaz zadumał się głęboko, nie taił przed sobą, że sprawa ciężką była.

Sieciech zbywszy się tego co miał na myśli, wnet urwał rozmowę, zdając na szwagra resztę. Nie rad był mnożyć słowa, w których krew już czuć było.

Nie czyniło mu wstrętu dobijać się panowania mordem i zdradą, bo w owych czasach wielu tą drogą do koron i władzy dochodziło, ale słowa nad czyn mu były przykrzejsze. Takie były pojęcia ówczesne religijne, że pobożny Sieciech na intencję aby mu się w jego zamiarach powiodło u Benedyktynów zamówił modlitwy, kościołom przyobiecał dary, starał się o relikwie są-

dząc, iż one mu dadzą zwycięstwo. Nie zwierzył się wprawdzie zakonnikom z tém, o co się kusił, ale po wszystkich ich kościołach zakupił na tę intencję nabożeństwa. I modlono się za powodzenie oręża szczodrego wojewody.

Taksamo naówczas święcono na ołtarzach sztylety, które do zabójstw służyć miały i potajemnie o relikwje je ocierano.

Spiskowi wszyscy zjechać mieli tegoż wieczora do Sieciechowa; jakoż przybył wkrótce Strzeżoń, po nim Zuźła i Halka, a w końcu Zabój, którego żelaznym nazywano.

Wszyscy zaraz poszli pokłon złożyć naczelnemu panu swemu, który okazywał się wielce łaskawym i wesołym: pytał o oddziały wojska, o stan grodów, ale o tém, o czém mówił ze Strzeżoń, nie wspomniał nikomu. Po królewsku gości i czeladź ich przyjmowano, gospodarz ochoczo zabawiał ich, a gdy do wieczery zasiedli sami, bo Juljanna żona Sieciecha nie pokazywała się wedle ruskiego obyczaju, czeladzi precz odejść kazano i wojacy przy dzbanach wina i miodu poufną rozmowę poczęli.

Wszyscy dowódcy ci byli z dziecińczych lat zakuci we zbroje, nawykli do rozlewania krwi i lekceważenia własnego i cudzego życia.

Strzeżoń głowę już miał siwą, choć twarz czerstwą i pamiętał Szczodrego kijowską wyprawę. Zuźła młodszy z małego czleka wybrany i na do-

wódzcę podniesiony przez Sieciecha, który w nim roztropność ocenił, posłuszny był swemu panu nie pytając co mu przykazywano. Halka, milezący i niepozorny siłacz znany, który ładowny wóz z góry idący za koło powstrzymał i nosić za sobą kazał miecz dwóm ludziom, co go ledwie mogli udźwignąć, do oprawcy był podobny. Czoło miał niskie, brwi nawisłe i twarz szpetną, ale w polu cudów dokazywał.

Zabój, żelaznym zwany, który zbroi nie zrzucał prawie, a nosił tak ciężką, iż drugi upadłby pod nią, choć z Czech pochodził, jak wielu innych naówczas w Polsce osiadłych, już się był całkiem ożenieniem i służbą wcielił między Krakowiany.

Na wszystkich Sieciech jak na Strzeżoń mógł rachować, tak sądził przynajmniej.

Wojewoda miejsce zajmował w końcu stołu na krześle podniesioném, po monarszemu prawie; po obu stronach jego siedzieli Strzeżoń, Strzeżoń, Zuźła potakujący śmiechami, Halka, który pił i milczał i Zabój z bystrém wejrzeniem, w głowach ich już wino i miód wesołe myśli rodziły.

— Cóż? Strzeżoń, ty stary, z młodego pana rad jesteś? spytał wojewoda.

— Ja go zdala widzę tylko, dzieciak to jeszcze — odparł siwy wojak, — ale krew dawnych Bolków w nim się odzywa. Jak nie zginie za młodu, wojak z niego dzielny będzie.

Nie bardzo się ta pochwała podobala Sieciechowi, zamilkł i spojrzal pytajaco na Zużlę.

Ten się rozsmiał.

— Zawcześnie się rwie i poderwie się jak młody koń, — rzekł głową potrzasaając, — nadto gorący.

— Ja też tak myślę, — potwierdził Sieciech.

Halka popatrzał, rękę ogromną namulaną do kubka wyciągnął, białka mu w oczach łysnęły, wąsa potargał. Zabój żelazny rozsmiał się:

— Co tam o tych wróblach gadać, kiedy my orłów mamy, zawołał wskazując na Sieciecha, nie trzeba nam młodych wodzów, dawni starczą.

Wojewoda jakby nie słyszał, odezwał się.

— Król nam coraz gorzej niedomaga, chory jest, życie z niego ucieka, jak na dwu przyjdzie królestwo, rozchwyca je sąsiedzi.

— Dwie głowy, — dodał Strzepa, — to gorzej jak żadna.

Nikt nie przeczył; Sieciech powstał z siedzenia, drudzy za nim ruszyć się chcieli, dał im znak aby pozostali, okiem rzucił na Strzepę, wskazując mu, że pora nadeszła i wyszedł z komnaty.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, obejrzał się Strzepa.

— Między swemi jesteśmy, — odezwał się, — czas podobno co poczynać! — Sieciech nam panować powinien nie kto inny. Nim król umrze, trzeba jeśli nie obu, jednego się królewicza pozbyć.

Niektórzy głowami potakując ruszyli, wszyscy milezeli.

— Na wyprawie, po lasach i w utarczce, — dodał śmiejąc się, toć to ludzie giną jak muchy.

Żelazny pogladził głowę, dając znak porozumienia.

— Nam co do tego — mruknął, — jak każą by go nie było, to go nie będzie! — co wielkiego!

— Pewnie, — rzekł Halka i w stół uderzył.

— A pewnie! — powtórzył Zużla.

— My a nie kto pójdziemy z nim na granicę, przeciw Czechom, — zaczął prędko Strzepa i dodał ciszej oglądając się wkoło, — trzeba skończyć. Wyrazisty ruch ręki domówił reszty.

Nikt się nie myślał sprzeciwiać.

— Jak nasz pan wojewoda zostanie sam, — mówił dalej, — mogę zaręczyć, że każdemu ze starych sług swoich tyle nada ziemi, lasów i osadników, iż go możnym na wiek uczyni. Nie kto z nim panować będzie, tylko my.

— A kiedyż na Czechów pójdziemy? — zapytał pochylając się Zużla.

— Bardzo prędko! — dodał Strzepa.

Jeden Strzegoń siwy milezał jakoś i nie dawał znaku żadnego, obrócił się ku niemu szwagier Sieciecha.

— A wy, co na to mówicie?

— Ja? — albo to wątpicie że pójdę gdzie mi

każą? — rzekł Strzegoń, — widzicie żem posiwał w służbie, a nigdy od wodza nie odstał.

Rozmowa tak rozpoczęta, coraz się cichszą stawać zaczęła i poufniejszą; wszystkie ponachylali głowy i słuchali Strzepy, który głosem stłumionym nieco, ale wyraźnym opowiadał coś i tłumaczył. Potakiwano głosami i uśmiechami.

— Tymczasem, — głośnieję odezwał się Strzepa, — trzeba aby tam jeden z naszych przy nim był, któryby mu się w łaski wkupił, radził i prowadził. Chłopiec jak ogień, byle na łowy i wojnę poleci w ciemną noc, gotów samotrzeć na pół sotka. Sprawą tego kto do niego przystanie, będzie, aby go zaprowadził gdzie potrzeba. No? kto z nas?? Jabym chętnie poszedł, ale mnie znają żem Sieciechów brat i druh, koso na mnie patrzeć będą. Trzeba takiego na któregoby posądzenia nie było z czyjój jest ręki.

— Ej! odezwał się Zuźła popijając — bić to bić, jam do tego, a ugadywać i prowadzić się nie zdam. Rozumniejszego trzeba.

Halka ogromną swą pięść zaciśniętą wyciągnął i na stole położył na widoku, była to jakby odpowiedź niema, że jego siła cała w pięści się mieściła.

Czech Zabój kiwnął głową.

— Jam gotów, rzekł — a no Magnus mnie dobrze zna, z kim ja chodzę i komu służę, tom się też nie zdał do niczego.

Zostawał Strzegoń stary, słuchający obojętnie; spojrzeli nań.

— Mnie gdzie posłać pójdę, a co każą zrobię odezwał się krótko.

— I na was nie padnie poszlak żaden — począł Strzepa zwracając się ku niemu. Wyście starzy, pamiętacie Bolka Szczodrego. Młody królewicz słuchać o nim lubi, łatwo się do was przywiąże, pokocha. Jak nie wy to nikt!

Strzegoń, który oczy miał w stół wlepione, nie rzekł ani tak, ani nie. Bębnił po drzewie palcami słuchając jakby się to go nie tyczyło.

— Pójdziecie z waszym oddziałem pod Wrocław, — mówił Strzepa. Staniecie tam z rozkazania króla i wielkiego wojewody, przy królewiczu. W kilka dni, jak on do wszystkiego ochoczy i prędki, za serce go chwycicie.

Na te słowa Sieciech wszedł i rozmowa się zwróciła inaczej.

— Mnie się widzi, — odezwał się do niego Strzepa, — że Strzegonia z pułkiem zawczasubę królewiczowi posłać było potrzeba. Gdy iść przyjdzie będzie ludzi miał pogotowi. Pod Wrocławem wykarmić się łatwo.

Szwagrowie w oczy sobie popatrzeni; Sieciech na siwego dowódcę spojrzal i rzekł.

— Tak radzicie!

— Tak my to uradzili społem — odezwał się

Zużła,—nie ma między nami drugiego, coby królewiczowi mógł lepiej usłużyć.

To mówiąc rozśmiał się, Sieciech nie dał poznać że rozumiał o co chodziło, i po namyśle dodał.

— Jeżeli Strzegoń gotów — czemu nie! — niech idzie.

— Ja idę gdzie mnie posyłają, nie przebiegam — rzekł Strzegoń,— żołnierz zna wodza tylko, a woli swój nie ma.

— Prawda, ale przeto rozum swój mieć powinien,—wtrącił Strzepa,—aby go pożycząć nie potrzebował.

Zaczęli się śmiać drudzy, Halka swe ogromne pięści, którymi się chwalił lubił, na stole trzymał ciągle, jakby niemi chciał mówić, że one żołnierzowi od rozumu były potrzebniejsze.

Tak się skończyła narada, Sieciech odpuścił swoich, po kubku jeszcze na sen im dając wina z korzeniem gotowanego. Pokłonili się wszyscy i rozeszli na nocleg: jedni do dolnej izby na zamku, inni dla gorąca pod swoje namioty, jeden do ojców do klasztoru.

Strzegonia, gdy już miał odchodzić, Strzepa za rzemyk od kaftana pociągnął i zatrzymał, poczynając mu coś szeptać na ucho. Zнали go że na starość skąpym się stał a chciwym do zbierania złota. Zręczny Strzepa ujął go chciał zaraz, i odezwał się że na dwór królewiczowski

jadąc wystąpić trzeba było przystojnie, więc łańcuch by się zdał na szyję. Strzegoń miał wprawdzie stary lecz niepoczesny.

Poszedł pośrednik do wojewody i wprędce powrócił niosąc łańcuch ciężki i piękny, a prócz tego kubek misternej roboty.

Staremu, gdy chował te dary, aż się oczy zaśmiały.

— To wam pan wojewoda przysyła, — rzekł Strzepa, — bez liku — a jutro z podarków dla wszystkich przeznaczonych swoją część odbierzecie. Od was najwięcej zawisło. Trzeba żeby królewicz wam zaufał. Za serce go weźmiecie o bitwach mu opowiadając. Okażecie mu miłość, to ją wam odda w trójnasób, bo taki on jest.

Strzegoń słuchał uważnie, ale mówił niewiele; zdało się więc nauczycielowi, że mu w pamięć wrazić potrzeba to, czego po nim wymagano. Poprowadził go z sobą na wały, a że noc piękna była, księżyc przyświecał, skwar ustał, przechadzali się jeszcze.

— Jako wasz druh, ostrzedz was muszę, — mówił Strzepa — czego należy unikać, a co robić. Zbytńio się z miłością dla pana wojewody nie chwalcie, ani okazujcie że mu we wszystkiem jesteście podlegli, to by od was ich odstręczyło. Lepiej choćbyście czasem i plunęli na nas, mruknęli a stęknęli.

Za to was kochać będą, królewicz go nie lu-



bi, Magnus mu zazdrości i lęka się, a co przy nich jest wszystko nasze wrogi. I wy też w to grać musicie.

Strzeżoń głową potwierdzał. Rad nie rad musiał słuchać do zbytku długiej nauki, którą Strzeżpa nie jeden raz powtarzał, i jeszczeby może nią nękał starego żołnierza, gdyby kury piał nie zaczęły i dzwonek do chóru nie odezwał się w klasztorze. Dopiero go odpuścił. Strzeżoń głowę zwiesiwszy powlókł się na swoje posłanie.

Nazajutrz przez dzień cały, pojedynczo wołał do siebie wojewoda zebranych dowódców i umawiał się sam na sam z nimi. Przyjmowano ich gościnie, obdarzono, pojono i karmiono, a wielkie obietnice na przyszłość czynił Sieciech i Strzeżpa.

Trzeciego dnia okrytych sukniami kosztownymi, opatrzonych we zbroje nowe, odpuścił dopiero wojewoda, zapewniwszy się iż wolę jego spełnić są gotowi.

Po odjeździe dowódców, gdy jeden Strzeżpa pozostał, w obecności Opata Benedyktynów, którego z wielką cześcią na dworze przyjmowano, właśnie gdy siedzieli na rozmowie, posłaniec nadbiegł pilny, jakoby od czeskiej granicy.

Wobec gości tych, dworu i mnóstwa czeladzi, goniec sprawił swe poselstwo, donosząc że z nad granicy czeskiej wiadano napewno, iż napad na Śląsk się gotował.

Przysłany był z tém, aby się co najrychlej do

odparcia i obrony miano, siły gromadzono, gdyż na Wrocław Czesi się sposobili.

Wieść ta rzucona tak jawnie popłoch sprawiła wielki; wojewoda wziął bardzo do serca niebezpieczeństwo, i natychmiast chciał jechać z tém do króla.

— Bez króla pana naszego, — rzekł do Opata, — ja synom jego rozkazywać nie mogę i nie chcę; królewiczowi Bolkowi potrzeba naprzód dać znać, aby się starał zamach uprzędzić i szedł na granicę czeską.

Na całą noc jadę do Płocka...

Natychmiast posłańców wyprawiać zaczęto na wszystkie strony, Strzeżpa też na koń siadł, a wojewoda jakby w przededniu wojny, ledwie żonę i syna uściskawszy, przed świtem jeszcze puścił się do Płocka.

Umyślnie puszczonej postrach napaści czeskiej rozbiegł się po kraju, chciano ażeby do Wrocławia nie z jednych ust doszedł. Zręcznie podano wieść przez duchownych, wojsko i ziemian, którzy łatwo uwierzyli pogłosce.

Od grodu do grodu jadąc, wojska i załogi do pochodu nakazując, Sieciech zdążył do Płocka. Zatrzymywał się umyślnie po drodze, ażeby wiadomość o napadzie uprzędziła go. Chory król którego nie oszczędzano, zafrasował się i strwożył mocno o dzielnicę Bolkową i ukochanego syna. Wysłał po Sieciecha i czekał nań jak na zbawcę.

Nadjechał wojewoda tak pożądanym, a nim zbroję podróżną zdążył złożyć z siebie i przedziać się, już komornicy króla biegli, aby ku niemu pospieszali. Słaby król w obawie niewysłowionej, bronił się modlitwami; nakazano nabożeństwa po kościołach na odwrócenie niebezpieczeństwa.

— Zbawco mój! — zawołał król do wchodzącego, — spiesz na ratunek! — W tobie nadzieja! — Szląsk i Bolka ratować potrzeba co najrychlej!

— Miłościwy panie — odparł Sieciech, — dano i mnie znać o tém, byłoby się już coś uczyniło, nie chciałem rozkazywać bez was. Wy musicie rozporządzić.

— Ślijcie natychmiast pulki w pomoc do Wrocławia! — wołał Władysław.

Królowi każda chwila stracona była groźną, naglił więc trwożliwie, aż wojewoda chcąc dać czas Strzegoniowi aby sobie królewicza zjednał, zaręczył że czeska wyprawa nie tak rychło miała nastąpić, i wiedział pewno że dopiero z początkiem jesieni nastąpić mogła. Na przygotowania więc, na uprzedzenie jej dosyć było czasu. W ówczesnych wojnach prawidłem było niemal, zamiast stawić czoło nieprzyjacielowi, pospieszyć przed nim i kraj mu spustoszyć. Tak chciał Sieciech uczynić.

Król mało się co zapewnieniami jego dał uspokoić, sama jednak przytomność wojewody zna-

cznie trwogi ujęła, bo na jego ramiona król mógł złożyć staranie o obronę.

Wojewoda umiał dobrze w pańską myśl ugodzić, zarówno rozdrażnić go i ulagodzić. Królowa pomagała skutecznie i zwolna chory do zwykłego wrócił stanu. Jak trzcina za wiatrem chylił się gdzie chciał wojewoda.

Z obawy o ukochanego Bolesława, z początku król, chciał się kazać Zbigniewowi do niego przyłączyć. Byłoby to popsulo wszystko i utrudniło zasadzkę; Sieciech więc starał się przekonać Władysława, że od pomorskich granic sił nie można było odciągać, a to co Bolkowi posyłano, starczyło na zwyciężkie Czechów odparcie, bo ci się nie spodziewali zastać gotowych.

Zbigniew, choćby wiedział był o niebezpieczeństwie brata, z pomocą dłań pewnieby się był nie kwapił.

Trwała jeszcze zgoda i miłość między braćmi na pozór, lecz starszy znacznie ostygł i do Gniezna się usunąwszy, milczał.

Tu wpływ Grety przygotowywał go do przyszłych a nieuchronnych zapasów z Bolkiem, a niemka zęcnie do zemsty i zdrady podbudzać umiała. Pod okiem arcybiskupa nie śmiały był jawnie ją na dworze okazywać Zbigniew; ukrywano więc przed duchownymi tę zdobycz, aby królewicz za rozpustę i złe życie nie był stroszowany. Wolno było dawniej książętom brać

kogo chcieli i zrazu obyczajom starym folgowano, patrząc na to przez szpary; teraz duchowieństwo surowsze coraz wymagało ślubów i błogosławieństwa kościelnego.

Sędziwy arcybiskup mało wiedział co się na książęcym dworze działo; łatwo przed nim było osłonić niemkę, która w osobnym dworcu siedziała, a Marko w razie potrzeby, miał się jej mężem uznawać.

Płocha niemka tego mniemanego małżonka swojego przyjmowała dosyć chętnie, zabawiając się jego opowiadaniem i żartami; Marko też wolał być u niej na straży niż na wałach i przy koniach.

Przez Gretę i Marka wojewoda Sieciech uwiadomiony był o tem co się tu działo i w potrzebie się spodziewał Zbigniewem kierować.

Życie w Gnieźnie gnuśnie się wiodło; król wicz o nie nie dbał więcej krom wspaniałości i blasku jakim się otaczał. O rycerskich sprawach myśli ni mowy nie było, a choć dla okazania zbroje, zbierano konie, psy i sokoły, Zbigniew ani spytał o nie, chyba gdy miał występować i cały tabor ten za sobą dla okazania swęj potęgi i wielkości prowadził.

Resztę czasu spędzał z lada kim, byle mógł się z wymową i rozumem popisać, znalazł ktoby go słuchał i potakiwał a chwalił.

Z zamku ruszał się rzadko, chyba go który

z możnych na łowy i ucztę zaprosił. W tych wyprawach po dworach i on i ludzie co z nim byli najczęściej sobie nieprzyjaciół robili, bo się, nie obeszło bez kłótni i swawoli. Po drodze jadąc zabierano strawę, pędzono podwoły, wybijano ludziom zboża.

Ze skargami przybywających do siebie przyjmował też Zbigniew niechętnie, częstokroć długo im każąc czekać na siebie, występując okazale, ale karmiąc lieho; z prostodusznych ludzi wyśmiewając się w oczy bez litości. On co pismo znał miał się za najmędrszego ze wszystkich. Mało kto rad był z tego pana. Szemrali władcy, arcybiskup tylko bronił go, bo przed nim układać się umiał, obiecując, że z niego człowiek urośnie do rządów i państwa obrony.

Dnie częstokroć całe schodziły na tem, że na wpół leżąc, pół siedząc na ławie, Marka trzymając u progu, król wicz prawil mu co uczynił, jakie przedsięwzięcie kroki dla opanowania władzy; jak wszystkich podejdzie, pozbędzie się i jaki dwór naówczas Cesarskiemu dorównywający na stolicy swęj osadzi. Toż samo wieczorami powtarzał Grecie i zaufanym kilku duchownym, których zapraszał, aby miał z kim rozmawiać i przed kim się chwalić z rozumem.

Przesiedziawszy dni kilka gnuśnie, znudzony kazał występować drużynie, trębaczom, czeladzi i ze wspaniałym orszakiem wyruszał do którego

z grodów, zabawiając się tém, iż ludzie przed nim na kolana padali i tłumnie się zbierali przypatrywać dworowi jego...

Z wielką wrzawą wjeżdżano do każdej osady, ciągniono powoli, czeladź dokazywała, a Zbigniew tém nudy swe rozrywał.

Czasem na wspomnienie rycerskich czynów Bolka, napadała go chętka spróbowania siły i zręczności, niedługo to jednak trwało, bo mimo pomocy dworzan, Zbigniew nie dał sobie rady z orężem i koniem: zły powracał, gniewając się na wszystkich za własną niezgrabność. W końcu też począł utrzymywać, że dla wodza niepotrzebna jest siła dłoni, ale rozum i przebiegłość. Naśmiewał się z Bolka, że na równi z prostym ludem do boju chodzi, bo nie imogoby niepotrafił.

Sławili wielkość pana pochlebey co go otaczali, z Markiem na czele; ale Sobiejucha nawet niebardzo wierzył w to, aby doszedł czego pragnął i o czém tak szeroko lubił rozprawiać. Oprócz arcybiskupa, który mało co widział, wszyscy zwątpili o nim, bliżej nań patrząc, a gdy ze swemi będąc odzywał się o ojcu, o bracie i o tych, którym winien był ocalenie, widzieli, że i na serce w nim rachować nie było można. Pochlebstwo jedno trafiało doń, choćby najmniej zręczne. Marko umiał co chciał zyskać u niego, nauczyła się Greta, naśladowali ich inni.

W tej beczynności siedząc i czekając aby los za niego coś robił, posyłał Zbigniew szpiegi na dwór ojca, do Wrocławia i Sieciechowa i zabawiał się przynoszonemi wieściami, z których zawczasu przyszłość dla siebie najszcześliwszą wróżył.

Koniec tomu 2go.





